



TESTAMENT

Agnieszka
LIS

Co zrobić, gdy dostrzegasz zbrodnię, w którą nikt nie wierzy?
Czy warto narażać własne życie, by odkryć prawdę?
Komu można zaufać?

Purple
BOOK

TESTAMENT

Agnieszka
LIS

Purple
BOOK
WYDAWNICTWO

Copyright © for the Polish Edition by Purple Book Wydawnictwo, Warszawa 2023
Copyright © by Agnieszka Lis, 2023

ISBN 978-83-8310-521-5

Purple Book Wydawnictwo
ul. Hankiewicza 2
02-103 Warszawa
facebook.com/purplebookwydawnictwo
instagram.com/purple_book_wydawnictwo
www.purplebook.com.pl

Dyrektor Zarządzająca: Iga Rembiszewska
Wydawca: Anna Kubalska
Produkcja: Klaudia Lis
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska
Digital i projekty specjalne: Tatiana Drózdź
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 601 457 030), Beata Trochonowicz (tel. 506 626 661)

Redakcja: Agnieszka Czapczyk
Korekta: Irena Piecha, Magdalena Białek/e-DYTOR
Projekt okładki i stron tytułowych: Czartart Izabela Surdykowska-Jurek
Zdjęcie na I i IV stronie okładki: Adobe Stock/sema_srinouljan; Adobe Stock/ECrafts

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko z wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

Spis treści

Strona tytułowa
Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Podziękowania

Rozdział 1

„Czarująca rozmowa” – pomyślała Bożena, zaciskając zęby. „Jak do tej pory. Ale ten dzień nie może się tak skończyć”.

Siedziała w eleganckiej bibliotece Stefana Fabiańskiego, najbogatszego mieszkańca Koszalina. Tapicerowane krzesło, wykończone ozdobną taśmą i z całą pewnością warte majątek, było jednak paskudnie niewygodne. Dlatego Bożena wierciła się, jakby ktoś rozsypał jej pod tyłkiem pinezki.

Dzisiejszą rozmowę prowadziła na wyraźne polecenie Edmunda, szefa koszalińskiej rozgłośni radiowej. Nie pozostawił cienia wątpliwości – cały cykl o najbardziej zasłużonych, najważniejszych, najbardziej twórczych mieszkańcach Koszalina, który Bożena zaplanowała na co najmniej kilkanaście odcinków, zależał od tej jednej rozmowy.

Edmund nic nie tłumaczył. Wydał polecenie, a Bożena nie cierpiała ani swojego szefa, ani rozkazów. Nietypowo dla siebie postanowiła jednak odpuścić i przygotować miły, grzeczny wywiad. Laurkę. Zadawała więc pytania o rozległe interesy rodziny, plany rozwoju, działalność charytatywną. Rozmowa była gładka niczym szklivo na zabytkowej porcelanie. Ani jednego dziennikarskiego haczyka. Żadnej sensacji, nawet niewielkiej awanturki. Nic.

Bożena zamknęła notes i wyłączyła mikrofon.

– Pozwoli pan, że odwiedzę jeszcze panią Malenę.

– Mama odpoczywa w swoim pokoju. – Fabiański skinął delikatnie głową.

„Czuję się tu niczym ruski oligarcha na audyencji u Putina” – pomyślała. „Niby wszystko fajnie, teoretycznie jestem zaproszona, ale też nieustająco...”

Zawahała się. Co właściwie czuła?

Dopiero gdy wchodziła po szerokich schodach, wyłożonych puszystą granatową wykładziną w złote pasy, uświadomiła sobie, jakiego słowa jej brakowało. „Zagrożona” – pomyślała. „Czuję się w tym domu zagrożona. To oczywiście idiotyczne, jednak...”

Rozmyślenia przerwało pojawienie się na szczycie schodów służącej, ubranej w granatowy uniform, zupełnie jak stewardessa. Jeden detal nie pasował – biały, obsyty falbaną fartuszek zawiązany w pasie na szeroką kokardę. Dziewczyna stała odrobinę bokiem, dlatego Bożena dostrzegła ten staroświecki detal. „Tu wszystko jest jak trącający myszką, przedwojenny film o arystokratkach” – przyszło jej do głowy. „Powiew absurdu owiewa mnie niczym morska bryza. Delikatnie, za to nieustannie. Człowiek się przyzwyczaja i zaczyna uznawać, że ta groteska to normalność”.

– Pani Malena przebywa u siebie. – Młoda dziewczyna przerwała rozmyślenia dziennikarki. – Zapowiem panią.

– Nie trzeba – rzuciła szybko Bożena. – O ile dobrze kojarzę, pan Stefan wspomniał mamie o mojej wizycie. Pani Malena spodziewa się, że do niej zajrzę przed wyjściem.

Służąca dygnęła.

„Cały ten dom to jedno wielkie kuriozum” – pomyślała Bożena, wzdychając. Choć doskonale wiedziała, dokąd się udać, nie pozwolono jej na samodzielne poruszanie się po domu. Dziewczyna, której kokarda podskakiwała na nieproporcjonalnie chudym tyłku, otworzyła drzwi. W głębi widać było stopy Maleny Fabiańskiej, wyraźnie zwróconej w stronę uchylonych drzwi balkonowych.

– Dziękuję – zwróciła się stanowczo do służącej Bożena. – Poradzę sobie.

– Ale... – Dziewczyna próbowała zaprotestować, dziennikarka jednak uśmiechnęła się kwaśno, chwyciła za klamkę i wchodząc do pomieszczenia, zamknęła za sobą drzwi.

– Pani Maleno, przyniosłam ciasteczka od żony Edmunda – powiedziała niezbyt głośno.

Gospodyni się nie odezwała, Bożena uznała, że zasnęła. Zdarzało się to ponad dziewięćdziesięciosześcioletniej kobiecie, która absolutnie nie życzyła sobie, by nazywać ją staruszką.

– Wiek to stan umysłu – mawiała Malena Fabiańska, a Bożena zgadzała się z nią całkowicie.

Seniorce najbogatszego koszalińskiego rodu trudno byłoby zresztą zarzucić właściwe staruszkom zachowania. Owszem, miewała trochę problemów z poruszaniem, w związku z czym rzadko opuszczała swój luksusowy dwupokojowy apartament na piętrze zbytkowej willi, jednak nie pozwoliła przeprowadzić się na parter. Język wciąż miała cięty niczym świeżo naostrzona brzytwa. Cały czas czytała wiele książek, choć zwykle prosiła o wydawnictwa z większym drukiem. Bożena doskonale o tym wiedziała, jako że sama czasem dostarczała seniorce wybrane przez nią tytuły. Poza tym starsza pani znakomicie orientowała się w meandrach bieżącej polityki i nie przebiegała w słowach, gdy zamierzała kogoś skarcić. Jednak wbrew despotycznym oczekiwaniom Fabiańskiej wiek czasami odgrywał większą rolę, niż chciałyby się do tego komukolwiek przyznać. Potrafiła zasnąć w środku rozmowy. Po prostu opadała jej głowa, kilka cichych chrapięć wprowadzało obecnych w konsternację, a po minucie starsza pani otwierała oczy i kontynuowała rozmowę.

Bożena była jej gościem kilkakrotnie. Zawsze oczywiście miało to związek z wykonywaną przez nią pracą. *Wspomnienie o dawnym Koszalinie. Koszalińskie bale PRL. Rozwój prywatnego biznesu na Pomorzu Środkowym po transformacji ustrojowej. Lody naszego dzieciństwa – czy smak waniliowych uległ zmianie?* Poza tak ważnymi tematami Malena Fabiańska bywała proszona o wypowiedź na temat najciekawszej książki na lato albo najlepszej premiery teatralnej minionego sezonu.

To były tematy oficjalne, poważne i rozrywkowe. Niektóre rozmowy trwały trzy minuty, inne półtorej godziny. Bożena zawsze przynosiła ciasteczka od Edmunda i książkę, zgodnie z życzeniem rozmówczyni. Dwa razy zdarzyło jej się doświadczyć nagłego napadu snu Maleny Fabiańskiej, zatem i teraz postanowiła chwilę poczekać i rozejrzała się uważnie.

Znała to wnętrze. Wielkie łóżko nakryte gobelinową kapą widać było zza uchylonych drzwi do sypialni. W salonie dominowały antyczne meble, w tym stolik z gęsto poutykanymi fotografiami w srebrnych ramach. Bożena jeszcze raz zawołała starszą panią, a gdy nie uzyskała odpowiedzi, pochyliła się nad rodzinnymi wizerunkami.

Z przodu stały współczesne zdjęcia, w większości upozowane, skomponowane przez fotografa. Z tyłu, trochę przesłonięte, stały te, które zdawały się znacznie ciekawsze.

Bożena zerknęła na gospodynię, widziała ją teraz w całej okazałości. Siedziała w wielkim fotelu, nogi oparła na podnóżku, głowa lekko opadła jej na piersi. Wciąż spała, więc dziennikarka odważyła się sięgnąć na tył stolika, czego nie zrobiła nigdy wcześniej. Owszem, kilkakrotnie odwiedzała starszą panią w jej pokoju, nigdy jednak nie miała okazji, by rozejrzeć się uważnie. Siadała w fotelu, przekazywała ciasteczka, rozmawiała z Maleną Fabiańską kilka minut. Zawsze wychodziła zaskoczona – seniorka potrafiła rozmawiać na każdy temat.

Zdjęcia z tyłu były czarno-białe. Kobieta, bez wątpienia Malena Fabiańska, kilkadziesiąt lat młodsza, trzymała pod rękę niewysokiego mężczyznę. Wpatrywali się w siebie, wyraźnie zakochani, uśmiechnięci. Biło z tego obrazka ciepło, dobra energia, może zaufanie? A może to tylko kwestia pozy, którą przyjęli fotografowani. Zwróceni lekko do siebie, patrzący sobie w oczy. Kolejną fotografię wykonano w studiu: panna młoda ze zwiniętym u stóp welonem siedziała na brzegu tapicerowanego krzesła, pan młody stał nad nią, jedną rękę władczo opierając na oparciu fotela. Ten sam mężczyzna widoczny na dwóch kolejnych fotografiach był coraz starszy i – zdaniem Bożeny – coraz mniej szczęśliwy. Może uśmiechał się mniej szeroko, a może po prostu jego wzrok stawał się bardziej rozbiegany. „Kombinuję” – upomniała siebie w myślach.

„Po prostu nie patrzy w obiektyw. Ani na swoją wciąż młodą żonę. Nie skupia także uwagi na zawartości dziecięcego wózka. Tam musiał leżeć Stefan”.

Bożena przyjrzała się mężczyźnie uważnie. Coś w jego pochyleniu ramion, sylwetce, kształcie oczu wydało jej się znajome. Z każdą kolejną fotografią upewniała się w tym wrażeniu, zupełnie jednak nie potrafiła skojarzyć, u kogo widziała podobne rysy. Odstawiając ramkę, potrąciła sąsiednie. Z brzękiem posypały się na podłogę, Bożena aż podskoczyła. Odwróciła się w stronę Fabiańskiej przekonana, że dostrzeże jej bystre oczy i ironiczny uśmiezek. Czekwała na zjadliwy komentarz. Starsza pani jednak ciągle spała. Bożena ułożyła zdjęcia na stoliku i nagle poczuła ukłucie niepokoju. Malena zwykle zasypiała niespodziewanie i na krótko. A teraz trwało to już kilkanaście minut...

Dziennikarka podeszła do starszej pani i dotknęła jej dłoni. Ręka opadła bezwładnie. Podobnie głowa. Policzek był ciepły, ale Bożena spostrzegła, że nestorka Fabiańskich nie oddycha. „Powinnam chyba przyłożyć jej lusterko do ust?” – pomyślała. Zamiast tego zaczęła krzyczeć.

Służąca weszła natychmiast.

Dopiero później dotarło do Bożeny, że dziewczyna musiała czekać pod drzwiami. W tamtej chwili jednak nie myślała o niczym.

– Ona nie żyje! Nie żyje! Wezwijcie lekarza! – krzyczała, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo to nielogiczne. Zmarli zwykle nie potrzebują doktora.

Służąca zatrzymała się w drzwiach i wydukała z niedowierzaniem:

– Przecież to niemożliwe. Pani się dzisiaj wyśmienicie czuła!

Weszła kilka kroków w głąb pomieszczenia, spojrzała na siedzącą Fabiańską i natychmiast wybiegła, krzyząc:

– Pogotowie! Dzwoncie po pogotowie!

Stefan Fabiański pojawił się w drzwiach apartamentu w ciągu kilkudziesięciu sekund. Przyklękął przed matką i krzyknął na Bożenę:

– Co pani jej zrobiła? Pani ją zabiła!

Bożena pokręciła głową.

– Spała, kiedy weszłam – zaczęła tłumaczyć. – To znaczy, wydawało mi się, że śpi. Czekałam, aż się obudzi. A ona... ona... Czy pani Malena nie żyje? – zapytała lekko histerycznie. Od razu poczuła się z tym nieswojo. Ona? Poważna dziennikarka i drżący z emocji głos?

Stefan Fabiański trzymał nadgarstek seniorki, szukając pulsu. Opuścił bezwładną rękę matki i uniósł głowę, patrząc Bożenie w oczy. Była przekonana, że ujrzała na jego twarzy... uśmiech? Co najmniej ulgę. Takie ledwo dostrzegalne mgnienie. Fabiański szybko się zreflektował, przybrał zatroskaną minę, a potem zmarszczył brwi.

– Musi pani poczekać na przyjazd policji – powiedział.

– Raczy pan żartować. – Dziennikarka odzyskała rezon. Może dlatego, że zyskała pewność. Widziała ulgę w oczach syna stwierdzającego zgon matki. Jakkolwiek było to nieprawdopodobne.

Nikt nie słuchał jej protestów. Posadzono ją w niewielkim przechodnim pokoju na parterze, na prawo od wejścia. Kiedyś, podczas jej pierwszej wizyty w tym domu, pan domu oprowadził ją po parterze i to pomieszczenie nazwał salonikiem herbacianym. Było to podobno ulubione miejsce spotkań z koleżankami zmarłej żony Fabiańskiego. Bożenie bardziej przypominało poczekalnię, powściągnęła jednak język. Kilka okrągłych stolików, przy każdym cztery krzeselka. Oczywiście tapicerowane i oczywiście niewygodne. Do pomieszczenia prowadziło obszerne przejście, jeszcze szersze zaś otwierało się na jadalnię, w której ogromny, intarsjowany stół rozsiadł się na wzorzystym dywanie niczym gigantyczny chrząszcz. Z miejsca, w którym siedziała, nie widziała bogatych sztukaterii na ścianach i suficie ani misternie upiętych, gęstych firan. Pamiętała jednak, że tak właśnie wyglądało tamto wnętrze.

Dopiero teraz uświadomiła sobie, co się zmieniło. Kiedy była tu pierwszy raz, na każdej płaskiej powierzchni stał pełny wazon. Żona Fabiańskiego kochała kwiaty. „Czas wiele zmienia” – pomyślała Bożena sentencjonalnie.

Wstała i przeszła do jadalni. Natychmiast wyrósł koło niej chłopak, ubrany w granatowy garnitur. „Ochroniarz?” – zastanowiła się. „Taki młody?”

– Czy to znaczy, że jestem tu więźniem? – zakpiła, patrząc chłopakowi w oczy.

– Nie, proszę pani – odpowiedział grzecznie. – Pan Fabiański prosił jedynie, by zechciała pani uprzejmie poczekać na przybycie policji.

– Czyli mam siedzieć na tyłku jako nieoficjalnie aresztowana? To poproszę chociaż o kawę. Espresso.

Kiwnął głową i zniknął, Bożenie przyszło do głowy, że to idealny moment, by zniknąć. Stwierdziła jednak, że nie ma ochoty odgrywać roli zbiega. „Zresztą to, co się tutaj wydarzy, będzie zapewne bardzo ciekawe” – pomyślała. „No i nie mam nic do ukrycia”.

To samo powtórzyła funkcjonariuszom, którzy przyjechali do willi leżącej w dalekiej dzielnicy Koszalin w ciągu dziesięciu minut od wezwania.

Rozdział 2

- Bardzo stosownie – stwierdziła Dorota, radiowa koleżanka i jedyna przyjaciółka Bożeny.
 - Na komplementy reaguję podejrzliwością. Masz jakiś interes czy co?
 - Stwierdzam po prostu, że adekwatnie odziałas się na pogrzeb Fabiańskiej. Nie dość, że na czarno, to jeszcze wbiłaś tyłek w spódnice za kolano. Dawno czegoś takiego u ciebie nie widziałam.
 - W końcu znalazłam staruchę martwą, coś jestem jej winna.
 - I dlatego napisałaś to... co napisałaś?
 - Wrrrr – odparła z wdziękiem Bożena. – Laurka powstała na wyraźne życzenie Edmunda. A w świetle ostatnich wiadomości...

Westchnęły obydwie.

- Współczesne dziennikarstwo wylądowało na poziomie ujemnym. Głupie, źle napisane zajawki zamiast artykułów, błędy stylistyczne, gramatyczne, a na topkach niedorzeczne tematy. Oto nasza praca – podsumowała Dorota beznamiętnie. – Nic nie poradzimy na rzeczywistość.

- Wkurza mnie, że zamknęli kolejną drukowaną gazetę. – Bożena od rana prezentowała wysoki poziom irytacji. To zresztą był jej stan naturalny.

- Na szczęście zostały redakcje internetowe – tonowała koleżankę Dorota.
- Ograniczone i okrojone do minimum, podzielonego przez trzy. Nie ma doświadczonych korektorów ani składaczy, w ogóle wszystko jakieś do bani.

- Masz działkę w „Wiadomościach Koszalińskich”, nie narzekaj. – Dorota wzruszyła ramionami. – A w radiu, na szczęście, też nie słychać o wielkich zmianach.

- Nie narzekaj, nie narzekaj – sarknęła Bożena. – Zastanów się, co mówisz. Za chwileczkę wszyscy ci ludzie z zamkniętych dzienników, a nawet i tych szmatławych kolorowych tygodników, którzy robią newsa z przypalonej zupy pomidorowej, wszyscy oni będą szukali pracy. Rzesza bezrobotnych dziennikarzy, mówi ci to coś?

- Konkurencja – ponuro odpowiedziała Dorota.
- Czyli nasze stawki znowu pójdą w dół. Na optymizm nie widzę miejsca.
- I co z tego? Tak jest nie od dziś, czemu cię to wkurza?
- Bo przez to muszę pisać denne artykuły wychwalające podejrzane indywidua. – Bożena dosłownie zgrzytnęła zębami.

- Kogo nazywasz...

- Do takich pieniędzy, jakie mają Fabiańscy, nie dochodzi się, pracując po osiem godzin w biurze – przerwała jej Bożena.

- Nie oznacza to jednak, że są podejrzani, nie przesadzaj. Poza tym mamy nasze radio, trzymajmy się ciepłych posadek. Tu specjalistów od sensacyjnego zestawienia ciżemek *nude* z koronkową kiecką ledwie zakrywającą pódupki nie zatrudnią.

- Całe szczęście, że „Wiadomości Koszalińskie” na czas zaczęły rozwijać wydanie online. Mam gdzie pisać. Swoją drogą, to jest dziwne.

Dorota uniosła pytająco brwi.

- Śmierć Maleny Fabiańskiej – odpowiedziała Bożena na niezadane pytanie.

- Dziewięćdziesiąt sześć lat. Zdaje się, że rodzina oczekiwała na ten dzień z lekkim utęsknieniem.

- No właśnie, z utęsknieniem... Malena Fabiańska deklarowała, że umrze w wieku lat stu jeden, w porywach do stu dwóch. A ona zawsze dotrzymywała słowa.

- Wiem, wiem, wszyscy to wiedzą. Śmierć zakpiła z siły woli Fabiańskiej. Ot, perfidna kostucha.

- Chcesz powiedzieć, że istnieje ktoś wredniejszy od Maleny? - Bożena się zaśmiała.

- I do tego starszy od niej.

- À propos upływu czasu. W tamtym domu nic się nie zmieniło od czasów niemieckich. Zawsze jechało naftaliną od samego wejścia.

- Inaczej to opisałaś.

- Ale teraz pachnie mi kawa i dziś jeszcze nic nie jadłam, więc widzę świat lekko dramatycznie.

Umilkły, poświęcając uwagę wyłącznie wypiekom z Drzewiańskiej, renomowanej koszalińskiej piekarni.

- Już mi lepiej - skonstatowała Bożena, przetykając kęs rogalika. - Możesz dojeść resztę, urwałam tylko kawałek. Szkoda zmarnować.

- Nawet takim ogryzkiem w cycki sobie nakruszyłaś - odparowała Dorota. - Chętnie dojem.

To była jedna z wielu różnic między paniami. Obie twierdziły, że natura się pomyliła. Dorota, całkiem korpulentna, pulchna być może ciut za bardzo w paru miejscach, miała niewielki biust, ledwie odznaczający się pod bluzką, mimo push-upów. Bożena zaś, chuda niczym nastolatka, z burzą kręconych rudych włosów, sprawiała wrażenie wciąż pochylonej do przodu - efektowny biust zdawał się przeważać jej sylwetkę. Obydwie chętnie by się zamieniły, z tym że Dorota swój skromny dobrostan ukrywała szczelnie, zapinając wszystko pod szyją, Bożena zaś, na przekór, nosiła głębokie dekolty eksponujące jej walory.

- Poza tym - kontynuowała Dorota - stanik ci widać.

- Ładny mam, wstydzić się nie będę.

Dorota wywróciła oczami.

- Masz dzisiaj jeszcze jakiś wywiad? Kogoś będziesz łowić na okrągłości?

- Wystarczą mi oblepiające spojrzenia uczestników pogrzebu. Niech sobie popatrzą, łachudry. Tyle ich. - Bożena obciągnęła napiętą bluzkę.

- Nieodmiennie cięta jak świeżo naostrzona brzytwa. Jak ty to robisz, że chłopcy się za tobą tak snują?

- Yhm, jak smród po gaciach. - Bożena skrzywiła się z nieudawanym wstrętem.

To też była różnica między przyjaciółkami. Dorota była ciepła i otulająca, chętnie zaopiekowałaby się jakąś zbłąkaną męską duszą, nie miała jednak szczęścia. Kimkolwiek się zainteresowała - albo okazywał się żonaty, często z kilkuletnim przychówkiem, albo przejawiał cechy psychopaty. Ostatnio spotykała się z Dorianem, całkiem fajnym gościem, niestety zaobrączkowanym. Podobno nieszczęśliwie, ale tak mówi każdy facet na etapie polowania.

Bożena miała swoją teorię - tacy byli mężczyźni. Po prostu. Paskudne stworzenia przypominające ludzi, ale z błędem genetycznym. Twierdzenie opierała na doświadczeniu własnym - jej mąż, Gerard, został panem młodym w panicznej reakcji rodziny na wieść o nieplanowanej ciąży. Młodzi mieli wtedy po dwadzieścia cztery lata, nie byli małolatami, a jednak groza nieślubnego wnuka przydała ich matkom mocy herosek. A oszołomiona ciążą Bożena nie miała siły oponować. Zresztą nie chciała. Była zakochana, co wyrzucała sobie potem z przekąsem. Wynik tego małżeństwa stanowiła córka, Malwina, obecnie trzy-nastoletnia pannica, która z miesiąca na miesiąc stawała się coraz gęściej zaplątanym kłębkim nastoletnich problemów.

Bożena uważała, że mężczyźni są w życiu przyczyną wszystkich istotnych problemów i wyrażała to całą sobą. Kpiła z nich, wystawiając dekolt na wierzch, zakładając krótkie spódniczki i podkreślając długość nóg niebotycznymi szpilkami. Wodziła za nos, mamiła i wszystkich, bez wyjątku, odrzucała. Spotykała się czasami jedynie z Gerardem, a i to wyłącznie w celu omówienia spraw rodzicielskich.

- A wracając do Fabiańskiej, może i była stara, ale dyrygowała rodziną z zacisza swojej sypialni niczym przywódca z trybuny pierwszomajowej przemarszem pochodu. - Dorota nawiązała do poprzedniego tematu.

- Fakt - zgodziła się Bożena. - Charakter miała twardy niczym grafen. Spotkałam się z nią kilka razy, biła od niej siła. Cokolwiek powiedziała, nie sposób było nie uwierzyć. Wszystkie swoje plany realizowała z żelazną konsekwencją. Dlatego jest dla mnie takie dziwne, że umarła wcześniej, niż obiecała. Poza tym bywała naprawdę podła i nie sądzę, żeby łyzy spadkobierców były całkowicie szczerze. Jeśli w ogóle je uro-
nią.

- Pewnie staruszka nawet o grafenie nie słyszała, trudno się jednak z tobą nie zgodzić. Była straszną żoną.

- Z tym grafenem to bym się nie zakładała. Seniorka śledziła wszelkie nowości, twierdząc, że wiek nie zwalnia od świadomości. Była czytana i w ogóle. I trzymała rodzinne towarzystwo za twarz, bez wątpienia. Firmami zarządzał już od dawna Stefan, ale ona wciąż się wtrącała do interesów. Zupełnie nie miał ochoty ze mną o tym rozmawiać, jak się domyślasz, ale formalnie to Malena Fabiańska wciąż była właścicielką całego imperium.

- Stefan ma blisko siedemdziesiąt lat! A matka trzymała ciągle łapy na rodzinnych interesach? Nie ufała własnemu synowi? To dopiero obciach!

- Blamaż. Siara kompletna. Zwij to, jak chcesz, powodów mogło być wiele, ale myślę, że przeważał jeden. Malena Fabiańska kochała władzę. I lubiła ją wykorzystywać. Świetnie się przy tym bawiła, doku-
czając, komu tylko się dało. Jestem przekonana, że cała rodzina była zależna od niej i jej kaprysów. Zapew-
niła sobie w ten sposób bałwochwalcze oddanie krewnych.

- Sympatyczna staruszka - wtrąciła Dorota.

- Prawda? - zauważyła kąśliwie Bożena. - Ja tam sądzę, że nawet Stefan powinien już oddać stery. To siedemdziesięcioletni ramol! A młody Fabiański, jak mu tam, Artur, ma już czterdziechę.

- Fabiańscy są jak angielska rodzina królewska. Funkcje pełnią dożywotnio.

- Odeszła królowa Elżbieta, czytaj Malena, więc Karol, Stefan, stanie się królem. Następny król, Wil-
liam, czyli Artur, też już będzie stary, gdy wstąpi na tron.

- Myślisz, że doświadczeniem wszystko można usprawiedliwić? - zastanowiła się Dorota.

- W rodzinie królewskiej na pewno, to i tak tylko reprezentacyjne fuchy. A u Fabiańskich? Nie mam poję-
cia.

- Tam było na co czekać, prawda? Formalnie wszystko dziedziczy stalowooki Stefan?

- W tej rodzinie pieniądze są w tak wielu miejscach, że nawet trudno je wymienić jednym tchem -
stwierdziła Bożena. - Główny biznes to produkcja plastikowych opakowań dla spożywki. Poza tym mają
sieć smażalni rozrzuconych na czterdziestu kilometrach wybrzeża, hurtownię używanych ciuchów, firmę
budowlaną sprzętującą, portal internetowy i zakład pogrzebowy. To ostatnie szczególnie im się teraz
przyda.

- Jesteśmy jak sępy. - Dorota się wzdrygnęła. - Starsza pani jeszcze nie ostygła, a my rozmawiamy
o kasie.

- Zapewniam cię, że jesteśmy wyrafinowanymi, kulturalnymi damami. O kasie tej rodziny plotkują
wszyscy i wciąż, a po śmierci starej jędzy rodzina pewnie nie gada o niczym innym.

- Jędzy? Jesteś naprawdę bez serca. - Mina Doroty wskazywała na daleko posunięty sarkazm.

- W sumie mnie nigdy jadem nie opluła, ale też spotykałam się z nią sporadycznie. Zbieram się na
pogrzeb. - Ostatnie zdanie Bożena dodała po chwili przerwy.

- Jak całe miasto. - Dorota wzruszyła ramionami. - A ty ładnie o tym napiszesz. Wystawisz kolejną
śliczną laurkę, zgodnie z zapotrzebowaniem. Poprawnie skonstruowaną, bez żadnych błędów, oddającą
cześć i opiewającą chwałę szacownej zmarłej.

- Się rozumie. W końcu będę pisać o pogrzebie naszej właścicielki. Nawet jeśli tylko formalnej.
- Właścicielki radia?
- No co ty. - Bożena spojrzała na nią jak na kosmitkę. - „Wiadomości Koszalińskich”.
- Tym ładniej musisz napisać.
- Żeby nie stracić roboty - skomentowała kwaśno Bożena.

Dorota wywróciła oczami.

- Radosna rzeczywistość. - Bożena wzruszyła ramionami.
- Jak cię słucham, mam ochotę zjeść kolejne ciastko. Twój realizm jest gorzki niczym ziółka mojej ciotki na wątrobę.

- Piołun - odpowiedziała Bożena. - To się nazywa piołun. Moja matka też to pije. Na wątrobę i cholesterol.

Teraz Dorota wzruszyła ramionami, po czym zakomunikowała:

- Mam huk roboty. Ostatnio dużo nagrywałam, nie wszystko jeszcze zmontowałam. Zakładam słuchawki i odklejam się od rzeczywistości.

Bożenie do wyjścia na pogrzeb został jeszcze kwadrans. Rozmyślała, wpatrzona naprzemiennie w przyjaciółkę i wygaszacz ekranu. Ostatnie dni przytłoczyły ją nadmiarem zdarzeń. Gerard chciał częściej spotykać się z córką. Miała wrażenie, że trwa wyścig - kto kupi Malwinie coś fajniejszego, modniejszego. Nawet takie głupoty jak szkolne zeszyty stawały się obszarem konkurencji.

- Te od taty są fajniejsze - oznajmiła jej wczorajszego popołudnia córka.

Cóż można było odpowiedzieć na takie dictum? Bożena najchętniej walnęłaby młodą przez kark, powstrzymała się jednak. Oczywiście, że tego nie zrobiła. Nigdy nie uderzyła własnego dziecka. Cudzego zresztą też nie. „Dzieci są do kochania, nie do bicia” - pomyślała i westchnęła. „Nawet kiedy mają trzynaście lat, kosmiczne pomysły i różowe włosy”.

Rok szkolny dopiero się zaczynał, a Bożena już przewidywała, że będzie to dziesięć miesięcy katongi. Rywalizacja o uwagę córki przeplatana fochami dorastającej dziewczyny. Zestaw z sennego koszmaru, tylko, niestety, w realu.

Miała już na lewym ramieniu torbę ze sprzętem, na pogrzebie też zamierzała nagrywać. Dyskretnie, oczywiście. Przez drugie ramię przewiesiła plecak. Zerknęła w lusterko, zdjęła plecak. Pomalowała usta szminką. Zzulała buty, w których poruszała się od rana po redakcji, z szafki ukrytej za drzwiami wejściowymi wyciągnęła czarne szpilki. Miała ochotę na czerwone, uznała jednak, że akurat na pogrzebie demonstracja nie jest wskazana.

Wszędzie, nawet w pracy, miała pod ręką co najmniej kilka par butów. Oczywiście zawartość szafek się zmieniała - w jednych szpilkach przychodziła, w drugich wychodziła, te zostawiała w domu, tamte w pracy, kilka par wozila w aucie. Czasem zabierała któreś ze sobą, wrzucała je do torby. Wszystkie były oryginalne. Kolorowe, we wzorki, tłoczone, malowane. Zamszowe, wzorzyste, z nietypowym obcasem. Przeważały szpilki, balerin nie uznawała. W samochodzie zaś dodatkowo miała wysokie nad kostkę glany z grubej skóry. Żeby nie były nudne, razem z córką surową skórę ozdobiły różowymi kwiatkami. Te glany, para żółtych kaloszy i jeszcze stare adidasy to były jedyne buty na płaskim obcasie, jakie posiadała.

W dawno nienoszonych, wystrzałowych szpilkach z włoskiej lakierowanej skóry poczuła się... dobrze. Wyprostowała się, narzuciła ponownie plecak i sięgała właśnie do klamki, gdy drzwi otworzyły się z impetem. Bożenę zarzuciło na biurko. W tej nieeleganckiej pozie zastał ją szef, Edmund, wyjątkowy kawał gnojka o figurze i wzroście karaczana. Szerszy niż dłuższy, z zarostem niczym kolce kaktusa (włos co centymetr) i zaczątkami przedwczesnej łysiny, wyglądał paskudnie. Nie to jednak było przyczyną, dla której zyskał w tajnym języku Bożeny i Doroty miano „glisty”. Był po prostu wrednym, zakompleksionym facciakiem, znakomicie ilustrującym tezę Bożeny o błędzie genetycznym.

Jedyną miłą rzeczą związaną z Edmundem były ciasteczka wypiekane przez jego żonę. Te, które Bożena od czasu do czasu zawoziła Malenie Fabiańskiej.

– Już wychodzisz? Całe szczęście! – przywitał wdzięcznie dziennikarkę.

– Też się cieszę, że cię widzę – odpowiedziała syknięciem. Ostentacyjnie dotknęła łokcia, który obila o biurko.

Edmund nawet tego nie zauważył.

– Koniecznie musisz zrobić materiał z Fabiańskim. Damy może duży wywiad w przyszłym tygodniu i jeszcze coś w wiadomościach. No i w tym twoim programie o Koszalinie. Tam się teraz będzie tasowała spora kasa, powinniśmy powalczyć, by strużka reklamowa nie wyszła. I podkreśl to, niech spadkobiercy zachowują się jak lokalni patrioci. Wspierają miasto. I nas, oczywiście. Mam pomysł na imprezę bożonarodzeniową, będziemy potrzebować sponsorów.

– Przypominam ci, że jadę na pogrzeb. Nie zrobię dziś żadnego materiału o tej rodzinie!

„Poza tym, co nagram na pogrzebie” – pomyślała, ale tę myśl zostawiła dla siebie.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się Edmund. – Jutro pojedziesz do Fabiańskich...

– Czyś ty ochujał? – Bożena uznała, że nie ma potrzeby udawać, może powiedzieć, co myśli. – Ci ludzie są w żalobie, potrzebują spokoju. Dam tej rodzinie kilka dni wytchnienia. Zresztą mam na jutro umówiony wywiad z prezydentem, nie odwołam...

– Masz jechać do Fabiańskiego! Jutro! – zapiszczał Edmund. – Masz się dowiedzieć wszystkiego o testamencie! To interesuje słuchaczy!

– Przecież pojedę! – warknęła Bożena. – Trochę taktu! Naprawdę tylko kasa się liczy? Sądziłam, że godnie reprezentujemy czwartą władzę, obowiązują nas etyczne standardy, że...

– Znowu się stawiasz? – przerwał jej Edmund.

Bożena na szczęście stała odwrócona do szefa bokiem. Lekko jeszcze odchyliła głowę, by jej twarz nie była dostrzegalna z jego perspektywy, i zmeła kolejne przekleństwo w ustach. Nie powinna przeciągać struny. Przybrała chłodny, profesjonalny uśmiech, który porażał jak lodówka w prosektorium.

– Nie śmiałabym – odpowiedziała spokojnie. – Nie mogę jednak narazić się prezydentowi miasta. Nie odwołam więc jutrzejszego spotkania w ratuszu, ale zadzwonię do Fabiańskich i zgodnie z poleceniem szefa umówię się na wywiad.

– No – odpowiedział i wyszedł.

Bożena nie powiedziała tego, co myślała. Spokojnym krokiem wyszła z budynku radia i dopiero w samochodzie ulżyła sobie słowami powszechnie uznawanymi za nieparlamentarne.

– Może przekleństwa to brzydkie wyrazy, ale jak dobrze robią na spokój duszy – powiedziała do siebie na koniec.

Rozdział 3

Bożena przyłożyła się do tematu jak profesjonalny paparazzi. Żaden lokalny ślub, o pogrzebie nie wspominając, nie był tak obfotografowany i skrupulatnie omówiony. W tekście mówionym i pisanym.

W kaplicy pojawiła się dwie godziny przed planowaną ceremonią. Zamierzała przez chwilę pobyc w ciszy, oddać prywatny hołd zmarłej. Może i Malena była żoną, może nawet zasłużyła na to, by na jej śmierci żerować. Bożena nie zamierzała dopieszczać wyrzutów sumienia. Była niczym klasyczna prasowa hiena. To tylko praca. Ale przecież śmierć to coś, czego nie da się oswoić. Wzbudza szacunek bardziej niż urząd skarbowy. Bożena nie bała się ludzi, nie bała się pracy, nie bała się słów, nawet ostrych, raniących. Na to zawsze można było znaleźć odpowiedź. Słowa, czyny, gesty. Śmiech, ironia, kpina. Wreszcie przekleństwo. Ale na śmierć?

Gdy Bożena przyjechała na cmentarz, niewielka kaplica już się zapełniała. Jedynie pierwsze rzędy, zarezerwowane dla rodziny, pozostawały puste. Z głośników sączyła się cicha muzyka, coś klasycznego, w tym gatunku Bożena nie czuła się ekspertką. Ciemnobrązowa, niemal czarna, lakierowana trumna ze złotymi okuciami odbijała światło. Wystawała znad morza kwiatów, wśród których dominował wieniec ustawiony z boku na statywie.

„Jak wieża katedralna na tle miejskich kamienic” – pomyślała Bożena. Dołożyła redakcyjną wiązanekę z odpowiednią szarfą. Fotograf, najlepszy w tego rodzaju zdjęciach, położył drugą. Zabierając kwiaty z samochodu, pomylili bukiety – fotograf nie miał nic wspólnego z Radiem Koszalin, miał reprezentować „Wiadomości Koszalińskie”, ale co to właściwie za różnica? „Kwiaty to kwiaty, śmierć to śmierć” – uznała dziennikarka. „Malenie to już i tak nie stanowi”.

Rozdzielili się z fotografikiem, ustawił się przed wejściem do kaplicy. Robił zdjęcia wszystkim wchodzącym, na wszelki wypadek.

Bożena stanęła z boku. Na godzinę przed rozpoczęciem nabożeństwa kaplica była prawie pełna. Bożena obserwowała stroje, które w ciągu ostatnich dziesięciu minut z czarnych zmieniły się na luksusowo czarne. Miała wrażenie, że ogląda rewię mody. Kreacje raczej krótkie niż długie, czasem nawet bardziej skąpe niż jej standardowa mini. Szczególne oko miała do butów – te tutaj wyglądały na droższe niż drogie. Wydawało jej się, że gdzieś mignęła najnowsza Prada. Któraś z pań nosiła szpilki z czerwoną podszewką, Bożena jednak nie dała się nabrać – obok louboutinów nawet nie stały. Nie brakowało błyszczących elementów, koralików, taśm, haftów. Torebki były oddzielnym rozdziałem – wiele z nich przypominało karnawałowe dodatki. „Z całą pewnością mnie by się takie cacko nie przydało” – pomyślała Bożena sarkastycznie. „Dyktafon, notes, pięć długopisów, klucze, portfel, dokumenty, książka, dwa peny, kanapka, bidon, a ostatnio nawet śrubokręt, choć naprawdę nie wiem po co. Tyle mieści się w mojej torebce, a w takiej co?” Zerknęła na cacko przechodzącej właśnie kobiety. „Karta kredytowa i chusteczka”.

Jeszcze chwilę z niesmakiem przyglądała się zgromadzonemu. „Nie wiedziałam, że koszalinianie są aż tak bogaci. Na co dzień zupełnie tego nie widać” – pomyślała. „Bo też niecodziennie jest okazja na pokazanie się wśród, hm, finansowej elity” – wyjaśniła sama sobie.

Przed nią przedefilowała właśnie kobieta w nakryciu głowy z gęstą woalką. Fascynator nadawałby się do Ascott, tutaj raczej przeszkadzał sąsiadom w ławkach. „Elita raczej wie, jak się stosownie ubrać” – sarknęła Bożena. Odhaczyła w głowie listę obecności – przybyli wszyscy ważni. Prezydent, jego zastępcy, komendant policji wraz ze świtą, dziennikarze z każdej możliwej redakcji z całego Pomorza, dyrektorzy filharmonii i dwóch koszalińskich liceów, kilku adwokatów, w tym jeden jej kolega ze szkolnej ławy. Znała tu wszystkich. No i Edmund. Oczywiście, szef koszalińskiego radia nie mógłby sobie odmówić takiej imprezy.

Wszyscy witali się szeptem, natłok głosów jednak powodował, że gdy Bożena zamknęła oczy, usłyszała dźwięk kwietnej, miodnej łąki. Pszczoły pracowały, brzęczały, dzwoniły, świszczały... Dopiero dwadzieścia minut przed rozpoczęciem ceremonii zapadła cisza. Rodzina Fabiańskich wchodziła do kaplicy w pełnym szacunku milczeniu. Stefan kroczył na froncie. „Jak niegdyś Malena” – pomyślała Bożena. „Zawsze na przedzie, jak rasowy przywódca. Albo przewodnik w stadzie. Dotąd ona była najważniejsza, a teraz?” Rozejrzała się wokół, spojrzała na miny żałobników. „Teraz leży w trumnie” – dopowiedziała sobie w myślach Bożena.

Za Stefanem szła wyprostowana, wysoka kobieta o kruczoczarnych włosach i równie wysoki, korpu-lentny mężczyzna. Za ciemnowłosą pięknosią podążał szpakowaty mężczyzna, odróżniał się od pozosta-łych jasnobrazowymi butami.

Bożena nie знаła tych ludzi, spodziewała się jednak, że to siostra i młodszy brat Stefana. Dawno w Koszalinie niewidziani, na pogrzeb matki przybywają jednak nawet najbardziej zbuntowane dzieci. Dalej kroczyły obie córki Stefana z rodzinami oraz syn. Artur. Dziedzic?

Wszyscy zasiedli w pierwszych dwóch rzędach świątynnych ławek. Nikt nie wyglądał na specjalnie przybitego, może z wyjątkiem Stefana, choć i w jego przypadku Bożena miała wrażenie, że to zaledwie poza. Spełnianie powinności. Wszyscy oczekiwali, że rodzina okaże smutek. Żałoba musiała być przy-kładna, modelowa, tak jak wzorcowa była ta podstawowa komórka społeczna.

Członkowie rodziny w milczeniu spoglądali na błyszczącą trumnę. Czy jednak w skupieniu? Modlitwie? Nie wyglądali na pogrążonych w smutku.

Wyjątkiem był Artur. Ten nawet nie udawał. Pomimo żałobnego stroju wyglądał jak wyjęty z innego serialu. Rozglądał się znudzony, rozdawał ukłony, na trumnę ledwie zerknął. Trzykrotnie ukradkiem popa-trywał w telefon, Bożena kątem oka dostrzegła, że fotograf także to zauważył. I uwiecznił. „Będzie fajny materiał” – pomyślała.

W nabożeństwie uczestniczyło trzech księży. W niewielkiej kaplicy ledwie mieścili się w prezbiterium, co chwilę szturchali się łokciami, a tłok wyraźnie przeszkadzał im w celebracji.

„Czereda księży” – zachnęła się Bożena i opuściła głowę, by nikt nie dostrzegł skrzywienia na jej twa-rzy.

W kaplicy szybko zrobiło się duszno. Dziennikarka pomyślała, że lada moment zacznie się fala omdleń. Pomimo otwartych drzwi i wszystkich możliwych okien tłok i zaduch cmentarnych lili stawały się nie do wytrzymania. „Będę rzygać” – pomyślała, uświadamiając sobie, że tego dnia nic jeszcze, poza kęssem roga-lika, nie zjadła. Przepchnęła się do wyjścia. Na zewnątrz odetchnęła świeżym powietrzem, choć pogoda wciąż jeszcze rozpieszczała plażowiczów, było gorąco i parno. Na szczęście na placu przed kaplicą dało się oddychać, a nagłośnienie doskonale przekazywało słowa każdego z duchownych.

Gdy w końcu żałobnicy wyszli ze świątyni, od razu uformował się kondukt, rozciągnięty niczym prze-rośnięty pyton. Rodzinny grób Fabiańskich czekał już przygotowany na przyjęcie doczesnych szczątków nestorki rodu. Rozpostarto nad nim ciemnofioletowy aksamitny baldachim, z tyłu czekało sześciu graba-ry. Ksiądz rozpoczął mowę, zanim ostatni żałobnicy zeszli z alejki.

Bożena słuchała z narastającym uczuciem mdłości. Piękne słowa o szlachetnej postawie szacownej mieszkanki Koszalina, o zasługach dla lokalnej społeczności, wielkim sercu i szczodrych datkach stały w tak jawnej sprzeczności ze złośliwym rechem, który kiedyś Bożena usłyszała w apartamencie Maleny Fabiańskiej, że trudno było zachować powagę. A jednak nikt nie parsknął śmiechem. „Bo wszyscy boimy się śmierci i nie mamy ochoty z niej kpić” – pomyślała Bożena. „A ja nie jestem lepsza. Co napiszę o tej ceremonii? Co nagram dla radia? Poemat o znakomitej rodzinie szlachetnych filantropów. Sama uczestni-czę w tym syfie. Co gorsza, kolejny tekst napiszę dokładnie tak samo. A dlaczego? Bo obiecałam. Przede wszystkim Sławkowi. Jego zawieść nie mogę. »Wiadomości Koszalińskie« należą do Fabiańskich, a kondy-cja prasy drukowanej... Cóż, pewne rzeczy trzeba przełknąć. No i na świetny materiał czeka też Edmund.

Oczywiście. On zawsze oczekuje najlepszego, od innych. Sam nie ma ochoty nic z siebie dać. Jemu chętnie zrobiłabym na złość”.

Z zainteresowaniem słuchała mowy Stefana. Powściągliwej i skromnej. Oszczędził sobie bizantyjskich konstrukcji słownych, werbalnych wodotrysków i peanów na cześć matki. Skupił się na osobistym braku. Strata i tęsknota – to dominowało w jego przemowie i pewnie dlatego była ona tak wzruszająca.

W pierwszej chwili dziennikarka pomyślała, że poprosi o tekst przemówienia, szybko sobie jednak uświadomiła, że Fabiański mówi z pamięci. Włączyła w końcu dyktafon, choć stojąca obok kobieta obrzuciła ją wrogim spojrzeniem. „Niech się tylko odezwie” – zgrzytnęła zębami Bożena. „Może i nagrywanie przemowy pogrzebowej jest gruboskórne, ale noszenie fałszywych louboutinów to jeszcze większa impertynencja. W każdych okolicznościach”.

Po Stefanie Fabiańskim nikt już nie zechciał wspominać zmarłej, żałobnicy zaczęły rozchodzić się w milczeniu. Bożena chciała jeszcze obejrzeć samochody ruszające z cmentarnego parkingu, tam zresztą umówiła się z fotografem, odwróciła się zatem i ruszyła razem z uczestnikami pogrzebu. W czasie uroczystości stała z tyłu grobu, by mieć widok na tłoczących się żałobników, musiała więc przejść obok zgromadzonej rodziny, wpatrzonej w nakryty już granitową płytą nagrobek.

– Nareszcie z głowy. – Usłyszała w pewnym momencie Artura.

– Zamknij się. – To był głos Stefana. W niczym jednak nie przypominał ciepłego, aksamitnego tembru, jakim kilkanaście minut wcześniej czarował w czasie przemówienia.

– Nie powiesz chyba, że w końcu nie odetchnąłeś.

– Nic nie powiem – warknął Stefan.

Bożena odwróciła głowę w stronę idącej obok kobiety, udając wymianę zdań. Wołała nie przyznawać się, że usłyszała coś, co – o czym była przekonana – nie powinno do niej dotrzeć.

Zobaczyła Edmunda wychodzącego z cmentarza. Był wyraźnie smutny. A może wściekły? Właściwie dlaczego? To przecież mocno starsza pani, w tym wieku każdy ma prawo spokojnie umrzeć. „My jesteśmy tu tylko dlatego – i Edmund, i fotograf, i ja – że opis ceremonii niezmiernie zainteresuje naszych czytelników i słuchaczy” – pomyślała mało pochlebnie. Obejrzała rząd limuzyn wypucowanych jak zwierciadła i skupiła uwagę na Fabiańskim juniorze.

– Jaki on tam młody – powiedziała do siebie półgłosem i dodała: – Wciąż tak o nim myślę, a to przecież czterdziestoletni nastolatek.

Artur podrzucił w ręce kluczyki z błyszczącym breloczkiem. Podeszedł do czerwonego auta z dziwnymi drzwiami, które uniosły się z boków. Skojarzenie z Batmanem było odruchowe. Artur rozmawiał z kimś, ale dziennikarka nie zwróciła uwagi na rozmówcę, samochód zaabsorbował ją całkowicie. Musiał kosztować majątek. Dwa majątki.

– Co mi do tego? – Bożena nawet nie zauważyła, że cały czas mówi do siebie półgłosem. – Stać ich, to wydają. Nie kradną, a przynajmniej nikt ich na tym nie złapał. Jeszcze. Nie robią nic złego, choć zapewne jest to tylko kwestia znalezienia odpowiednich kwitów. Płacą podatki, bez wątpienia w najmniejszym możliwym wymiarze, choć i tak ich wartość jest z całą pewnością wyższa niż cały mój PIT. I kij im w plecy. A ja? Jestem tylko żerującą na ludzkich nieszczęściach reporterzyną. Emocjonalnym pasożytem. Szumowina i wykołajeniec. – Po ostatnim wypowiedzianym zdaniu nasza ją refleksja: „Zaraz, zaraz, to o mnie czy o Fabiańskich?”.

Rozdział 4

Piętnaście lat wcześniej Bożena miała dwadzieścia trzy lata. Rozpoczęła pracę w lokalnym dzienniku. Wierzyła, że właśnie złapała pana Boga za nogi – gazeta miała prawie czterdziestoletnią tradycję wydawniczą i uchodziła za najbardziej opiniotwórczą w regionie. Kilka lat wcześniej stała się wprawdzie filią jednej z gazet szczecińskich, na szczęście Fabiańscy dofinansowali tytuł i „Wiadomości Koszalińskie” wciąż pozostawały dla koszalinian najważniejszym źródłem informacji.

Jej entuzjazm przygasł lekko po trzecim tygodniu, kiedy to zorientowała się, że wymarzona praca w terenie, rozmawianie z ważnymi i zupełnie nieistotnymi ludźmi, odkrywanie ich tajemnic, interweniowanie w sprawach przeciętnych zjadaczy chleba, poprawianie ich bytu... to były tylko marzenia. Mrzonki.

Pierwszego dnia poznała zespół i biuro. Kręciło jej się w głowie od hałasu, okrzyków, rozmów telefonicznych. Kilkanaście lat wcześniej zapewne brzmiał tam też stukot maszyn do pisania. „Musiało być tu strasznie” – pomyślała wieczorem. Czują, że głowa jej spuchła – od hałasu, nadmiaru informacji, przebodźcowania. Odetchnęła z ulgą, gdy w domu zrzuciła szpilki i ściągnęła wąską spódniczkę. Rano uznała, że to strój odpowiedni do szacownej redakcji, wybierała go starannie, nawet specjalnie kupiła coś nowego. Po pierwszym dniu jednak doszła do wniosku, że powinna tę kwestię jeszcze przemyśleć, bo w terenie ołówkowa spódniczka może się nie sprawdzić. Usiadła na kanapie, spuchnięte stopy nasmarowała chłodzącym balsamem i schowała w puchatych skarpetach. „Ale ze szpilek nie zrezygnuję pod żadnym pozorem” – obiecała sobie.

Drugiego dnia założyła bojówki. I szpilki. Na wszelki wypadek wrzuciła trampki do torby. Wtedy jeszcze miała taką parę płaskich butów. Wyrzuciła je do pojemnika z używaną odzieżą kilka lat później, pozostały prawie nowe.

Tego dnia zaprzyjaźniła się z wyposażeniem redakcyjnej kuchni. Poznała upodobania kulinarne dziennikarzy. Dla Roberta z pierwszego piętra – kawa z odrobiną mleka. Spienionego. Marta wolała sojowe latte. „Swoją drogą, idiotyzm” – pomyślała Bożena. „Jeśli już pić mleko, to po co udawać? Napoje roślinne do kawy? Faj”. Przedłużone espresso dla szefa redakcji. Americana dla Jolanty.

„W ogóle po co mleko do kawy?” – zastanawiała się późnym popołudniem. Do tego czasu zdołała już poznać numery do najlepszych pizzerii w mieście, trzech, bo na różnych piętrach panowały różne preferencje. Dowiedziała się też, co to jest sushi, choć jeszcze go nie zamawiała. I nigdy nie jadła. Surowa ryba? Musi być ohydna. Za to dwukrotnie dzwoniła do kuchni polskiej, schabowy z ziemniakami królował. „Każdy musi jakoś zacząć” – pocieszała się wieczorem. „Może być od kuchni”.

Stopy wchodziły jej w szyję, rezygnacja ze szpilek jednak nie wchodziła w grę.

Po tygodniu wróciła do ołówkowej spódnicy. W biurze ten strój był absolutnie wystarczający, a wizja pracy w terenie stawała się tak świetlista, że aż przeźroczysta. Była mrzonką, a Bożena, choć uzyskała do tej pory zaledwie licencjat, miała pewien wrodzony życiowy spryt. I takąż mądrość. „Wysłałam ją z mlekiem matki” – myślała czasami ironicznie, wiedząc, że jej mama jest całkowitą przeciwniczką naturalnego karmienia.

Przez najbliższe dni odkrywała stopniowo, z coraz większą goryczą, że kuchnia miała się stać jej środowiskiem pracy. Takie chyba były, nieustalone z nią, założenia. Po niespełna dwóch tygodniach, w przerwie między parzeniem kawy i zamawianiem pizzy, napisała krótkie sprawozdanie. Nadała mu wdzięczny tytuł: *Dzień zbyt ambitnej dziennikarki*, opisała wszystkie rodzaje parzonej kawy, wyliczyła kalorie w zamawianych codziennie przez dziennikarzy daniach, opisała także okrzyki wydawane przez niektórych. Nie zasłaniała się trzema kropkami, nie stosowała sympatycznych zamienników. Dodała do tego opis odgłosów

wydawanych przez kanalizację, „jęk szlachtowanego wieprza” wzbudził spore uznanie szczególnie u tych, którzy mieli biurka niedaleko toalet. Ładnie też odmalowała słowem postrzępioną wykładzinę. Potykając się o jej brzeg, Bożena oblała się kawą, miała więc na ten temat sporo do powiedzenia.

Zanim pokazała tekst szefowej, wykasowała spostrzeżenia dotyczące współpracowników, choć z tej części miała akurat najlepszy ubaw.

Sprawozdanie szybko zyskało status radosnego przerywnika pracy dla całej redakcji.

– Dobra jesteś, młoda! – Usłyszała.

Wprawdzie nie potrafiłaby powiedzieć, od kogo, ale jakie to miało znaczenie? Szef także się uśmiechnął, chociaż nie skomentował.

To zdecydowanie był dzień Bożeny! „Wreszcie przestanę być panienką od kawy!” – myślała wieczorem z zadowoleniem.

Następnego dnia rzeczywistość wróciła na utarte tory. Bożena przez kolejny tydzień miała wrażenie, że lewituje w oparach absurdu. Przyszła do pracy jako dziennikarka! Bez doświadczenia, ale przecież właśnie tutaj miała je zdobyć. Kawę umiała parzyć już wcześniej.

Postanowiła, że odejdzie z pracy, która stała się dla niej synonimem zawodu. „Dziennikarka, psia mać” – myślała ze złością.

Szkoda jej jednak było wynagrodzenia za niemal trzy tygodnie, więc postanowiła przeczekać jeszcze tydzień. „Z końcem miesiąca odchodzę” – postanowiła.

Zamierzała złożyć wypowiedzenie w piątek. Tymczasem obserwowała zamieszanie, jakie powstało wśród dziennikarzy. Dwa miesiące wcześniej zmarła żona jednego z bogatszych mieszkańców Koszalina. Chorowała na nowotwór. Niespełna pięćdziesięcioletnia kobieta zgasła w ciągu kilku miesięcy. Pogrzeb był relacjonowany przez wszystkie lokalne media, a nieoficjalnie komentowano stroje wszystkich gości. Zaproszenie na stypę było obiektem pożądania, choć nie wypadało się do tego przyznawać.

Towarzyska sensacja minęła, wróciła jednak po kilku tygodniach zwielokrotniona. Otóż wdowiec, pięćdziesięcioletni Stefan Fabiański, postanowił założyć fundację imienia zmarłej żony. Fascynacja pogrzebem nie należała do dobrego tonu, ale fundacją – jak najbardziej. I tak jak wcześniej artykuł o pogrzebie powstał jeden, za to obszerny, tak teraz postanowiono z fundacji uczynić motyw przewodni co najmniej kilku numerów. Złoto, nie temat! Dostał go oczywiście najbardziej zasłużony redaktor działu miejskiego, Henryk, najstarszy stażem i wiekiem, znany z regularnych, grzecznych i poprawnych wpisów na każdy temat. Bożena, kiedy tylko się o tym dowiedziała, przestudiowała wszystko na temat Fabiańskich. Z nudów, z braku lepszego zajęcia, z ciekawości.

Internet huczał. Po pierwszym kliknięciu wyskoczyło sześćset osiemdziesiąt dziewięć stron. Bożena w ciągu kwadransa zorientowała się, że sześćdziesiąt procent dotyczy śmierci żony Fabiańskiego i jej pogrzebu. Same śmieci. Powielane dane, po szkolnemu kopiowane. „Jakby średnio inteligentny uczniak zrzucał na przerwie rozprawkę i próbował tu ukryć przed polonistką, na szybko przedstawiając wyrazy” – pomyślała zniesmaczona.

Kolejne dwadzieścia procent informacji dotyczyło fundacji. Jednogłośny zachwyty. Fundator – darczyńca – mecenas – donator – ofiarodawca – dobroczyńca – patron – promotor.

– Noż, do licha, święty – wyszeptła Bożena.

Skupiła się na ostatnich stronach wyszukiwania. Dotychczasowe wyniki tylko zaostryły jej apetyt. Wszystkim materiałom towarzyszyły podobne zdjęcia – z oficjalnych uroczystości albo z jednego, wyraźnie przygotowanego w tym celu wnętrza. Na tle bibliotecznych regałów z książkami Fabiański pozujący z założonymi rękami, uśmiechający się, siedzący, stojący. Nic osobistego.

– Ciekawe, skąd ma taki majątek – powiedziała do siebie półgłosem.

– Jak masz na imię? – Usłyszała za swoimi plecami.

Podskoczyła. Nie sposób było pomylić tego głosu. Podwójne espresso, bez mleka.

– Bożena – odpowiedziała odruchowo.
– W porządku, Bożenko, pojedziesz...
– Bożena. Nie Bożenka.
– Dobrze cię oceniłem. – Uśmiechnął się szeroko. – Co mówiłaś o Fabiańskich? Że jak się dorobili fortuny?

– Nigdzie nie ma na ten temat ani słowa. Wszystkie newsy to peany na cześć filantropii rodziny.
– A ty wątpisz.

Bożena wzruszyła ramionami.

– Słyszałaś, że Henryk jest niedysponowany?

Niby gdzie miała to usłyszeć? Spędzała czas w kuchni, parząc kawę.

Pokręciła głową.

– Każdy by chciał napisać materiał życia. – Sławek westchnął. – Na przykład o Fabiańskich. Ale zarem nikomu w redakcji nie chce się wysilić. Ile tu pracujesz?

– W przyszłym tygodniu będzie miesiąc.

– I jeszcze nie zaliczyłaś żadnej wpadki? Niebawem. Pojedziesz do Fabiańskiego. Potrzebuję materiał na stronę. Zajawka na pierwszej i cała trzecia jest twoja. Nie spierdol tego, Bożeno. Kawę sam sobie zrobię, szukaj się, taksówka pojedzie za dwadzieścia minut.

Nie rozmawiała z nikim, nie miała czasu. Wyszła do łazienki, czerwoną szminką starannie umalowała usta. Poczła drżenie rąk. Oparła je o umywalkę z nadzieją, że pomoże uspokajający dotyk zimnej ceramiki. Szybko doszła do wniosku, że prędzej porcelit pęknie, i zdjęła dłonie. Trzy głębokie oddechy pomogły bardziej. Tupnęła nogą, raz i drugi. I jeszcze raz, mocniej, aż poczuła ukłucie w krzyżu. Obcas szpilki lekko się zachwiały, ale ona właśnie stanęła twardo na nogach.

Wyszła z łazienki i skierowała się prosto do wyjścia. Nie zatrzymała się nawet, by wziąć coś do notowania – w torebce od prawie miesiąca nosiła nieużyty do tej pory notes i nowy pisak. O dyktafonie nie pomyślała. Ani przez chwilę nie zadała sobie pytania: czy dam radę?

Po jej wyjściu w redakcji zapanowała cisza. W końcu jeden z dziennikarzy zapytał naczelnego:

– Jesteś jubilerem?

Ta przypowieść była tu znana wszystkim.

Do jednego z podrzędnych amsterdamskich warsztatów jubilerskich przyszedł klient. Wyciągnął z zamszowej torebki wielki diament i zwrócił się do właściciela:

– Chciałbym zrobić z niego brylantowe kolczyki dla mojej żony. Proszę go przeciąć na pół.

Właściciel obejrzał kamień, po czym podszedł do jednego z młodszych adeptów jubilerstwa, siedzącego przy dość odległym stole.

– Zaraz będzie gotowy – odpowiedział klientowi.

Po kilku minutach jubiler pokazał mężczyźnie dwa równe kawałki kamienia.

Klient zapłacił, nie oszczędził sobie jednak komentarza:

– Jest pan szaleńcem. Żaden z wielkich zakładów jubilerskich nie chciał przeciąć tego kamienia. Jest tak wielki i cenny. A pan powierzył go żółtodziobowi!

– To zrozumiałe – odparł jubiler. – Mnie by zadrżała ręka. Każdemu z tych tu – wskazał na wyraźnie bardziej doświadczonych rzemieślników okupujących sąsiednie stoły – też. Ale ten z tyłu nie miał pojęcia, co tnie.

– Da dziewczuszka radę – odparł naczelnny. – Wy się lepiej zorientujcie, co u Henryka. W jego wieku nawet lekki zawał może być groźny.

W taksówce Bożena przypominała sobie wszystko, czego dowiedziała się o Stefanie Fabiańskim. Miała wyobrażenie na jego temat, jednak rzeczywistość przyćmiła wszystko.

Rezydencja była ogromna, ogrodzona gęstym żywopłotem. Brama otworzyła się samoistnie, jakby oczekiwano jej wizyty. „Mojej?” – pomyślała w panice. „Przecież nikt tu nie wie, że przyjadę ja, Bożena, debiutantka, dwudziestopięcioletni polski gringo”.

– I w dupie – dodała już na głos chwilę później, nie przejmując się, że kierowca może usłyszeć. – Nikt nie wie i się nie dowie, póki się nie przedstawię. Jestem Bożena i będą mnie słuchać.

Na podjeździe stały trzy samochody, doszła więc do wniosku, że Fabiański ma gości. Poczula niezręczność – czy powinna przeszkadzać w spotkaniu? Zaraz jednak uciszyła w głowie niepotrzebne myśli i przegoniła skrupuły – była przecież umówiona. To znaczy nie ona, ale dziennikarz z jej gazety. Więc nie będzie się certolić.

Wyciągnęła portfel.

– Szef płaci na koniec miesiąca przelewem – odparł taksówkarz.

Bożena wysiadła i rozejrzała się wokół. Było cudownie. Idealnie przystrzyżony trawnik, kilka kolorowych kwiatnych rabat rozrzuconych malowniczo po terenie, wśród pochylonych wierzb zapewne oczko wodne. Zdecydowanym krokiem wspięła się na trzy szerokie schody i pchnęła masywne drzwi. Użyła swojej siły, przekonana, że tak wielkie odrzwia będą ważyły z pół tony, tymczasem otworzyły się, ledwie ich dotknęła. Za nimi stał mężczyzna w granatowym garniturze.

– Pani była umówiona – powiedział i poprowadził ją na lewo.

– Dzień dobry – odpowiedziała poniewczasie.

Gospodarz czekał na nią, stojąc przed oknem.

– Nie miał przypadkiem przyjechać Henryk? – zapytał po grzecznym powitaniu.

– Jest niedysponowany – odpowiedziała. – Będę musiała panu wystarczyć.

– To wspaniała odmiana widzieć tak piękną kobiecą postać w swoich progach – odparł szarmancko.

Bożena się zagotowała. Piękna postać! „Znowu kobiety mają tyły” – pomyślała z goryczą. „Nie ma znaczenia, czy coś potrafię. To się nie liczy”. Bez słowa wyciągnęła notes i rozsiadła się bez zaproszenia w bordowym uszaku.

Przygryzła wargę, gdy okazało się, że nowy pisak nie zamierza współpracować. Bezskutecznie rozpisywała go chwilę u dołu kartki. Stefan Fabiański podszedł do wielkiego biurka i podał jej elegancki długopis ze złożoną skuwką. „Plastomal” – głosił napis.

– Chciałabym zapytać...

– O fundację, oczywiście – przerwał jej Fabiański. – Postanowiłem uhonorować moją zmarłą na raka żonę. Zamierzam wspierać osoby chore na nowotwory, które nie mają adekwatnych środków na leczenie i godziwe warunki życia. Ścisła współpraca ze szpitalem pozwoli wytypować osoby potrzebujące takiej pomocy. Moja żona pod koniec życia...

Bożena przestała słuchać. Przerwał jej! „Nie pozwolę na to” – pomyślała.

– To wiemy z każdej innej gazety. – Teraz to ona weszła mu w słowo. – Jak również to, że jest pan właścicielem wielu biznesów w Koszalinie i okolicach. Ja mam tylko dwa pytania.

– Słucham? – Fabiański spojrzał na nią ze zdziwieniem przemieszonym z uznaniem. Odpowiadał rutynowo.

W ostatnich dniach przez jego dom, zwykle strzeżony i niedostępny dla ciekawskich, a do takich przecież zaliczali się dziennikarze, przewinął się tabun żadnych sensacji gryziopiórków. W pewnym momencie przestał się skupiać na zadawanych pytaniach, jego słowa i tak nie miały znaczenia. Przybyli zadowalali się poprawnymi odpowiedziami, skupieni raczej na lustrowaniu wnętrza. Dlatego wszystkich zapraszał tylko do swojego gabinetu. Tu, na tle regału z książkami, pozwalał robić zdjęcia.

– Skąd pana rodzina wzięła kapitał na rozkręcenie interesów?

Fabiański patrzył na nią zdumiony. „Może jej nie doceniłem” – pomyślał.

– Właścicielką niemal całości naszych aktywów jest moja matka, Malena Fabiańska. Ja reprezentuję ją jedynie w niektórych działalnościach.

– Ale figuruje pan w zarządach większości spółek.

– To prawda. Moja matka pozostaje jednak przewodniczącą rad nadzorczych większości z nich.

– Pytałam jednak o początki. Pierwsze inwestycje.

– A nie wspomniała pani o dwóch pytaniach?

Bożena zmierzyla go bazylijszkowym wzrokiem.

– Oczywiście, już odpowiadam. – Uśmiechnął się pod nosem, pierwszy raz od pogrzebu żony. – Mama odziedziczyła niewielką chatę na Podlasiu po rodzicach swojej matki. Po moich pradiadkach, mówiąc inaczej. Nie zamierzała w niej mieszkać, a sentyment nie pozwalał na sprzedaż. Wyremontowała więc lokum, w dużej mierze sumptem własnym i pracą przyjaciół, którzy z przyjemnością spędzili czas nad niewielkim jeziorem, w pięknych okolicznościach przyrody i z zapewnionym wiktem. To nie był wielki remont – zastrzegł. – Niemniej wartość nieruchomości znacząco wzrosła. To był pierwszy kapitał mojej matki. A wie pani, co jest najbardziej niesamowite?

– A to nie ja zadaję pytania?

– Obiecuję, że oprowadzę panią po reszcie parteru. – Fabiański uśmiechnął się pojednawczo.

– Niesamowite zatem jest to, że nikt pana jeszcze o to nie pytał. – Bożena odpowiedziała uśmiechem.

– Zgadła pani! Skąd taka przenikliwość?

– Kolejne pytanie, ale niech i tak będzie. W żadnym z artykułów o państwa rodzinie nie ma informacji na ten temat.

– No właśnie. A to żadna tajemnica, tylko nikt nie pytał.

– Druga sprawa, o którą chcę zapytać, to Plastomal.

Fabiański rozłożył ręce w zapraszającym geście.

– Jakie ma pan plany wobec tej firmy?

– Czy kiedykolwiek mówiłem, że mam jakieś szczególne plany wobec niej?

– Takie długopisy – Bożena wystawiła przed siebie przedmiot, który zaledwie kilka minut wcześniej otrzymała od Fabiańskiego – przygotowuje się zwykle w niewielkiej liczbie, dla wybranych gości i ze szczególnych okazji. Pan mi go dał, więc to zapewne prototyp. Jest pan, jak sędzę, na etapie uzgadniania projektu tego efektownego gadżetu. Po co? Żeby zrobić coś wielkiego, prawda?

– Panie Boże, chroń nas przed kobiecą przenikliwością. – Fabiański zaśmiał się trochę nieszczerze. Potem westchnął. – Trudno zaprzeczyć. Kupiłem dwie firmy produkujące podobny asortyment. Jedną w okolicach Gdańska, drugą koło Białogardu. Obydwie mają wprawdzie niewielki park maszynowy, jednak doskonale uzupełniający posiadane przez nas maszyny. Dzięki tej inwestycji zamierzam rozwinąć portfolio usług i zapewnić klientom niemal kompleksową obsługę w zakresie opakowań dla przemysłu spożywczego. Dwa pierwsze zamówienia, duże, co dodam dla polectania własnej próżności, już mam. Rozumiem jednak, że to było drugie pytanie i na więcej nie będę musiał odpowiadać.

Bożena skończyła notowanie i schowała przybory do torebki. Zawahała się lekko, trzymając w ręce długopis.

– Śmiało – powiedział Fabiański. – Jest dla pani. A teraz dotrzymam słowa. Oprowadzę panią po partezie, choć wiele do oglądania nie ma.

– Pan zadał mi pytania, więc może przysługuje mi jeszcze jedno?

– Trzecie? To wbrew zasadom. Przypominam, że sama je pani ustaliła.

– A pan je z wdziękiem łamał, więc...

– Proszę pytać. – Fabiański roześmiał się, ale Bożena odniosła wrażenie, że nie był to serdeczny, niewymuszony wyraz zadowolenia. Gospodarz cały czas był czujny i skupiony, teraz jednak napiął, zapewne instynktownie, mięśnie karku i szyi. Czego się obawiał?

– Rozmawialiśmy o początkach rodzinnego biznesu. Wspomnił pan o domku na Podlasiu, to piękna historia. Uczynić coś wielkiego, zaczynając od tak skromnych zasobów, to wspaniałe. Pana matka nie dokonała tego jednak sama, prawda?

– Co ma pani na myśli?

– Pana ojca.

– Ale wie pani, że to jest delikatny temat?

Bożena rozłożyła ręce.

– Mój ojciec prowadził interesy ramię w ramię z moją matką przez wiele lat. Plastomal to jego pomysł, on też stworzył pierwszą linię produkcyjną. Zaryzykował, wziął jakieś kredyty. Czasy były inne, prywatna inicjatywa podlegała bacznej obserwacji służb, ojciec był ciągnany na nieustanne przesłuchania, firmę nękały kontrole. On wierzył w swój pomysł, nawiązał współpracę z niemiecką firmą, jeszcze zanim pojawiły się oficjalne joint venture. To była kompletna prowizorka, a jednak dał radę. I w międzyczasie spłodził trójkę dzieci.

– Pan jest najstarszy – wtrąciła Bożena, bo Fabiański zawiesił się na chwilę.

– Tak. Interesy zatem szły dobrze, rodzice jednak... Cóż, mama jest kobietą mocnego charakteru. Nie we wszystkim się zgadzali. A gdy okazało się, że mam więcej rodzeństwa, o którym mama nie wiedziała... rodzice rozstali się w głębokiej niechęci. Matka postanowiła wyeliminować ojca z naszego życia. Skutecznie. Spłaciła go, częściowo, bo tata uznał, że i tak interesy należą do rodziny. Do dzieci. Dla siebie zostawił dość na godne życie. Wyjechał na trochę, nie miałem z nim kontaktu. Wiem, że wrócił w okolice Koszalina, ale nie utrzymujemy żadnych relacji. Słyszałem, że ożenił się powtórnie, nie dane mi jednak było poznać jego nowej rodziny. Smutna historia, czyż nie?

Bożenie otworzył się worek z pytaniami, jednak Fabiański pokręcił głową i stanowczo wskazał otwarte już drzwi.

– Oprowadzę panią, jak obiecałem.

Weszli do wielkiego hallu, w którym za towarzystwo mieli jedynie dwa wielkie wazony wypełnione pachnącym kwieciem.

– Moja żona kochała kwiaty – wyjaśnił Fabiański, wędrując za spojrzeniem Bożeny. – Salon herbaciany powstał głównie dla niej – powiedział, wchodząc do pierwszego pomieszczenia z prawej strony. – Przy tych stolikach często urzędowała ze swoimi koleżankami, choć nie rozumiem, dlaczego blaty musiały być małe i okrągłe. Tu nie da się nic zjeść, można ewentualnie wypić filiżankę herbaty i ugryźć mikroskopijne ciasteczko. Posiłki spożywalimy tutaj. – Fabiański przeszedł dalej.

Idąc za nim, Bożena najpierw zobaczyła potężny intarsjowany stół i obite ciemnozielonym aksamitem krzesła. Dopiero potem dostrzegła sztukaterie na ścianach i suficie, ogromne okna okolone gęsto upiętymi firanami i niewielkie stoliki porozstawiane pod ścianami. Na każdym stał wazon z kwiatami.

– Stąd donoszą jedzenie, tam jest serce domu, czyli kuchnia. – Uśmiechnął się smutno, wskazując pomieszczenie po lewej. – Żona bardzo dbała o to, byśmy spożywali posiłki razem przynajmniej raz dziennie, a teraz... – Westchnął.

Rozmowę przerwało im nadejście mężczyzny w granatowym garniturze. Wyszeptał coś pracodawcy, po czym Fabiański odwrócił się do Bożeny i uśmiechnął się chłodno.

– Zmuszony jestem panią opuścić. Samochód czeka na panią przed wejściem. Dziękuję za odwiedziny, to była prawdziwa przyjemność.

Bożena nie miała nic do powiedzenia. Mężczyzna w granatowym garniturze odprowadził ją do drzwi i w milczeniu przyglądał się, jak wsiada do samochodu. Na szczęście szofer okazał się bardziej gadatliwy.

– Myślałam, że w domu jest pełno gości – powiedziała, gdy wyjechali już na Zwycięstwa, główną ulicę Koszalina.

– Po nawale gości związanych z pogrzebem wreszcie zapanował spokój – odpowiedział mężczyzna.

- A te trzy samochody na podjeździe?

Mężczyzna uśmiechnął się z kiepsko ukrytym politowaniem.

- Wystawiłem je na słońce, żeby solidnie przeschnyły. Zarządziłem porządne mycie z woskowaniem. Pan Stefan nie lubi zakurzonych samochodów.

Bożena nie odezwała się do niego już ani słowem.

Rozdział 5

„Každy ma swój krzyż” – myślała Bożena, zgrzytając zębami. Gerard był absolutnym mistrzem świata w wyprowadzaniu jej z równowagi. Właśnie przed chwilą, zupełnie mimochodem, podniósł jej adrenalinę i ciśnienie do poziomu wybuchającego wulkanu. Trudno nawet powiedzieć, że poszło o coś wyjątkowego. Chciał spędzić z córką jeden z ostatnich ciepłych dni. Upalne popołudnie, ojciec i nastolatka na mieleniskiej plaży, lody, ryba ze smażalni, piasek w aucie. Normalka. Bożena jednak odebrała to jako przytyk. Ojciec miał czas na popołudnie z Malwiną, ona nie. Poza tym Gerard nie musiał przejawiać żadnej aktywności, był stymulatorem jej irytacji przez sam fakt swojego istnienia. A może rozdrażnienie wynikało ze wspomnień? Przecież kiedyś było inaczej. Malwina nie wzięła się z nienawiści. Ani z przypadku, wbrew temu, co sądziła jej matka. Bożena chciała dziecka i chciała Gerarda za męża. Razem ze wszystkimi konsekwencjami – stabilizacją, niedzielnymi obiadami, pieluchami, zapachem potu po seksie, podawaniem aspiryny w przeziębieniu.

Dlaczego nie wyszło?

Czasem myślała, że to jej wina. I może tak właśnie było, co zupełnie nie zmniejszało jej wkurzenia.

Musiała chwilę ochłonić po rozmowie z byłym mężem. To był dobry moment na zaplanowanie pracy. Miała przecież swój projekt *Wielcy ludzie Koszalina*. Jak zwał, tak zwał, tytułu jeszcze nie miała, ale o to z grubsza chodziło. Wyciągnęła notatki i zaczęła porządkować materiały do projektu, furia jednak nie mijała.

Uznała, że nie może dłużej zwlekać. Dochodziło południe, powinna pojechać do Fabiańskiego. Wyszła z radia, tupiąc obcasami, ledwie skinęła portierowi, choć zwykle zamieniała z nim kilka słów. Wsiadła do auta i ruszyła z piskiem opon. Wciąż zła, włączyła radio i parokrotnie głośno krzyknęła. Przekląła przy okazji kilku kierowców, choć wcale na to nie zasłużyli.

– Nic nie szkodzi, nikt tego nie słyszał – powiedziała do siebie.

Próba opanowania wściekłości spowodowała, że wykręciła numer Fabiańskiego, dopiero minąwszy 4 Marca. Zanim wymienili grzeczności i Bożena przedstawiła prośbę o osobistą rozmowę, minęło kilka minut, a tego dnia ruch był wyjątkowo mały. Była już na Rokosowie.

– Chciałbym jednak w spokoju uczcić odejście mojej matki – odpowiedział mężczyzna. – Mamy sprawę rodzinne do omówienia. Przełożmy rozmowę na inny termin.

– Jestem już niemal pod pana bramą – odpowiedziała bez pardonowo Bożena.

Usłyszała tylko westchnienie. Oczami wyobraźni zobaczyła Stefana Fabiańskiego kręcącego z dezaprobatą głową. Rozłączył się bez pożegnania, choć uchodził za lokalny wzorzec kurtuazji. Bożena poczuła, że już na wstępie go zdenerwowała. „Fajnie, będzie dobra rozmowa” – pomyślała.

Rokosowo było tradycyjnie bogatą dzielnicą. Przed wojną istniały tu nowoczesne osiedla domów dla policjantów i urzędników, tutaj też prowadziła linia tramwajowa numer dwa. Jej likwidację w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym Bożena uważała za błąd, reklamacje do niemieckich władz już się jednak przeterminowały. W czterdziestym siódmym rozebrano torowisko i przekazano je do Grudziądza, do dziś najmniejszego miasta w Polsce z komunikacją tramwajową.

– Zrujnowano moje miasto! – irytowała się Bożena. – Parszywi komuniści!

Mówiła tak, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że akurat komuna całkiem się Koszalinowi przysłużyła. Miasto przez czterdzieści osiem lat miało status wojewódzkiego, to było coś. „Swoją drogą – myślała Bożena, wysiadając z samochodu – ciekawe, jak Fabiańscy zdobyli ten teren. W pięćdziesiątym czwartym

przylączono Rokosowo do Koszalina, Fabiańska miała wtedy... dwadzieścia siedem lat. Już było ją stać na taki kawał ziemi? Do sprawdzenia”.

W PRL-u Rokosowo zdominowały koszary wojskowe, poprzytykane tu i ówdzie mniej i bardziej bogatymi willami. Na tle tych imponujących domów posesja Fabiańskich jawiła się jako rezydencja. Rozległy teren z zadbanym trawnikiem, gęsto obsadzony wokół ogrodzenia. Niepotrzebny był mur, zielona ściana skutecznie odgradzała mieszkańców od ciekawskich spojrzeń. Zresztą w tej okolicy każdy strzegł prywatności.

Bożena zostawiła auto z boku podjazdu, z premedytacją, tak by przeszkadzało przy ewentualnych manewrach innych samochodów. A co. Bogactwo tego domu kiedyś ją onieśmiało, ostatnio jednak już tylko drażniło. Jak zresztą większość otaczających ją spraw, ludzi i rzeczy.

Siedziba rodu prezentowała się bogato już na pierwszy rzut oka, tak jak zawsze. Czarnej flagi wywieszonej na maszcie nie było – być może dlatego, że nie było masztu. Śmierć nie zmienia kształtów budynku. Jedyną oznaką żałobnej celebracji były świerkowe gałązki leżące na trzech szerokich schodach wejściowych. Obyczaj zupełnie Bożenie nieznan. „Chyba na Podlasiu tak celebrują oplakiwanie zmarłych” – przemknęło jej przez głowę.

W drzwiach czekał na nią majordomus, jak nazywała go w myślach. Zawsze w granatowym garniturze, ktoś pomiędzy służącym, kamerdynerem a doradcą Stefana Fabiańskiego. Osoba, której imienia nie pamiętała, choć był to najbardziej charakterystyczny człowiek w tym miejscu. Może dlatego, że w Koszalinie służba nie była oczywista. Precyzyjnie rzecz ujmując, w żadnym koszalińskim domu nie było kamerdynera – poza tym, po schodach którego stąpała Bożena.

Jeśli na zewnątrz domu żałobę symbolizowały tylko gałązki iglaka, to wewnątrz ostentacja była namacalna. „Serio? Bogacze też ulegają przesądom?” – myślała, oglądając lustra przesłonięte czarnymi tkaninami, meble okryte kirem, opuszczone do połowy okienne żaluzje. Próbowwała sobie przypomnieć, jak wyglądało to miejsce piętnaście lat wcześniej, gdy przeprowadzała ze Stefanem Fabiańskim pierwszy wywiad. Było pełno kwiatów, to zapamiętała. Nie było zaduchu, przytłaczających czarnych tkanin zbierających kurz, nie było tego poczucia... czego właściwie? Smutek w domu żałoby jest oczywisty, ale tutaj? Czy to była... Tak, Bożenie cały czas to słowo przychodziło na myśl. W tym zaciemnionym domiszczu dominowała ulga. Nawet kamerdyner nie był przygnębiony. Ot, facet w pracy.

Piętnaście lat wcześniej było tu dużo światła – tego była pewna. Dzięki ogromnym oknom wielkie lustra w słoneczny dzień świeciły jak stadionowe latarnie, powiększając optycznie i tak wielkie wnętrza. Hall niczym z *Dynastii*, po prawej stronie salonik herbaciany, w głębi jadalnia. Z korytarza Bożena widziała zaledwie fragment stołu i równo ustawione ciemnozielone krzesła. Z tamtej strony znajdowała się też kuchnia, z której teraz dochodziły całkiem smakowite zapachy.

Cóż, po pogrzebie też trzeba jeść. Choć coś na pewno nie działało należycie. W tym domu zapach smażonego obiadu nigdy nie unosił się w hallu. Wadliwa instalacja? Wątpliwe. Raczej ktoś coś zaniedbał. Może chociaż jedną osobę w tym domu zatroskało odejście starszej pani? Niech to będzie kucharka, niech im przypali kotlety. Niech chociaż tym się zmartwią.

Po schodach zszedł Stefan, od kilku dni nestor rodu. W czarnych spodniach i czarnej koszuli, z siwymi krótkimi włosami, wyglądał jak ksiądz bez koloratki. Bożena aż wzdrygnęła się na tę myśl. Nie po drodze jej było z duchownymi, odkąd ksiądz publicznie wyzwał jej dziecko od bękartów. Nie mieli z Gerardem ślubu kościelnego, i co komu do tego?

Stefan Fabiański jak zawsze miał stanowcze ruchy, stalowy uścisk dłoni i oczy, które nie pozostawiały wątpliwości – to był człowiek o żelaznej woli i niezłomnym charakterze.

– Dzień dobry – powiedział z wycwiczonym uśmiechem. Nie cieszył się z jej wizyty, to było oczywiste, potrafił jednak zachować pozory. A może po prostu zależało mu na utrzymaniu poprawnych relacji z prasą? Tylko oczy zdradzały chłód i podejrzliwość.

„Choć przecież, poniekąd, jestem jego pracownicą” – Bożenie przemknęła przez głowę ta niepokojąca konstatacja, uzupełniła ją jednak zaraz inną: „Ale tylko w portalu. W radiu podlegam komu innemu”. Od razu też odepchnęła od siebie kolejną myśl, równie niewygodną: „Czy ja na pewno dobrze znam naturę stosunków Edmunda i Fabiańskiego? W końcu wozilałam starej te ciasteczka...”.

Gospodarz zerknął w stronę części jadalnej.

– Moja matka, dopóki żyła, dbała o integrację rodziny. Wspólne posiłki były dla nas bardzo ważne. Dalej takie pozostały, choć w ostatnich miesiącach mamie zdarzało się pozostawać w swoim pokoju. Mawiała, że tylko ciasteczka od Edmunda jej smakują na stare lata.

– Od Edmunda? – Bożena nie powstrzymała się od nietaktownego zdziwienia.

Fabiański kiwnął głową i zacisnął wargi. Jakby powiedział za dużo.

„I proszę” – pomyślała. „Jakbym wykrakała. Tak poufale, po imieniu, Edmund. Powinnałam uważać. A właściwie w dupie mam uważanie. Zrobię swoją robotę najlepiej, jak to możliwe, bez względu na układy i układziki”.

Stefan Fabiański gestem zaprosił Bożenę do gabinetu, po lewej stronie od wejścia. Tutaj oznak żałoby nie dostrzegła. Reprezentacyjne regały z ciemnego drewna, zastawione gęsto książkami, i dwa głębokie, obite bordowym żakardem fotele – wszystkie meble stały jak zawsze.

Przemknęło jej przez myśl, że to było wewnątrz znane obywatelom Koszalina – na tle tych książek Stefan Fabiański zwykle pozował do wszystkich oficjalnych zdjęć. Aparat fotograficzny w komórce każdego przechodnia odrobinę zmienił wizerunek krezusa, jednak nieznacznie. Bogaty księgozbiór utrwalił się w powszechnej świadomości. Miał nasuwać przypuszczenie, że jego właściciel był czytany, zatem – mądry. I dość skutecznie udało się zbudować takie postrzeganie Stefana Fabiańskiego.

Przez chwilę pomyślała, że fajnie byłoby zasiąść w takim uszaku z filiżanką szatańsko mocnego espresso i po prostu oddać się nicnierobieniu. Ciężar torby ze sprzętem szybko przywrócił Bożenę do rzeczywistości. Czasu przecież nie miała za wiele, przeczuwała, że Fabiański będzie chciał skrócić ich rozmowę do minimum. „Na pewno ma mnóstwo spraw do omówienia z rodziną” – pomyślała złośliwie. „Pieniądze same się nie podzielą”.

– Chciałabym przygotować materiał wspomnieniowy o pana mamie. Zdaję sobie oczywiście sprawę z poniesionej przez pana straty i poczucia żalu, jednak mój szef i ja chcielibyśmy wyemitować rozmowę na antenie jak najszybciej. Wstrzymujemy się z cyklem biznesowo-kulturalnym o najwybitniejszych postaciach Koszalina, uznając, że odpowiednio wyrażony szacunek dla pani Maleny jest ważniejszy.

Słowa wypowiadała z uśmiechem, ale wewnątrz Bożena gotowała się ze złości. To był drugi powód, dla którego tego dnia jej poziom wkurzenia przekroczył wszelkie dopuszczalne normy. Edmund dorwał ją zaraz po wejściu do radia, kiedy jeszcze nie odzyskała równowagi po wspaniałej telefonicznej wymianie zdań z Gerardem. Już sam widok szefa powodował u Bożeny niesmak, a teraz jeszcze usłyszała, że jej dopracowywana seria wywiadów musi poczekać. Bo co? Bo najpierw musi iść pean o wrednej starej babie, po odejściu której rodzina i służący oddychają z ulgą!

Bożena wzięła głęboki oddech. Przygryzła delikatnie wargi, ukrywając ich drżenie, po czym spojrzała Fabiańskiemu w oczy.

– Rozumiem. – Mężczyzna westchnął. – Proszę pytać.

– Chciałabym zacząć od luźnych wspomnień. Jaka była pana mama?

Rozmówca zerknął na nią z ukosa.

– Czy już nagrywamy?

Bożena kiwnęła głową.

– Mama była niesamowitą, silną kobietą. Z przedwojennego materiału, czyli pokolenia, które musiało brać się za bary z wyjątkowo nieprzychylnymi życiowymi warunkami. Dała radę wszystkiemu. Wychowała nas praktycznie sama, ojciec zajmował się w domu wyłącznie interesami, więc mama...

– Wielki nieobecny, czy tak? – odruchowo zapytała Bożena.

– Wolałbym skupić się na wspomnieniu o mamie, jeśli pani pozwoli. Jak pani pamięta, ojciec zostawił naszą rodzinę.

„I dlatego nie ma go w ciepłych wspomnieniach dzieci” – pomyślała Bożena. „Matka okazuje się zatem samozapylającą opoką rodziny. Niech mu będzie. Wrócimy do tego kiedy indziej”.

Wystawiła twarz, sugerując zainteresowanie dalszym ciągiem wypowiedzi Fabiańskiego.

– To mama dała załóżek pod majątność naszej rodziny, a potem, po latach, gładko przejęła wszystkie interesy. Była niesłychanie energiczna i konkretna, bardzo pracowita. Z zewnątrz mogła wyglądać jak perfekcjonistka, lubiła bowiem, gdy wszystkie sprawy szły po jej myśli.

„Z zewnątrz?” – pomyślała Bożena. „To była zamordystka! Inteligentna żmija, rządząca za pomocą wszelkich dostępnych środków. Nawet mnie ustawiała podczas tych kilku krótkich wizyt w jej pokoju”. Nie powiedziała tego jednak.

– Na mamę zawsze mogliśmy liczyć. W sprawach ważnych i mniej istotnych. Wspierała nas, całą rodzinę, słowem, radą, gestem. W ostatnich latach artretyzm dawał jej się we znaki, rzadko więc opuszczała dom. Poza cotygodniowymi odwiedzinami w kościele Świętego Wojciecha zasiadała zwykle w swoim ulubionym fotelu, korzystając z uroków przeszklonego tarasu od strony ogrodu. W minionym roku niechętnie nawet wychodziła poza własną sypialnię. A jednak jej głos wciąż był donośny i ważny dla całej rodziny.

„Niczym donna z hiszpańskiego serialu o południowoamerykańskich plantatorach kawy” – uzupełniła w myślach Bożena. „Nosila nawet podobny koronkowy szal”.

Słuchając Fabiańskiego, pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Świadek wiary raczej niż opis rzeczywistości. „Laurka na miarę cukrowej Barbie” – pomyślała, uśmiechając się sztucznie. Szybko przestała słuchać Fabiańskiego, pozwalając sobie rozejrzeć się po wnętrzu.

Zwykle Fabiański siadał za biurkiem, a ona na niewygodnym tapicerowanym krześle. Stamtąd był świetny widok na regały upchane książkami oprawionymi zapewne w skórę. Niewątpliwie dlatego Fabiański tak sadzał gości. Pokazywał, co miał najlepszego. Dziś jednak gospodarz usiadł przy swoim biurku, a ona na niewielkiej kanapie, całkiem zresztą wygodnej. Z tej perspektywy wewnątrz prezentowało się inaczej. Cały czas przytulne i pokazujące umiłowanie do wiedzy, odkryło jednak przed Bożeną kącik, na który wcześniej nie zwróciła uwagi. Stolik, na nim duży globus, kilka starych map na ścianach. A na stoliku zdjęcia. Tak samo jak w apartamencie Maleny, oprawione w srebrne ramki. Miała ochotę podejść i zobaczyć, kto na nich widnieje, nie miała jednak możliwości.

– Tak więc cała nasza rodzina pograżyła się w głębokim smutku – dokończył Fabiański.

– A czy zechciałby pan, na potrzeby artykułu, wspomnieć jednak choć w kilku słowach o pańskim ojcu?

Fabiański westchnął ciężko.

– Nasza matka wychowywała nas sama.

– Rozumiem, że ojciec to *persona non grata*, jednak zmarł zaledwie dziesięć lat temu.

Dłuższą chwilę czekała na odpowiedź.

– Moja matka, jak pani wie, była osobą o bardzo silnej osobowości. Nie tolerowała... Trudno było jej się przeciwstawić.

– A pana ojciec to zrobił.

– Przejdźmy do spraw aktualnie istotnych. – Fabiański chłodno spojrział na Bożenę.

– Rozumiem, że na pogrzeb przybyli krewni z różnych stron świata?

– Przyleciała moja siostra z Kanady oraz brat ze Śląska. Obydwoje są bezdzietni, więc młodsze pokolenia będzie reprezentowała tylko moja linia. Dwie zameżne córki wraz z dziećmi oraz mój syn.

Coś w głosie Fabiańskiego zastanowiło Bożenę. W którym miejscu się zawahał? Nie potrafiła teraz tego rozstrzygnąć, skupiła się na bieżącej rozmowie.

– Znając pana szczodrość, zechce pan z pewnością upamiętnić mamę.

– Oczywiście. W najbliższym czasie zamierzamy razem z całą rodziną uzgodnić najwłaściwszą formę. Będzie to, jak sądzę, jakieś wsparcie dla najbardziej potrzebujących pomocy. Może stypendium dla zdolnych dzieci imienia mamy, a może fundacja, choć pewnie to nie najlepszy pomysł, bo przecież istnieje już rodzinna fundacja imienia mojej zmarłej żony. Nie mamy jeszcze wypracowanych adekwatnych rozwiązań.

Fabiański chciał jeszcze coś dodać, rozmowa jednak została brutalnie przerwana wtargnięciem mężczyny, który ze skargą w głosie, niczym nastolatek, oznajmił:

– Co za palant postawił się w poprzek podjazdu?

– Dzień dobry. – Fabiański chłodno powitał syna. – Przywitaj się z panią... z panią...

– Bożena Jechimiak, dzień dobry – odpowiedziała z sarkastycznym uśmiechem. – To ja. Śpieszyłam się na rozmowę z pana tatą, a podjazd zdał mi się na tyle szeroki, że każdy samochód się zmieści.

– Zmieścić się zmieścił, ale to dość niezwykle sposób parkowania – odrzekł młody kapryśnie. – Tato, pozwól na chwilę.

– Proszę o wybaczenie – odrzekł Fabiański z westchnieniem, wstając jednocześnie z fotela. – Może zaproponuję pani jeszcze coś do picia?

– Gdybym mogła poprosić o espresso...

Fabiański kiwnął głową i wyszedł z synem.

Bożena pomyślała, że syn Fabiańskiego naprawdę zachowuje się jak podstarzały nastolatek. Najwyżej dwudziestokilkulatek. No i ten strój. Wytarte dżinsy za kolano. Czerwona podkoszulka w krzykliwy wzór. Skórzane sandały. Usłyszała, jak ojciec strofuje syna:

– Ubrałbyś się przyzwoicie. Twoja babka nie żyje!

– Na pogrzebie byłem na czarno – odpowiedział kpiąco Artur. – Zresztą babci to i tak obojętne.

– Twoja babka była niezwykle wrażliwa i zwracała uwagę na formę.

– Ale jej już nie ma, jak słusznie zauważyłeś.

Bożena miała nadzieję, że zza drzwi usłyszy coś więcej, jakąś soczystą, prowadzoną podniesionym głosem rozmowę, zapanowała jednak cisza. Panowie musieli przejść widocznie w inne miejsce. Przypomniała sobie, że ten „młodzieniec” miał już blisko czterdzieści lat. A może i przekroczył ten magiczny wiek?

Wykorzystała sposobność. Z lekkim stęknieniem – kanapa była wygodna, jednak dość głęboka – wstała, podeszła do stolika i rozpoczęła systematyczne lustrowanie chronologicznie ustawionych fotografii.

Najstarsze zdjęcie było w sepii. Przedstawiało dziewczynkę w krótkiej falbaniastej sukience, opartą o kolumnę na tle widocznego ukwieconego ogrodu. „To musi być Malena Fabiańska w młodości” – pomyślała Bożena. „Ciekawe, jak się wtedy nazywała. Muszę o to zapytać. Tak się dałam zakleić słodką gadką-papką o silnej kobiecie, że w sumie nie zadałam żadnych sensownych pytań”.

Kolejne dwie czarno-białe odbitki utrwalone zostały w większym formacie. Na zdjęciu ślubnym para stała koło siebie. Welon musiał być abstrakcyjnie długi, bo nawet stojącej Malenie Fabiańskiej okrywał spletanym węzłem stopy. Kobieta wyższa od męża spoglądała w obiektyw z wyraźną satysfakcją. Drugie, studyjne zdjęcie przedstawiało tę samą parę. Kobieta trzymała na rękach dziecko.

I już nowsze zdjęcia, kolorowe. Tylko na jednym z nich Fabiańska uwieczniona została z mężczyzną. Coś w kształcie jego twarzy ponownie zastanowiło Bożenę. Mocna szczeka? Układ zmarszczek wokół uśmiechniętych oczu? Na fotografii postaci stały blisko siebie, niemal przytulone, a Malena trzymała za rękę na oko dwuletnie dziecko. W tle widać było jakiś budynek, zapewne poniemiecki. Jakaś fabryka? Szpital? Bożena przyjrzała się szczegółom i szybko odkryła, że to wieża poniemieckiej papierni, dzisiaj często

nazywana wieżą ciśnień. Piękne miejsce, wokół którego narosło wiele legend. Jedna z nich głosi, że okupanci poza produkcją papierów wartościowych zajmowali się tutaj także wytwarzaniem nowoczesnej broni. Trzy lub cztery kondygnacje pod wieżą zajmował instytut naukowo-badawczy. Przed wyzwoleniem Niemcy nie zdążyli wywieźć parku maszynowego, a wysadzenie fabryki zrujnowałoby jedną trzecią miasta. Bożena zastanawiała się czasami, czy fakt, że postanowili uchronić Koszalin i zatopili fabrykę, pozostawiając wewnątrz wszystkich jej pracowników, dowodzi, że chcieli kiedyś do Koszalina wrócić. Jak do siebie?

Dziennikarka wzdrygnęła się i wróciła do tu i teraz.

Kolejne zdjęcia przedstawiały sceny w parku: na jednym dziecięcy wózek i znów chłopczyk trzymany przez Malenę za rękę, na następnym już trójka dzieci, Malena dzierżyła w ręce jasną parasolkę, a obok niej stała krągła, niewysoka kobieta w czepku. Niania? Który to mógłby być rok? Pięćdziesiąte lata, szalejąca komuna, a ona ma parasolkę przeciwsłoneczną? I niankę do dzieci?

Ciekawe...

Kolejne zdjęcia świadczyły o rosnącym statusie majątkowym rodziny. Właściwie nie rodziny. Maleny. Jej męża nigdzie więcej na zdjęciach nie było. Bardziej współczesne fotografie prezentowały Stefana i jego rodzinę, córki, syna, wnuki. Ślubne zdjęcie ukazywało parę młodą we wnętrzu urządzonym w stylu lat siedemdziesiątych. To nie był Stefan, więc zapewne jego siostra? Albo brat? Raczej siostra, sądząc po podobieństwie do kobiety, która pojawiła się na pogrzebie. Brata nie było na żadnym zdjęciu poza tymi z parku, jeszcze z dzieciństwa, nawet na ślubnym zdjęciu Stefana. Była także odbitka wizerunku zmarłej blisko piętnaście lat temu żony Stefana.

Bożena pomyślała, że to dość znamienne. Wielcy nieobecni – mężczyźni w tej rodzinie. I brat Stefana, i jego ojciec, mąż Maleny. Żona chciała go zdominować, więc uciekł. Znienawidziła go zatem i próbowała wymazać z historii rodziny. A jednak wciąż kochała, na co wskazują zdjęcia na jej stoliku. Nieobecny, a wciąż mieszkający w jej sercu. Romantyczna historia. Adekwatna dla matrony zarządzającej twardą ręką wielkim majątkiem.

– Kawa dla pani. – Usłyszała cichy głos od drzwi.

„Wreszcie ktoś zmartwiony!” – skonstatowała z zadowoleniem. Służąca, którą doskonale pamiętała, bo obsługiwała przede wszystkim Malenę Fabiańską. Widziały się tamtego feralnego dnia, teraz wyglądała jak szara wyżęta szmatka.

– To strasznie trudny czas – zagaiła Bożena. – Dziękuję za kawę, znakomita.

Dziewczyna, odziana w klasyczny fartuszek, zacisnęła usta i pokiwała głową.

– Pani była taka radosna jeszcze tego samego ranka. Przed... przed...

– Rozumiem, oczywiście. – Bożena podeszła do służącej i pogłaskała ją uspokajająco po plecach. – To dobrze, że odeszła zadowolona.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Chyba nie. Pani cieszyła się, bo uważała, że wszystko wróci na odpowiednie tory. Że pan Artur...

– Proszę wybaczyć zachowanie syna. – Rozmowę przerwało im wejście Stefana Fabiańskiego.

Służąca kiwnęła głową i wyszła. „Jak w hacjendzie na dziewiętnastowiecznej plantacji w Brazylii” – pomyślała Bożena. „Szkoda, że nie dygnęła”.

– Znakomity napar – pochwaliła po upiciu jednego łyka. Aż przytknęła oczy z rozkoszy.

– Jest pani koneserką?

– Nie zamierzam dodawać sobie splendoru, ale lury nie pijam. Chciałabym zadać jeszcze kilka pytań i nie będę więcej zakłócać pana spokoju.

– Dziękuję za wyrozumiałość – odpowiedział Fabiański.

Bożena wyczuła w tym wyższość kogoś, kto skąpo rozdziela zaszczyt przebywania ze swą dostojną osobą. Zirykowało ją to.

- Dochodzę siedemdziesiątki, bywam zmęczony. Wzorem matki muszę uporządkować wszystkie sprawy, na wszelki wypadek. Nie, proszę tak na mnie nie patrzeć, nie wybieram się na tamten świat i nie zamierzam oddawać sterów rodzinnych interesów, niemniej sprawy muszą zostać usystematyzowane. Być może odrobinę zwolnię, choć emerytury jeszcze nie planuję. - Zawahał się. - A przynajmniej nie całkowicie.

- O to właśnie chciałam zapytać, tak dla porządku. O państwa firmach rozmawialiśmy już kilkakrotnie, rozumiem, że w ich zarządach nic się nie zmieni?

- Oczywiście. To na pewno zainteresuje słuchaczy. - Fabiański zaśmiał się sztucznie. - Zapewne przeprowadzimy niezbędne korekty. Miejsce po mamie w radach nadzorczych naszych spółek pozostaje puste, musimy rodzinnie ustalić, kto przejmie konkretne zadania. Zapewne, w naturalny sposób, będę to ja.

- W zarządzie zatem zasiądzie...? - Bożena z premedytacją pozostawiła pytanie otwarte.

- Zapewne mój syn, Artur.

- A czy pana brat nie zechciałby także włączyć się w prowadzenie...

- Skąd przyszedł pani do głowy taki pomysł? - przerwał jej Fabiański.

- Jest spadkobiercą.

- Mój brat mieszka na Śląsku. - Fabiański zakończył wypowiedź, jakby powiedział wszystko.

Bożena jednak uważała, że jest na ten temat do powiedzenia znacznie więcej.

- A siostra?

- Jak wspomniałem, siostra mieszka w Kanadzie - odpowiedział Fabiański lodowato.

Bożena uniosła brwi.

- I w żaden sposób nie potrafi się włączyć w pracę dla dobra całej rodziny?

- Nigdy nie wyraziła takiej chęci. Zresztą, taka była wola mojej matki.

- A jak wiadomo, to jest niepodważalne - zakpiła Bożena, zanim pomyślała.

- Jak pani wie - Fabiański spojrział na nią lodowato - dzięki mojej mamie nasza rodzina jest właścicielem Plastomalu, osiemnastu sezonowych smażalni działających w miejscowościach stricte nadmorskich, zakładu pogrzebowego oraz hurtowni odzieży. Poza tym prowadzimy gospodarstwo produkujące kwiaty na eksport, specjalizujemy się we frezjach. Od lat także zajmujemy się produkcją pieczarek, to właściwie był pierwszy interes, który założyła moja mama.

- Oczywiście. Tego mogła dokonać wyłącznie osoba o żelaznej sile woli - stwierdziła ugodowo Bożena.

„Choć nie robiła tego sama, o ile dobrze pamiętam” - dodała w myślach. „Sporo z tych podwalin jest dziełem wielkiego nieobecnego, czyli szacownego małżonka”.

Fabiański sapnął, chyba ukontentowany.

- Właśnie, proszę wybaczyć - kontynuowała Bożena - jak nazywała się z domu pana mama? Wykorzystam bardziej w artykule niż w wywiadzie.

Gospodarz zamilkł na chwilę.

- Fabiańska to rodowe nazwisko mojej matki. Nie wiedziała pani?

Bożena pokręciła głową.

- Mama rozwiodła się w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku i wróciła do swojego nazwiska, nam także zmieniając je na swoje. Poprzednie nie ma dla nas żadnego znaczenia - uciał, widząc, że Bożena zamierza o to zapytać.

- Rozumiem - odpowiedziała, ściągając wargi w cienki sznureczek.

„I tak się dowiem” - pomyślała, dopijając kawę. „Jeśli będę tego chciała”.

- Naprawdę znakomity napar - powiedziała. - Myślę, że mam wszystko - dodała, wstając.

- Dziękuję pani za odwiedzinę.

Fabiański stał, czekając, aż Bożena spakuje sprzęt. Gdy skierowała się do drzwi, do gabinetu znów wpadł bez pardonu syn Fabiańskiego.

– Jadę na chwilę do miasta. Wrócę za godzinę, akurat na obiad. Nie mam ochoty siedzieć z tymi wszystkimi smutasami i zastanawiać się, kto dostał więcej i jak to można zakwestionować. Lecę!

Czterdziestoletni młodzian wybył, a senior rodu pokręcił głową.

– Uwielbiam mojego syna, może nawet za bardzo. Wolałbym jednak, by już się ustatkował. Córki dawno obdarzyły mnie wnukami, czekam już na trzeciego prawnuka. A Artur... Jedyne dziecko, może dlatego ma poczucie, że wszystko mu wolno. Zresztą, moja mama myślała tak samo. Oczekiwała, że Artur... Cóż, nie będę pani zatrzymywał.

Bożena pojechała do radia, zmontowała wywiad z Fabiańskim i zaczęła pisać artykuł. Nie kleił się. Słowa uciekały, wszystko było gładkie jak powierzchnia sedesu. Nie było na czym zatrzymać myśli. „Jak posmarowane towotem” – pomyślała Bożena. „A może takie właśnie powinno być? W końcu ma to być wspomnienie o nobliwej starszej damie. Swoją drogą, ciekawa sprawa z tym nazwiskiem”.

Rozdział 6

A jednak artykuł wyszedł Bożenie znakomicie. Zajął całą trzecią stronę lokalnego dodatku, a wytłuszczony lead, zgodnie z obietnicą Sławka, trafił na front gazety. Dokładnie tak, jak piętnaście lat wcześniej pierwszy materiał Bożeny o Fabiańskich. Oczywiście i wtedy, i teraz gazeta sprzedawała się świetnie. W stosunku do kilku ostatnich tygodni zwrotów było o trzydzieści procent mniej.

– Jeszcze kilka takich śmierci i okaże się, że koszańska prasa drukowana będzie samotną wyspą na oceanie branżowych bankructw – powiedziała Dorota.

Dochodziło południe, obydwie już miały poranne obowiązki za sobą. To był dobry czas na croissanta i kawę.

– Wolałabym pomyśleć, że to mój artykuł wpłynął na wynik sprzedaży, nie zgon sympatycznej starszej pani – prychnęła Bożena.

– Sympatycznej? – Dorota zakrzuszyła się kawą. – Donna Malena w czarnym koronkowym szalu na głowie była postrachem rodziny!

– Skąd niby to wiesz? – Bożena spojrzała na przyjaciółkę z dezaprobatą. – Nie odniosłam takiego wrażenia. Stefan wyrażał się o matce z szacunkiem.

– Brałaś coś? Nie poznaję cię. A niby co miał mówić?

– Dobra, przecież wiem, że napisałam laurkę. Niby czego innego się spodziewałaś? Miałam kalać pamięć staruchy, która twardą ręką trzymała za twarz syna, wnuczki i wnuka? To była zamordystka, nawet kiedy rodzina szła do kościoła, prowadziła ich tam na smyczy. Widziałaś to kiedyś?

– Mieszkam na północy. Chodzę do kościoła pod wezwaniem Ducha Świętego. – Dorota wzruszyła ramionami.

– A ja bywam na Rokosowie. Wychowałam się na Nowowiejskiego, nasza parafia to właśnie Święty Wojciech. Wejście Fabiańskich do kościoła to był spektakl. Wyglądało jak procesja, jakby trzymali w rękach sznurek. Malena wspierała się na ramieniu Stefana i pokonywała drogę krok za krokiem. Tak powoli, że przyjeżdżali zwykle pół godziny wcześniej.

– Tam jest do przejścia pięćdziesiąt metrów? Sto?

– Właśnie. Widać było, że starucha ma sporą radochę, a rodzina z tyłu podskakuje jak na gumce. Szczególnie dzieciaki. Wnuczki Maleny próbowały utrzymać maluchy w ryzach, ale dzieciaki kręciły się jak trzmielę wokół ula. Ósemka w prawo, ósemka w lewo, trzy spiralki i wracały do matek, które w tym czasie posunęły się o półtora kroku. I tak kwadrans, dwadzieścia minut. Malena rozkoszowała się spojrzzeniami parafian, pławiła się w ich uwadze, odgrywała pełnowymiarowy cyrk pod publiczność. Medialna sensacyjka na lokalną, rokosowską skalę. Wszyscy, dosłownie wszyscy patrzyli na tę rodzinę. Niczym pajęczycy w sieci, królowa matka, Malena ciągnęła za sobą kawalkadę. Rodzina szła zawsze w tej samej kolejności, miałam nawet wrażenie, że odległości między nimi były takie same. Kiedyś widziałam, jak Artur ukradkiem grzebał w telefonie, natychmiast warknęła na niego siostra. Powiedziała coś w rodzaju: „Chcesz, żeby babka zobaczyła?”. Jakby Malena była...

– Wszechwładna? – uzupełniła Dorota.

– Właśnie. – Bożena przytaknęła, wzruszając ramionami.

– I dlatego nie rozumiem, dlaczego o tym nie napisałaś. Twój artykuł to...

– Laurka – powtórzyła Bożena.

Dorota spojrzała na przyjaciółkę, rozkładając ręce. Jej pytanie było tak oczywiste, że nie musiała go zadawać. Bożena wzruszyła ramionami.

– Może szacunek dla śmierci.

– Prędzej uwierzę w chęć podlizania się Fabiańskiemu. Jest przystojny, rozumiem, ale dla ciebie zdecydowanie za stary.

Bożena wywróciła oczami.

– Chwila słabości. Swoją drogą... Czy ty wiesz coś o mężu starej Fabiańskiej?

– O kim?

– Wiesz, dzieci zwykle rodzą się, gdy mężczyzna i kobieta, te motylki, pszczołki, i tak dalej...

– Ha, ha. Wiem tylko tyle, i wszystko to kategoria „plotka”, że nie był Fabiańskiej wierny. Stara dostała szału, wywaliła chłopca z domu, rozwiodła się. Podobno facet miał dziecko na boku. Malena wróciła do swojego nazwiska i od tego czasu właściwie nikt nie słyszał o starym. Wszystko to plotki, oczywiście.

– Yhm – mruknęła Bożena. – Tyle to i ja wiem. I to wcale nie plotki, tylko wieści potwierdzone bezpośrednio na dworze Fabiańskich.

– Nawet jeśli, to jest w tym kontekście nieważne. Ojciec Stefana nie miał tu nic do rzeczy. Dlaczego to napisałaś?

– Szef o to prosił. Nie Edmund. To znaczy, Edmund też, ale dla mnie ważny był Sławek, ten z „Wiadomości”.

– A ty słuchasz szefa? Od kiedy? Najbardziej krnąbrna dziennikarka ever?

– Sławek dał mi szansę, kiedy byłam gówniarą. – Bożena westchnęła. – Ostatnio mówił mi o problemach gazety. Chwyta się teraz każdej sposobności, żeby dziennik istniał jeszcze... jakiś czas. Chwilę, moment. Miesiąc, rok. W tym czasie gazeta rozwija gwałtownie wydanie online. To dlatego mój artykuł w sieci ukazał się tak rozbudowany i okraszony świetnymi zdjęciami. To podziękowanie dla mnie. Za grzeczną formę.

– Stałaś się konformistką? Gdzie moja Bożena?

– Mam córkę na utrzymaniu.

– I Gerarda w zanadrzu. Nie migał się od łóżenia na córkę, coś się zmieniło?

– Wkurzasz mnie – odpowiedziała Bożena, zaciskając zęby.

– Wiem. – Dorota uśmiechnęła się szeroko. – I nie zamierzam przestać. Nie wyobrażam sobie miłą, słodką Bożeny, ulegającej prośbom jakiegoś fagasa. To jakaś obca baba.

Bożena przygryzła wargę, ale nie odpowiedziała.

– Mówisz o Sławku, ale Edmundowi też przygotowałaś słodko pierdzącą pamiątkę o dobrej, zmarłej pani – kontynuowała nieco zaczepnie Dorota.

– Chciałam być spójna. I powiem ci więcej, zrobiłabym to jeszcze raz. Jeśli zaistnieje taka potrzeba, będzie ślicznie, tylko brokatem posypać.

– Nie porzygasz się?

– A i owszem. Ale najpierw nacieszę się klikalnością w sieci i pochwałą od, tfu, Edmunda. Od Sławka nie potrzebuję, on i tak wie, że robię to dla niego.

– Mam dla ciebie nową ksywę: Bożena Czołobitna.

– Spoko. Wal w fagasostwo i lizusostwo. Biorę na klatę. Redakcja „Wiadomości” jest w głębokiej dupie. A ja mogę dziś być oportunistką tylko dlatego, że piętnaście lat temu Sławek dał mi szansę.

– Luz. – Dorota w końcu odpuściła. – Myślę, że Koszalin ma dość Fabiańskich na co najmniej kilka tygodni. Niech odpoczywają, przynajmniej niektórzy, w spokoju. Po tak wystawnym pogrzebie, drobiazgowej z niego relacji i wnikliwej, skrupulatnie napisanej informacji o zgonie niewiasty dobrego serca, patronki cnót wszelakich, ja rzygam tą rodziną.

– Fakt, impreza była huczna – zgodziła się Bożena.

- Ciekawe słowo. - Dorota się zaśmiała. - Szczególnie w kontekście pochówku.
 - Ja jednak myślę... - zaczęła Bożena i zawiesiła się, patrząc w przestrzeń.
 - No mów, do cholery, robotę mam. Mogę pogadać, ale nie chcę czekać na oszczędnie dozowane słowa.
 - Coś mnie niepokoi.
 - Stan stały. Ciebie zawsze coś niepokoi. Dlatego jesteś dobra w tym, co robisz.
 - Ta śmierć Fabiańskiej. Jest dziwna.
 - Upały zelżały, byłeś na solarium? - zdziwiła się Dorota.
 - Co?
 - Nie mówi się co, tylko proszę. Jako dziennikarka kulturalna powinnam krzewić kulturę, więc zwracam ci uwagę. Gadasz, jakbyś była za długo na słońcu. Porażenie słoneczne, tak to się nazywa. Co może być dziwnego w śmierci dziewięćdziesięciosześcioletniej kobiety, która od roku prawie nie wychodzi ze swojego pokoju?
 - Otóż dużo, moja droga. Dużo. Fabiańska nie wychodziła, bo bolały ją kolana. Tak mi przynajmniej mówiła.
 - Artretyzm w naszym klimacie nie jest niczym rzadkim - zgodziła się Dorota.
 - Poza tym jednak - kontynuowała Bożena - była całkowicie zdrowa. Jak na swój wiek, oczywiście. Wciąż złośliwa i błyskotliwa. Nie skarżyła się nawet na bóle głowy. A służąca stwierdziła, że tego dnia była wręcz radosna. Na coś czekała. Psychologicznie rzecz ujmując, ludzie mający powody do życia nie umierają ot tak, po prostu. Poza tym... - Bożena znów zamilkła.
 - Dozujesz napięcie czy jak? - Dorota się zezłościła.
 - Bo to dziwne. Rozumiesz, przeczucie.
 - Odwieczny dylemat między sercem a rozumem - skwitowała Dorota. - Ale nie rozumiem, o co ci chodzi.
 - Mam wrażenie, że u Fabiańskich wszyscy się cieszą, że stara umarła.
 - Ja tam im się specjalnie nie dziwię. - Dorota wzruszyła ramionami. - Gnębieni przez lata z ulgą przyjęli moment, w którym w końcu poniżenie ustało.
 - Naprawdę sądzisz, że o to chodzi? - zastanowiła się Bożena.
 - Owszem.
 - A ja myślę, że nie.
 - Nie myśl za dużo, bo zostaniesz myślicielem. A jeden już stoi w Muzeum Rodina. To w Paryżu, jakbyś nie wiedziała.
 - Zobaczysz - odpowiedziała Bożena tajemniczo.
- O szesnastej spodziewała się w studiu rozmówcy. Miała chwilę na przygotowanie papierologii, zanim jednak skupiła się na pracy, zerknęła na stronę „Wiadomości”. Jej artykuł nie tylko pojawił się na pierwszej stronie. Już po trzech godzinach został powiększony i do tego wrzucony we wszelkie możliwe promocje. Przez najbliższe trzy dni miał wyskakiwać mieszkańcom Koszalina z lodówki.

Rozdział 7

Przez parę dni Bożena znosiła powszechne docinki na temat gwiazdorzona. Stopniowo ucichły, sprawy wróciły do normalnego rytmu. W pamięci Bożeny wciąż wyświetlał się pomysł na materiał o rodzinie Fabiańskich – taki prawdziwy. Bez słodkiego pierdzenia, dotkliwie szczery, zdrapujący złotą farbę. „I na to przyjdzie czas” – myślała.

Jednej sprawy jednak nie odłożyła ad acta.

– Ciągłe masz znajomego policjanta? – zapytała Dorotę niespodziewanie.

Nie doczekała się odpowiedzi, patrzyła zatem na przyjaciółkę w milczeniu. Stała tak niczym żona Lota. Dorota próbowała ją zignorować, co udało jej się przez niecałe dwie minuty. W końcu prychnęła i powiedziała:

– Mówisz o moim wspaniałym kochanku?

– Dokładnie. Tym, który obsypuje cię płatkami róż zawsze, kiedy znajdujesz dla niego czas, i częstuje cię ruskim szampanem z plastikowych kieliszków przy każdym spotkaniu w hotelu.

– Opiszesz idylliczny obrazek pary, która od lat żyje w miłosnej symbiozie pozbawionej banału i uciążliwości codzienności.

– Pary, która mogłaby stanowić wzór...

– Chwilowo się pokłóciliśmy – przerwała jej Dorota.

Bożena spojrzała na nią ze wstrętem.

– Nie miałaś kiedy?

Dorota wywróciła oczami.

– Serio? Będziesz złośliwie komentowała moje romantyczne uniesienia? Nie wyzywaj się. – Dorota przypominała w tym momencie Smauga.

– Oj tam. – Bożena wzruszyła ramionami.

– Żadne takie. Wiele sobie wybaczymy, ale tego mogłabyś sobie oszczędzić. Tak postępują tylko parzywe suki.

– Dzień dobry. To ja – odpowiedziała Bożena.

Dorota zacisnęła szczękę.

– Powtórzę ci, pokłóciliśmy się. Nie pomogę.

– Podaj mi chociaż jego nazwisko. Chociaż właściwie to oszczędź sobie. Znam imię. Ilu policjantów nazywa się Dorian?

Dźwięk, który wydobyła z siebie Dorota, wymykał się wszelkim opisom. Coś między chrumknięciem wkurzonego dzika a pianiem zachrypniętego koguta.

– Nawet nie próbuj wparować na komisariat z tym imieniem.

– Rozumiem, że nazywa się inaczej.

– Czy ty dalej jesteś moją przyjaciółką?

– Dozgonnie. – Bożena uśmiechnęła się sztucznie.

– Tak myślałam – odpowiedziała Dorota, wciąż nie kryjąc wkurzenia wysokiego niczym kok Jennifer Lopez. – Wykorzystujesz mnie – warknęła.

Przyjaciółka nie odpowiedziała, założyła jedynie ręce na piersiach. Dorota wciąż milczała. Bożena bez słowa wyszła do kuchni. Wróciła z dwiema filiżankami mocno pachnącej kawy. Usiadła potem na swoim obrotowym krześle i westchnęła ostentacyjnie.

– Świeża kawa zawsze pomaga. A ty też jesteś suką – stwierdziła.

– Pewnie – odpowiedziała Dorota z zadowoleniem. – Od urodzenia. Tylko z tobą mogę konkurować o to miano. Jak rozumiem, to napój pojednania, nie wypada odmówić.

– Muszę pojechać na policję, masz z tym problem? Bo ja mam i szukam życzliwej duszy.

Dorota zapatrzyła się w okno.

– Ma na imię Dariusz. Dorian to nasze... nieważne. Tylko ja tak na niego mówię i postaraj się nigdy tego nie wykorzystać.

Bożena przygryzła wargę. Potem wykonała taniec ustami, wyduła je, przygryzła, wysunęła górną wargę, założyła dolną na górną.

Dorota patrzyła na to z zafascynowaniem.

– Rozumiem, że nie pytałaś o Doriana przez przypadek – powiedziała w końcu.

– Nie powiem nic kompromitującego – obiecała Bożena.

Dorota sięgnęła po długopis i zapisała numer.

– Powołaj się na mnie, ale bądź dyskretna.

– Jasne. – Bożena wzruszyła ramionami. – Żonaci nie lubią, kiedy się wyskakuje publicznie z imieniem ich kochanki. Nie rozumiem, dlaczego brniesz w taką relację, ale co ja tam wiem.

– Zakochałam się – powiedziała Dorota, zaciskając szczękę. – Jest mi z tym fatalnie i nic na to nie poradzę.

Bożena westchnęła i sięgnęła po telefon. Dorota znów zacisnęła wargi i wyszła z pokoju.

Umówienie się z kochankiem Doroty zajęło Bożenie trzydzieści sekund. Być może dlatego, że w porę przypomniała sobie, by nie używać imienia Dorian. Na szczęście Dariusz też zaczął się na D.

Wyszła z radia natychmiast, nie tłumacząc się nikomu. Weszła na komisariat na Krakusa i Wandy, dyżurny kazał jej czekać. To było kilka całkiem nieprzyjemnych minut. Miejsce zostało wyposażone w twarde plastikowe krzeselka, a klienci nie należeli do cierpliwych. Dariusz jednak wyszedł po nią szybko, imię Doroty wyraźnie zadziałało.

Wprowadził ją do niewielkiego pokoju, dwa biurka zavalone papierami przytłaczały bałaganem. Na każdym stał włączony komputer. Widoku dopełniały dwa zużyte obrotowe fotele i jedno twarde krzesło. Zapewne dla interesantów, takich jak ona. Oprócz tego wielka korkowa tablica i kraty w oknach.

Zanim zaczęła mówić, przymknęła na chwilę oczy. Opowiedziała o rodzinie Fabiańskich, nie wzbudzając zainteresowania. Policjant doskonale znał tę historię. Lokalni krezusi, śmierć nestorki.

– Taka kolej rzeczy – stwierdził sentencjonalnie, gdy Bożena wspomniała o pogrzebie. – Starzy odchodzą.

– Ale powinni umierać sami, bez pomocy najbliższych.

– Co pani sugeruje? – Policjant wykazał odrobinę zainteresowania.

– Jestem przekonana, że doszło do morderstwa. Zamordowano Malenę Fabiańską. Najprawdopodobniej otruto.

– Aha – odpowiedział policjant grzecznie.

– Ta rodzina jest patologiczna. Dzieci nienawidziły matki, a ona z satysfakcją znęcała się nad bliskimi.

– I na tej podstawie orzeka pani o zaburzeniu najbardziej zasłużonej koszalińskiej rodziny i wnioskuje, że Malenę Fabiańską zamordowano? – Policjant zdawał się nieporuszony.

– Policjanci to jednak bystre chłopaki. – Bożena nie kryła satysfakcji. – Czasami tylko nie bardzo ogarniają.

Cień na twarzy funkcjonariusza ciut ją zaniepokoił.

– Dziękuję za komplement – odparł cierpko.

– Proszę się nie unosić, wyrwało mi się. Artur Fabiański w ogóle się nie przejął śmiercią babki, zresztą w tej rodzinie zupełnie nie ma żadnego smutku.

– I stąd wniosek, że wnuk zamordował własną babkę? Po co? I niby jak miały to zrobić?

– A to już należy do zadań policji, prawda? Macie swoje metody. Opowiem, co wiem, po kolei. Pan niech mnie tylko wysłucha.

Starala się być precyzyjna. Streściła wszystko – atmosferę domu Fabiańskich, zachowanie Artura, reakcję służącej. Przekazała informacje o samopoczuciu Maleny Fabiańskiej.

– Nie myślę się, to nie była naturalna śmierć. Choć nie wiem dlaczego, czuję się u pana jak petent. Przyśzłam z informacjami o bardzo poważnej sprawie.

– Brzmi to... dość nietypowo – powiedział Dariusz po dłuższej chwili. – Ale Dorota mówiła, że jesteś... jest pani twardo stającą po ziemi babką.

– Jestem – stwierdziła poważnie Bożena.

– Nie wiem jednak, czego pani oczekuje.

– Trzeba wykopać staruch... to znaczy, starszą panią i przeprowadzić sekcję. Zażywała regularnie leki. Niezbyt wiele jak na osobę w jej wieku, ale kilka tabletek dziennie brała. Któreś mogły zostać podmienione. Spożywała posiłki osobno, w swoim apartamencie. Przynosiła je służąca. Łatwo było podmienić zawartość talerza. Mógł to być napój. Jakiś gaz rozpylony w pokoju... cokolwiek.

– Z tym gazem to...

– W tym może trochę poniosła mnie wyobraźnia. Ale poza tym to bardzo poważna sprawa.

– I tego pani ode mnie oczekuje? Ustalenia, jak Artur Fabiański zamordował babkę?

– Właśnie! No i ekshumacji starej Fabiańskiej. Z toksykologii na pewno wyjdzie, że została otruta. Wszystko będzie wiadomo.

– Przyznam pani rację. Naprawdę zawód ma wpływ na nasz sposób myślenia. Policjanci są bystrzy, bo muszą kojarzyć fakty, a dziennikarze mają wyobraźnię, bo muszą zmyślać.

– Czyli... czyli... – Bożena nie przypominała sobie, kiedy ostatnio się zająknęła. Teraz po prostu odebrało jej mowę.

– Czyli zapisałem pani zgłoszenie. Będziemy procedować sprawę, zgodnie z obowiązującymi przepisami. A teraz bardzo serdecznie dziękuję pani za obywatelską postawę.

– Pan nie potraktował tego poważnie?

– A widzi pani, że bym się śmiał? Potraktowałem jak najpoważniej. Zapisałem wszystko, proszę przeczytać i podpisać protokół. Będziemy panią informować o dalszym postępowaniu. – Dariusz pokręcił głową. – Nie mam w tej chwili podstaw, by zgłosić sprawę – stwierdził w końcu.

Bożena wyczuła, że jest jej życzliwy. Chyba.

– Niemniej... będę miał to na uwadze.

„Głównie ze względu na Dorotę” – pomyślał. Uśmiechnął się przy tym serdecznie i Bożena zrozumiała w tym momencie przyjaciółkę. Też mogłaby się zakochać w facecie z takim uśmiechem. Gdyby oczywiście nie ten paskudny błąd genetyczny, którym zostali obarczeni.

Zerknęła na zegarek. Na komisariacie zeszło jej znacznie dłużej, niż się spodziewała. Czy to dlatego, że z Dariuszem dobrze jej się rozmawiało?

– Mam dużo pracy – powiedziała i się pożegnała. Policjant pozostał z uczuciem lekkiego niedowierzania.

„Dobrze, że zdarzają się takie sprawy” – pomyślał. „Mogę oderwać się od poważnej roboty”.

Kajet, w którym robił notatki podczas rozmowy, wrzucił do dolnej szuflady biurka.

Bożena rzeczywiście chwilowo miała sporo pracy na tak zwanych interwencjach. Po lecie, kiedy to najazd turystów zajmował cały czas lokalsów, następował wysyp spraw ważnych lub prawie istotnych, a odłożonych. Hałaśliwe sąsiedztwo baru. Nielegalny parking w lesie. Samowolka budowlana zbyt blisko

plaży. Wiele tych zgłoszeń było zresztą po sezonie absurdalnych i nieaktualnych. Zbyt głośny bar od końca sierpnia nie funkcjonował, nie było sensu nawet tego sprawdzać. A w sezonie? Wiadomo, że było hałaśliwie. Turyści wrzaskliwi. Krzyczą, śpiewają. Piją. Piwo, grzańca, wino, wódkę, drinki. Gra muzyka. Głośna, bo tego oczekują goście. Ludzie tańczą, zataczają się, czasem publicznie kłóca. Już w momencie otwarcia baru było wiadomo, że tak właśnie będzie. Tak po prostu funkcjonują sezonowe bary w turystycznych miejscowościach. Sąsiedzi nie zgłaszali jednak sprawy natychmiast, a dopiero pod koniec sezonu. A teraz mieli pretensje, że nikt z urzędu się nie pojawił od razu.

Bożena rozmawiała z urzędniczką, która tylko wywróciła oczami.

– Ten pan zgłasza wiele interwencji – powiedziała oględnie. – A my musimy każdą po kolei zbadać. Potrzebujemy czasu.

Niemniej pan z pretensjami wydzwaniał do radia systematycznie, czyli codziennie. W końcu trzeba było pojechać. Na miejscu Bożena niczego ciekawego się nie dowiedziała. Mężczyzna bił słowną pianę. W końcu jednak, po wielu pytaniach, dotarła do prawdziwego powodu konfliktu. Był zadawniony, sięgał poprzedniej dekady. Pokłóceni bracia mieli inne podejście do ojcowizny. Jeden pozostał na miejscu i prowadził w Mielnie pensjonat. Drugi zostawił ziemię i wyjechał. W tym czasie brat zajął się porzuconym dziedzictwem. A gdy marnotrawny syn wrócił, zastał swoją ziemię... cóż. Stał tam budynek doklepany do pensjonatu starszego brata. Brzydka, nieproporcjonalna samowolka budowlana miała jedynie przynosić pieniądze w sezonie. Młodszy, nie witając się z rodziną, wezwał koparkę i wyrównał ziemię, a rachunek wrzucił bratu do skrzynki. I choć afera miała miejsce piętnaście lat temu, wydawało się, że konflikt wciąż buzuje żywym ogniem, a dymu z niego niczym ze spalanej opony. Bo teraz brat wrócił i na swojej działce prowadził sezonowy bar karaoke.

Czy jednak był to temat do radia? Do sieci? Może na kilkuwersową wzmiankę w lokalnych wiadomościach, a i to pod warunkiem, że nic zupełnie w okolicy się nie wydarzyło.

Bożena wyłowiła jednak z natłoku bezładnych słów jedno nazwisko. Poszła tym tropem.

– Ma pan na myśli Stefana Fabiańskiego?

– Pewno. Tego magnata, co to mu matka ostatnio kofnęła.

– I jaki ma z tym związek?

– Jak jaki? Jak jaki? Pani! On tu wykupił pół Unieścia!

– Ale...

– I niech mu będzie, niech będzie! Ale on własnego brata stąd wygonił! Zupełnie więzi rodzinnych nie ceni, tak jak ten tu. – Rozmówca z obrzydzeniem spojrzął na posesję sąsiada, czyli brata, na którego bez skrupułów co roku donosił.

– Co pan powie? – Bożena udała letnie zainteresowanie, jej rozmówca potraktował to jako niedowierzanie. Wiele więcej nie trzeba było.

– Pani to chyba naprawdę nie wie, co tam się wyrabia. Te bogacze to pazerne, aż dupę ściska! Znaczy się, pardon. No, kłóca się o pieniądze. Ten stary, Stefan znaczy się, to tak się z bratem kiedyś pożarł, że se te eleganckie koszulki podarli.

– Bili się? – zapytała Bożena z autentycznym zdumieniem.

– Właśnie! A po tej bójce patrzyli na siebie z taką nienawiścią, ale z taką, pani, że jakby im broń do ręki dać... No i wtedy ten Stefan, co to taki jest teraz krezus i w ogóle wyżej sra, niż dupę ma, to powiedział, że nic temu Władowi po śmierci matki nie da, nie! Choć to chyba matka powinna dawać, nie on? No i ten wyjechał. I słuch o nim zaginął.

Bożena chwilę przetrawiała informację.

– Słuch to nie zaginął – mruknęła.

– Co pani powie?

– Na pogrzeb matki Władek przyjechał. – Wynioskowała, że to musi być imię młodszego syna Maleny Fabiańskiej.

„Swoją drogą, ta rodzina jest dziwniejsza niż dziwna” – pomyślała. „Nic w tym szczególnego, że się bracia pokłócili. Ale tyle razy rozmawiałam ze Stefanem Fabiańskim, a nigdy nie usłyszałam imienia jego brata. Dość szczególne”.

– Ale powie pani w radiu o tym, że tutaj hałasy? Powie pani?

– Wspomnę. Ale sam pan rozumie, teraz jest cisza, nie ma na co narzekać.

– Ale latem głośno jest! – oburzył się mężczyzna.

– To latem powiemy więcej. Dużo więcej.

– A, jak tak, to całkiem pasuje.

Nagrała materiał i zamyślona wróciła do samochodu.

Leśny parking nad morzem? Na tle tego, co usłyszała, wydawał się bardziej niż nieinteresujący. Turyści, z których mieszkańcy nadmorskich miejscowości i wiosek czerpali w sezonie zyski pozwalające im na przeżycie całego roku, byli przez owych lokalsów traktowani jak stonka. Więc właściciele pensjonatów skarżyli się, donosili, wzywali służby miejskie. Oczekiwali, że owszem, turyści zostawią swoje pieniądze w smażalniach, kioskach z pamiątkami, lodziarniach, ale najlepiej, żeby dematerializowali się zaraz po zakupach. Samochód? Parking? Śmieci? To już przeszkadzało.

Przybysze zaś oczekiwali, że za swoje pieniądze będą mieli godne warunki do odpoczynku.

Z tym bywało bardziej niż różnie. W niektórych pensjonatach przed sezonem słychać było stukanie młotków i brzęczenie wiertarek, ale gdyby popatrzeć bliżej, to zwykle remonty ograniczały się do fasad. A przecież ludzie przyjeżdżali tu na wypoczynek. Chcieli dobrego obiadu i plaży, na której można pograć z dziećmi w piłkę, nie depcząc komuś po nogach. Niektórzy więc odpuszczali najpopularniejsze plaże i jechali kilka kilometrów wzdłuż wybrzeża, szukając spokojnego miejsca. Parkowali różnie, czasem absurdalnie, czasem wbrew logice. Czy jednak można było ich winić?

Bożena myślała, że niektóre miejscowości nie zapewniały turystom odpowiedniego standardu, wołała tego jednak nie mówić. Po co się kłócić?

Odpuściła interwencję w sprawie nielegalnego parkingu. Samowolkę budowlaną uznała jednak za dość interesującą. Nadawała się na temat. Z Mielna i Unieścia do Łaz było już niedaleko. Pojechała asfaltową drogą, po sezonie niemal pustą. Minęła przesmyk, połączenie Jamna z morzem, i omal nie przegapiła wąskiej drogi. Prowadziła przez szeroką wydmy, szybko jednak skręcała w stronę lasu. Bożena z tęsknotą pomyślała o sierpniowych upałach. Wrzesień kaprysił, choć zwykle nad morzem był miesiącem pogodowo łagodnym. Teraz wiało i zacinąło ostrym, drażniącym deszczem. Zaparkowała na leśnym parkingu, sprawdzając nawigację. Uświadomiła sobie, że poszukiwane miejsce zlokalizowane jest co najmniej półtora kilometra w głąb lasu. Teoretycznie był tu zakaz wjazdu. Wysiadła z samochodu i rozejrzała się wokół.

Leśna droga zapewniała błoto i samochód uświniony po szyby. Szkoda jej było wypieszczonego czerwonego autka, chociaż i tak było już brudne. Miała oczywiście ze sobą żółte kalosze i ciepłą kurtkę, westchnęła więc i wyciągnęła roboczy strój. Gdy jednak weszła w las, szybko się zorientowała, że idzie utwardzoną drogą, na której wyraźnie odznaczały się ślady opon. „Czyli da się tu wjechać” – pomyślała.

Zawróciła. Przy parkingu przyjrzała się szlabanowi. Bez problemu dało się go unieść. Zdjęła kalosze, które okazały się zaledwie odrobinę zapiaszczone. Wcale nie było tak błotniście, jak się spodziewała. Wyrzepała je, włożyła buty do prowadzenia samochodu – oczywiście na obcasie, w takich prowadziło jej się najlepiej – i wjechała w leśną drogę.

Była tutaj kiedyś. Zresztą nie było chyba w tej części wybrzeża okolicy, której by nie odwiedziła. Wiedziała, że pozostało tu sporo poniemieckich bunkrów, opuszczonych w tej chwili, jednak wciąż potencjalnie niebezpiecznych. Jeszcze dwadzieścia, może trzydzieści lat temu gęsto tu było od poszukiwaczy niewybuchów, nie obyło się bez urwanych palców i innych uszkodzeń ciała. Teraz już raczej wybierano powo-

jenne żelastwo, jednak opuszczone betonowe konstrukcje wciąż groziły upadkiem, a może nawet i zawaleniem czy przygnieciem. Oczywiście nie odstraszało to dzieciaków i poszukiwaczy wrażeń, ale zwykle ciekawscy zadawali się resztkami umocnień pozostawionymi na obrzeżach lasu. W głąb rzadko kiedy ktoś się zapuszczał, a już szczególnie w taką pogodę.

Bożena pomyślała, że chcąc ukryć swoją tutaj obecność, powinna opuścić szlaban. Zerknęła na telefon, nie było zasięgu. „Więc może i dobrze, że nie opuściłam rogatki. W razie czego to będzie jedyny ślad, że tu byłam” – pomyślała. Wzdrygnęła się zaraz i zmešla przekleństwo. „Żadnych takich. Trochę tu strasznie, ale to kwestia pogody. Obejrzę budowę i wracam do Koszalina”.

Dojechała niemal na sam brzeg morza, dopiero tam zobaczyła budynek. Skromny. Piętrowy, jeszcze nieotynkowany, przeszklony od strony wschodu i zachodu. „Sprytne” – pochwaliła konstruktorów. „Od północy pizdzi jak w Kieleckiem, żadna stolarka, nawet najnowszej technologii, nie wygra z morskim wiatrem”.

Obeszła budynek dookoła. Posadowiony został zaraz za wydumą, las otulał go od południa. „Tu będzie cudownie, kiedy już ukończą budowę” – pomyślała. „I nie sądzę, żeby ktoś to przeznaczał na wynajem. Faktycznie nie wyobrażam sobie urzędasza, który by wydał zgodę na taką inwestycję. Samowolka jak nic”.

Obejrzała budynek, popatrzyła chwilę na morze. Sina, matowa woda białymi koronkami gadała do niej uspokajająco, jak zawsze.

Wróciła do auta. „Poszukam jakiegoś sklepu” – pomyślała. Podjechała do Łaz, kojarzyła sklep niemal przy wjeździe do miejscowości. Zresztą, choć wieś była rozciągnięta wzdłuż wybrzeża, jej przejechanie mogło zająć maksymalnie cztery minuty. Teraz oczywiście, bo w sezonie, kiedy przyjezdni rozłazili się po wszystkich kątach i spacerowali środkiem ulicy, mogłoby trwać i pół godziny. Sklep zatem mógłby się znajdować gdziekolwiek, i tak byłoby do niego blisko.

Była jedyną klientką w niewielkim baraku. Na stojakach smętnie wołały o uwagę resztki chipsów – wszystkie te paczki, których nie wykupili letnicy. Jedna z lad chłodniczych była wyłączona, w drugiej leżały dwa rodzaje wędliny, kabanosy, dwa gatunki kielbasy oraz kilka blistrów żółtego sera. Sprzedawczyni chętnie wdała się w pogawędkę, a Bożena poczuła, że kocha tę robotę. Rozmowa z ludźmi? Zawsze dobra sprawa. Rasowa dziennikarka, była na właściwym miejscu.

– Pani! – Kobietę wyraźnie uradowała możliwość rozmowy. – Co tam się działo! Pani!

– Na tej budowie? Nad morzem? – Bożena bardzo starała się nie okazywać ekscytacji.

– Jeszcze toto nieskończone, a już dziwne sprawy się tam dzieją. Jakie światła! I samochody! Taki jeden dziwny, otwierany z boku, jak u Batmana. Pani! Takich dziwolągów to my tutaj nie chcemy. I to jeszcze czerwony! Jakby sam bies nim leciał. Nawet najdziwniejsze turyści takich bezceństw tu nie wyprawiały!

– A co to są te, wie pani, bezceństwa? – Bożena konspiracyjnie ściszyła głos.

– Jak na dobrej bibie nie ma bab, no to jest Sodoma. I Gomórka. I takie tam, wie pani. Więc oni tam wszystko robili! I z kobitami, i bez nich też. Aż strach myśleć o tym! Książd to się nawet nie zająknął na kazaniu, lepiej o takich rzeczach nie mówić, nie myśleć nawet! No i nic u nas nie kupili. Nic! Wie pani, wódki im nie zbrakło, tyle nawieźli. A rano ani bułki, ani nic. Nawet tabletki z krzyżykiem. Takie nieużyte! A ja mam, no sama pani patrzy, wszystko tu mam. Codziennie chleb świeży mi dowożą. I mleko mam, w kartonie i od krowy, takiego to w mieście pani nie dostaniesz. I mięso świeżutkie, i kielbasa. O, patrzy pani. Ta – sklepowa chwyciła pęto suchej kielbasy, która wyglądała na taką sprzed tygodnia – to najlepsza kielbasa w okolicy. Sucha, wytrzyma i trzy tygodnie, tylko w papier włożyć i na dolną półkę do lodówki. I ciasta mam świeże.

Bożena poczuła, że jednak nie będzie to stracone popołudnie.

– Da mi pani tej kielbasy ze dwa pęta.

– To ja rozumiem. – Sklepowa nie kryła zadowolenia. – I jeszcze weźmie pani kaszanki. Lokalnie tutaj robią, najlepsza.

Bożena poczuła mdłości. Nie cierpiała kaszanki.

– Tak ze trzydzieści deko pani da.

– Tylko tyle?

– Mąż wyjechał, a córka ostatnio przeszła na wegetarianizm, wie pani, takie tam, wydziwiania młodych.

– Współczuję pani. Współczuję.

– A ten samochód... Widziała pani jeszcze kiedyś?

– A kilka razy. Nigdy tu nie zajechał! – zastrzegła od razu. – Ale w lesie działy się dziwne rzeczy, oj dziwne.

– Czyli? – Bożena pochyliła się nad ladą.

– Światła, pani, i muzyka taka dziwna. I śmiechy. Ludzie mówią, że to duchy tych Niemców, co tam w tych bunkrach leżą, ale ja myślę, że tym samochodem to jacyś kosmici tu się transportują.

– Mówi pani? – Bożena poczuła, że dobry duch tego dnia zaczął znikać.

Szybko podziękowała, zapłaciła, zostawiając resztę, i wróciła swoją czerwoną stokrotką do Koszalina. Pojechała do urzędu, sprawdziła status nieruchomości. Robiła takie rzeczy już kilkakrotnie, prosta robota. Po powrocie do redakcji napisała krótką notkę o wdzięcznym tytule: *Tajemnicza posiadłość z zagadkowymi gośćmi*.

Choć oczywiście nie było w tym nic tajemniczego.

W urzędzie bez najmniejszego problemu potwierdziła, że nadmorska działka należała do Fabiańskiego. Tylko co z tego wynikało? Stać ich, to kupili działkę.

Bożena przypomniała sobie swoje rozważania. „Nie kradną, a przynajmniej nikt ich jeszcze nie złapał. Stać ich, to wydają. Płacą podatki, zapewne. I będę to sobie powtarzać, żeby, do cholery, nie zwariować”.

Nagrała krótki materiał o wizycie w niedokończonym domu i zabrała się za przygotowanie planu spotkań na najbliższe dni. Właśnie rozłożyła kalendarz, gdy do jej pokoju wpadł Edmund.

– Dobrze, że jesteś – powiedział bez przywitania. – Jest interwencja w Mielnie.

– Właśnie wróciłam znad morza – odpowiedziała, nie kryjąc niezadowolenia.

– Całe szczęście, że wróciłaś. Wywaliło kanalizację, interwencja potrzebna na już.

– To chyba bardziej jest potrzebny hydraulik. Wodociągi. Może szambiarka. Ja tam po co?

– Wywaliło im tę kanalizację pod koniec lata.

Bożena wywróciła oczami.

– Akurat. I od tego czasu żyją z głównym wyciekającym na ulicę?

– Coś tam naprawili, po tygodniu znów wywaliło. I tak już czwarty raz.

– Mam ze sobą wziąć klucz francuski czy jak?

– Kalosze do brodzenia w nieczystościach wystarczą. – Edmund uśmiechnął się kwaśno.

– Będzie jak w latach dziewięćdziesiątych. Beczkowozy i sraczkowozy – warknęła Bożena, nawiązując do skanalizowania Mielna, które zakończyło się w gminie dopiero co, we wrześniu dwa tysiące dwadzieścia dwa.

Sama nie pamiętała czasów, gdy w Mielnie nie było kranów z bieżącą wodą, ale matka kiedyś jej o tym wspominała. Ludzie wciąż pamiętali beczkowozy, dlatego tak strasznie wkurzały ich wszelkie awarie.

Niechętnie, ale Bożena wsiadła w auto i znów pojechała nad morze. Ta interwencja była bardzo typowa. Nagrała kilka wypowiedzi mieszkańców, na miejscu była niezła zawierucha, krzyki, a nawet więcej. Ktoś popchnął przedstawiciela urzędu, w tłoku nie udało się ustalić, kto to zrobił. Przyjechało dwóch lekko znudzonych policjantów, powaga munduru uspokoili nieco rozbuchane emocje mieszkańców. Nic szczególnego nie ustalono.

Wsiadła już do auta, gdy usłyszała znów znane nazwisko.

– U Fabiańskich to nigdy się takie cuda nie dzieją! – perorował jakiś kobiecy głos.
„Ta rodzina jest wszędzie czy tylko mnie się ucho wyczuliło?” – pomyślała Bożena.

– Co ma pani na myśli? – zapytała, nie zwlekając, i się odwróciła.

– Że są równi i równiejsi. U Fabiańskich naprawili raz a dobrze. A nam to fuszerkę odstawiają. Chciałyby pani mieszkać bez wody przez trzy dni? Morskiej wody pić nie będę!

– Oczywiście – przytaknęła zgodnie Bożena. – Ale jak to możliwe?

– Co? – zdziwiła się kobieta.

– Że po jednej stronie ulicy wszystko działa, a po drugiej ciągle uszkodzone? Przecież to ta sama instalacja? – ciągnęła temat dziennikarka.

– Ta sama i nie ta sama. U nas ciągle się psuje, a po drugiej stronie już nie. No to jest ta sama? Niech pani powie! A poza tym my korzystamy z naszego domu, to pensjonat, tu przyjeżdżają ludzie! A tam? Od czasu tej awantury prawie nikt nie bywa.

– Awantury? – Bożena wystawiła czułki.

– A to już będzie z dziesięć lat. Może więcej. Ze dwanaście, może piętnaście? Stara Fabiańska tu przyjechała, po niej jakiś tam, czarnym samochodem. Takim zwykłym. Niewysoki taki. Przez przypadek widziałam, jak wysiadał. A kłócili się! Pani! Toż wstyd boski!

– A pamięta pani może, o co się tak kłócili? – Bożena udawała, że mało ją to obchodzi. Użyła chłodnego tonu, choć zaciskała ręce w kieszeniach.

– Co mam nie pamiętać. – Rozmówczyni uśmiechnęła się rozbrajająco. – Ona powtarzała ciągle: „Nic ci się nie należy”. A on: „Tak samo na to pracowałem!”. I tak w kółko. W końcu wypadła szyba, o, z tego okna – kobieta pokazała palcem – to musiałam wejść do domu, bo się tu raptem kilka osób zbiegło. Wysłałam potem jeszcze, ale nic już nie mówili.

– Ma pani doskonałą pamięć – pochwaliła kobietę Bożena.

– Ja tu wszystko wiem, pani. – Uśmiechnęła się pochwalona. – Ale jak nie mam wody w kranie, a gówna mi nie spływają, to musi być po mojemu. Pani, no musi! Bo jak to tak?

– Nadamy o tym specjalny program w radiu – obiecała Bożena. – Dziś już nie zdążę, ale podjadę do urzędu, dowiem się wszystkiego. Będzie audycja, piękny materiał. Już ja tego dopilnuję.

Bożena wróciła do radia. Wieczór ją zastał przy montażu. Zrobiła jeszcze drobne zakupy, do domu dotarła dopiero po dwudziestej.

Zdziwiła się, widząc córkę w przedpokoju.

– Wychodzisz gdzieś?

– Jest impreza u Klaudii.

– U Klaudii? Zadzwoń do jej rodziców...

– Znowu się wtrącasz! – warknęła Malwina.

– Jest środek tygodnia. Nie ma żadnej imprezy u Klaudii ani u nikogo innego. Nie ma zatem powodu, byś wychodziła z domu o tej godzinie.

– Nie będziesz mi rozkazywać – prychnęła młoda.

– Nie zamierzam, choć mogę. Jestem twoją matką.

– Od czasu do czasu.

– Słucham?

– Cały dzień jakoś cię nie było. Dałam radę. Dam i wieczorem.

– No i nie pozwolę ci wyjść w takim stroju – stwierdziła spokojnie Bożena, choć miała ochotę soczyście zakląć.

– Ty też zakładasz mini. – Malwina spojrzała na matkę z pogardą. – Choć w twoim wieku lepiej nie pokazywać nóg.

- Moje nogi są dorosłe. Stare, jak słusznie zauważyłaś, więc już doświadczone. No i nie pokazuję wszystkim wokół tego, co nad nimi. Twoje pośladki odziałaś wyłącznie w kabaretki, a to nie jest stosowny widok. W żadnym wieku.

- Może i twoja mini jest dłuższa - stwierdziła młoda bez emocji. - Za to cyckami świecisz jak latar-niami.

- Nie wyjdiesz.

- Bo co? - odpowiedziała Malwina, wyminęła matkę i po prostu wyszła z mieszkania.

- To by było tyle z miłego wieczoru po męczącym dniu. - Bożena odłożyła zakupy na kuchenny blat, zakląła kilkakrotnie i wyszła na klatkę schodową z intencją przyprowadzenia córki z powrotem.

Problem w tym, że jej nie znalazła.

Zadzwoiła do Gerarda, choć całym sercem nienawidziła byłego męża.

Ku jej wściekłości, przyjechał z córką już pół godziny później.

- Nie ma się co denerwować. Przyjechała do mnie.

- Do ciebie? Do ciebie?! - Bożena chciała krzyżeć. Właściwie, nazwijmy to po imieniu, krzyżała. - Mogłeś mi chociaż dać znać! To było najgorsze pół godziny w moim życiu. Gdzieś ty łąziła, gówniaro! - Nie wytrzymała i naskoczyła na córkę.

- Właśnie dlatego przysłała do mnie. Żeby nikt na nią nie wrzeszczał. - Mówiąc to, Gerard zachował całkowity spokój.

Bożenie puściły nerwy. Wyartykułowała znacznie więcej, niż zamierzała. To, że przez Gerarda nie cierpi wszystkich mężczyzn, było oczywiste. W tej chwili jednak wprost nienawidziła każdego faceta, z którym miała jakąkolwiek styczność.

Gerard kręcił tylko głową. Nie odpowiedział, czym spotęgował wściekłość Bożeny. Chciała wyc, warceć, szarpać się, brak reakcji męża jednak szybko ją spacyfikował.

Niestety, scenę uważnie obserwowała Malwina. Ostentacyjnie wyszła z hallu do swojego pokoju, zamykając za sobą głośno drzwi.

Bożena opadła w końcu na krzesło. Dopiero wtedy odezwał się Gerard.

- Nie ma sensu się kłócić - powiedział delikatnie.

Bożena czuła, że napięcie z niej powoli opada. Gerard usiadł.

- Powinniśmy porozmawiać - stwierdził. - Malwina woła o uwagę.

- Której ja jej oczywiście nie daję? - syknęła Bożena.

- Nie denerwuj się. Nie o to chodzi. Ja... - Westchnął. Przez chwilę się wahał, w końcu jednak zrezygnował z rozmowy. - Muszę wracać. Może innym razem pogadamy. Jestem padnięty. Swoją drogą, zazdroścę tym zabawowiczom. Pod klubem nocnym znowu tłum, skąd ci ludzie mają na to siły?

Bożena wzruszyła ramionami. Co ją obchodził jakiś klub?

- A ci Fabiańscy ciągle cię interesują? Coś chyba pisałaś ostatnio na ten temat. Widziałem pod klubem ten ekstrawagancki czerwony samochód Artura. Jak widać, od zabawy chłopak nie stroni. Aż mu zazdroścę.

„A może jednak obchodzi mnie ten klub?” - pomyślała Bożena.

- Starość nie radość, prawda? - stwierdziła z wyraźną satysfakcją.

Gerard westchnął, pokręcił głową i po prostu wyszedł. Bożena została sama. Albo tak jej się tylko zdało. Towarzyszyły jej buzujące emocje.

Włączyła telewizor i po cichu wypowiadała przekleństwa. Pomogły jej przetrwać noc.

Następnego dnia Edmund przesunął się na pierwsze miejsce znienawidzonych przedstawicieli męskiego rodu.

- Kolejna interwencja. - Wpadł do jej pokoju, jeszcze zanim zdążyła wypić pierwszą kawę.

- Co tym razem? - Wywróciła oczami.

- Sarbinowo.

- Ale co?

- Tu masz wszystkie szczegóły. - Podał jej kartkę i wyszedł bez dalszych komentarzy.

Dziennikarka wyrzuciła z siebie stek słów, jakich nie powstydziliby się najwulgarniejszy budowlaniec. Dorota chichotała z zachwytu, co pomogło Bożenie wrócić do równowagi.

- Sąsiedzka kłótnia, czujesz? Mam pojechać, by posłuchać dwóch kłócących się starych bab!

- Skąd wiesz, może wcale nie będą stare. - Przyjaciółka wyraźnie dobrze się bawiła. - Poza tym przynajmniej pojedziesz do Sarbinowa. Wyjdiesz na plażę, odetchniesz głęboko.

- To prawdziwa rozkosz przy tej pogodzie - sarknęła Bożena.

Dorota rozłożyła ręce.

- Ale przynajmniej Edmund będzie daleko od ciebie.

- Jadę. - Bożena westchnęła. - I nie zamierzam szybko wracać.

Dokładnie tak zrobiła. Rozmawiała z dziesięcioma osobami. Poprowadziła materiał jak sondę uliczną, wyszedł bardzo ciekawie. Każdy z rozmówców mówił co innego i każdy chciał mówić do niej. Bo Bożena umiała słuchać, choć wolałaby zupełnie inne tematy. Czuła, że traci tu czas.

Zmęczona wyszła w końcu na plażę, jak przewidziała Dorota. To nie był dobry czas na spacer, paskudna pogoda, sześć stopni i mżawka. Spędziła zatem na promenadzie zaledwie dziesięć minut, a potem postanowiła usiąść w jedynej otwartej o tej porze roku kawiarni.

Po sezonie w nadmorskich miejscowościach knajpy, restauracje, kawiarnie, bary, kioski z goframi i lodami przestawały pracować - zamykało się wszystko. Niewiele pozostawało miejsc, w których można było odsapnąć. Usiadła zatem w jedynym czynnym lokalu na parterze hotelu. Od strony drogi widać było jedynie front kawiarni i recepcję, ale znający okolicę wiedzieli, że to całkiem spory budynek, ustawiony do ulicy węższym bokiem. Hotel ciągnął się kilkadziesiąt metrów w stronę morza.

Bożena usiadła przy stoliku, zamówiła espresso i wyciągnęła notes. Skrzywiła się, gdy dostała kawę. Ohydna lura.

Rozejrzała się, zanim jednak otworzyła usta, zdała sobie sprawę, że nie warto się awanturować. Nie istniała tu żadna alternatywa. „Lepiej zamówić butelkę wody i skupić się na planach na najbliższe dni” - pomyślała. Bo przecież wczoraj w końcu ich nie zrobiła. Pochyliła się zatem nad notesem.

Gdy zaczęła pracować, usłyszała zza przepierzenia fragment rozmowy. W pierwszej chwili nie potrafiła jej do niczego przyporządkować. Ani tematu, ani osoby wypowiadającej słowa. Dopiero po chwili... Na pewno gdzieś już słyszała tego mężczyznę. Jakiś wywiad? Sonda uliczna? Szukała w myślach rozmówców z ostatnich tygodni.

- W idealnym momencie - mówił wesoły głos. - Gdyby ten pieprzony zapis wszedł w życie, miałbym zajebisty kłopot!

Bożena wstała, by sprawdzić, skąd zna ten głos, za przepierzeniem jednak nikogo już nie było. W oddali, w korytarzu widać było tylko grupkę oddalających się wczasowiczów w kolorowych koszulach. Wyjątkowo nieadekwatnych do tak zimnej aury.

Rozdział 8

Liczba spraw powinna przytłoczyć Bożenę, a jednak ze wszystkim dawała radę. Jak taran.

– Mam wrażenie, że robię trzy rzeczy równocześnie – powiedziała we czwartek rano.

– Jesteś kobietą – stwierdziła Dorota. – To normalne.

Bożena spuściła wzrok.

– Mam cycki – odpowiedziała z ponurą powagą.

– To raczej nie jest powód do zmartwienia. Dla kobiety.

– I mam zarąbisty cyckonosz.

– W tym też nie widzę powodu do zgryzoty – uzupełniła Dorota.

– Zastanawiam się tylko nad odkrywczością twojego stwierdzenia. Jestem kobietą, tak powiedziałaś.

Nie zdziwiło mnie to jakoś szczególnie, raczej jestem zaniepokojona twoją spostrzegawczością.

– Kobiety są wielofunkcyjne. – Dorota westchnęła ostentacyjnie. – Żadne odkrycie. Co cię ugryzło?

– Stringi mnie uwierają.

– Mów tak od razu. Zdejmij.

– Mam za krótką spódniczkę.

Dorota skrzywiła się, odsunęła kubek na brzeg biurka i wbiła wzrok w przyjaciółkę.

– Naprawdę jest za krótka – powiedziała Bożena.

Dorota cały czas siedziała w milczeniu.

– Nie jesteś bazyliszkiem. – Bożena zazgrzytała zębami. – A moja spódniczka nie jest tak krótka jak ta, którą ostatnio założyła Malwina.

– Czyli wiemy, gdzie dymi. Robota nie jest problemem. Ile byś jej nie miała, zawsze dasz radę.

– Ale z córką... Znowu skrewiłam.

Dorota metodycznie zsunęła z biurka wszystkie papiery. Zatrzymała dłoń na niekształtnym zawiniątku.

– Kurczę, myślałam, że tej kanapki dawno tu nie ma – zamruczała. – Och – wzdrygnęła się, przystawiając nos do paczuski – tematu kanapki nie będziemy zgłębiać. – Posłała ją lotem parabolicznym wprost do kosza. – Teraz mamy całkowicie czyste pole i możemy porozmawiać o tym, co ważne.

Bożena długą chwilę wpatrywała się w ścianę. Wodziła wzrokiem po parapecie zastawionym wysuszonymi kwiatkami. Pewnego dnia w przypiływie tęsknoty za domowym ciepłem Bożena kupiła dwie paprotki, difenbachię, dwie juki i skrzydłokwiat. Do tego trzy kaktusy z bardzo ostrymi kolcami. Była z siebie dumna, a Dorota cmokała z zachwytem.

W tej chwili wszystkie kwiatki były tego samego gatunku – uschniętego. Ot, pionowy, brązowy badyl. Bożena zakonserwowała nawet kaktusy.

Pomiędzy doniczkami stało pudełko po chusteczkach higienicznych, opakowanie tamponów, dwie puszki herbaty owocowej i sterta zapomnianych książek, z lekko już wyblakłymi obwolutami.

Gdy Bożena dokładnie oceniła zawartość parapetu, ocknęła się.

– Nie będziemy siedzieć tutaj – zdecydowała.

– Zrobię kawę – zadeklarowała Dorota.

Bożena pokręciła głową.

– Jedziemy na kawę... Gdzieś.

– Nie po to sprzątałam – Dorota z dumą pokazała czyste biurko – żeby teraz się tym nie nacieszyć. A ciastka kupiłam zawczasu.

Bożena znów wpadła w otępienie. Ocknęła się, gdy Dorota postawiła przed nią pachnące espresso i croissanta z kremem pistacjowym.

– Wczoraj wezwał mnie dyrektor szkoły Malwiny.

– Nareszcie!

– Co?

– Prawdziwe dorastanie wymaga autentycznych działań. Bez interwencji dyrektora dojrzewanie się nie liczy.

– Śmiej się, śmiej. Ty nie masz takich problemów.

– Dlatego wiem, co mówię. To się da przeżyć.

– Młoda została złapana na paleniu maryški.

Dorota wzruszyła ramionami.

– Ty nigdy nie paliłaś?

Bożena tak samo jak przyjaciółka wzruszyła ramionami.

– No właśnie. – Dorota sapnęła z satysfakcją.

– Ale byłam starsza!

– Młodzież teraz dorasta wcześniej.

– Ma trzynaście lat i właśnie dostała naganę.

– Z podstawówki jej nie wyrzuca.

– Za to nie przyjmą do dobrego liceum.

– Z dobrych w Koszalinie masz całe dwa – prychnęła Dorota.

– Nie przyjmą jej pewnie do żadnego z naszych wspomniałych jedenastu koszalińskich liceów. Śledzisz rankingi szkół średnich?

– Potrzebowałam ostatnio danych o szkolnictwie na Pomorzu Zachodnim. Malwinę przyjmą tam, gdzie będzie chciała. Jeśli się trochę pouczy. Uwierz we własną córkę. Z maryšką to wpadka, ale przecież nie koniec świata.

– Wrrr – odpowiedziała Bożena, po czym z westchnieniem wzniosła oczy ku sufitowi. Właśnie odezwał się jej telefon sygnałem zarezerwowanym dla byłego męża.

– Spoko. Pogadajcie. Ja pomontuję – stwierdziła Dorota, zakładając słuchawki.

– Czego? – warknęła do telefonu Bożena, nie kryjąc emocji.

Dwadzieścia minut później z wściekłością walnęła drzwiami w niewielkiej kafejce niedaleko rynku. Zanim to nastąpiło, zaparkowała na Księżnej Anastazji. Na grubość lakieru, wysiadła więc z samochodu, wciągając brzuch. Nie zależało jej na punktualności, a jednak pośpiech miała już wgrany w swój organizm. Po prostu biegła ciągle.

Po drugiej stronie ulicy dostrzegła postać wychodzącą z lombardu. „Skąd ja ją znam?” – przemknęło jej przez głowę. „Kobieta, czarnowłosa, wysoka?” Elegancki płaszcz nie pasował do takiego miejsca, ale Bożena nie miała teraz czasu się nad tym zastanawiać.

Kafejkę prowadził znajomy Gerarda, niegdyś ich wspólny kolega. W szczeniństwie chodzili do jednej klasy. Kawiarenka była niewielka, utrzymywała się jednak na rynku nieprzerwanie od ponad dziesięciu lat. Kumpel zaczynał wbrew rodzinie, szczególnie matce, która pokładała w synu wielkie inżynierskie nadzieje. Przetrwał mamuszkę, przetrwał pandemię. Nie zamierzał powiększać lokalu i być może w tym tkwił jego sukces. Koszty pozostawały niewielkie, klimat nieodmiennie przytulny, a klientela wierna.

W samym rogu, przy okrągłym stoliku z czarnym blatem, siedział Gerard. Przed nim stały minifiliżanka z espresso i czajnik z zieloną herbatą.

Bożena odsunęła krzesło, z hukiem walnęła torbę na sąsiednie i opadła na siedzisko, nawet nie udając wdzięku.

Skrzywiona spojrzała na kawę.

– Piłam już dzisiaj.

– Widzę – odparł Gerard. – Przy twoim wkurzeniu kolejna nie sprawi różnicy, a może spojrzysz łaskawiej na świat, gdy twoje kubki smakowe wyczują boski aromat espresso.

– Wkurwie – poprawiła byłego męża Bożena. – Nic poniżej nie odpowiada moim emocjom. Poza tym aromat to zapach, kubkami smakowymi go nie wyczujesz. O co tym razem chodzi?

– Podobno jemy także nosem, czyli aromatem. Mniejsza o większość. Nie będę stopniował napięcia, bo jak cię znam, twoje umiarkowanie życzliwe podejście do mnie eskaluje w jawną wrogość.

– Jest na stałym, niezmiennym poziomie. Odkąd zostawiłeś mnie dla tej uroczej nastolatki.

– Otylia miała wtedy dwadzieścia siedem lat i cały czas pozostaje zaledwie pięć lat młodsza od ciebie.

– Teraz będziesz mi wypominał wiek? Dżentelmenel, co?

Gerard westchnął i wyrócił oczami.

– Nie spodziewałem się, że będzie lekko. Wyjeżdżam na trzy miesiące.

Bożena wyglądała, jakby miała zaraz uszami wypuścić jęzory ognia.

– A twoja córka?

– Malwina nie jest niemowlęciem. Spędzam z nią tyle czasu, ile tylko jest to możliwe. Na ile mi pozwalasz.

– Jasne, zabierasz ją do kina i na lody, kupujesz krótką kieckę albo podarte džinsy i uważasz, że masz z nią dobre relacje. Fantastycznie.

– A co innego mógłbym zrobić? Nie pozwalasz mi z nią wyjechać na wakacje. Na nocowanie zgadzasz się dwa razy w miesiącu. Nie dzwonisz, nawet kiedy nie możesz jej odebrać ze szkoły. Mogę, twoim zdaniem, tylko za nią płacić.

– Malwina ma trzynaście lat. Sama wraca ze szkoły, do której ma piechotą dokładnie sześć minut. Jeśli potrzebuje czegokolwiek innego, potrafi korzystać z komunikacji miejskiej. Całkiem nieźle funkcjonuje w naszym mieście.

– Jasne. Potrafi z niej znakomicie korzystać także wtedy, kiedy zwiewa ze szkoły i spędza czas uroczo na plaży.

– Szkoda, że nie kwapiłeś się wtedy, żeby po nią pojechać.

– Nie było mnie w Koszalinie.

– Właśnie.

Patrzyła na byłego męża jak więzień na klawiszka. Z nienawiścią. Odwzajemnił spojrzenie.

– Nie to, żebyśmy chciał tu przybywać akurat w tym momencie – przerwał im właściciel kawiarni – ale może jednak się odważyć. Boję się, że spojrzeniami potłuczecie moje świeżo umyte witryny. Znacie już szarlotkę, ale nie próbowaliście cynamonowego tiramisu. Absolutna nowość, będziecie testerami.

– Będziemy zachwyconymi testerami – powiedział Gerard, patrząc cały czas na byłą żonę.

Bożena nie odpowiedziała.

– Wezmę to za akcept i chęć spróbowania mojej ambrozji – powiedział właściciel i oddalił się, kręcąc głową.

Bożena i Gerard milczeli, czekając na talerzyki z deserem. Zjedli w milczeniu. To znaczy on zjadł, wyraźnie doceniając smak, ona zaledwie grzebała widelcem w leguminie. Właściciel podszedł i zamienił kilka słów z Gerardem. Omówili zalety delikcji, a Bożena przeczekwała ten dyskurs z zaciśniętymi wargami.

– Chciałem poluzować wam gumki od majtek, ale chyba niezupełnie się udało – stwierdził właściciel.

Bożena tylko prychnęła w odpowiedzi.

– Malwina potrzebuje twojej obecności. Nawet tej na dwie godziny dwa razy w tygodniu. I nawet jeśli nie potrafisz dać jej wiele więcej niż przykusa bluzeczka o bazarowej jakości z metką sieciówki. Choć wolałabym, żebyś nie kupował jej brokatowych cieni do powiek ani czerwonych szminek.

– To były błyszczki.

– Tak ci wytłumaczyła. Każdy ten „błyszczek” – Bożena wykonała w powietrzu gest cudzysłowu – barwi na ciemny, nieprzejrzysty kolor. A cieni do powiek twoja córka używa sprawniej niż ja.

– I to jest moja wina? – Gerard uniósł brwi.

Bożenie zadrżała warga.

– Malwina ma problemy w szkole. Dostała naganę.

– Co?

– Wczoraj wezwał mnie dyrektor.

– Ale mnie o tym nie poinformowałaś.

Bożena wzruszyła ramionami.

– Popalała trawkę.

– Co? I naprawdę nie znalazłaś chwili, by do mnie zadzwonić?

– Zajęta byłam rozmową z moją córką.

– Naszą córką. – Gerard zmienił ton głosu.

– Przy której ciebie nie było.

– Bo do mnie nie zadzwoniłaś! – Patrzył na byłą żonę z nieukrywaną wrogością.

– Nigdy nie mogłam na ciebie liczyć – powiedziała z zimnym wyrachowaniem.

– Nie dajesz mi szansy.

– Dałam o raz za dużo.

– Będziesz mi to wypominać do końca życia?

– Tylko mojego. Bo jeśli ty przekręcisz się wcześniej, będę odwiedzać cię na cmentarzu. Dwa razy w tygodniu usiądę na grobie i wypomnę wszystkie grzechy. Zrobię listę, żeby nigdy nie zapomnieć o żadnym punkcie.

– W sumie jest tylko jeden.

– Serio?

Gerard westchnął.

– Opowiedz lepiej, co z Malwiną.

– Wiele więcej nie ma do opowiadania. Została złapana z maryśką zgrabnie zapakowaną w torebkę strunową. Na szczęście było tam mniej niż pół grama. Przy okazji była najarana jak piec, w którym palono starymi oponami. Na szczęście dyrektor nie wezwał policji, nie nadał sprawie biegu, choć pewnie gdyby się to powtórzyło... Do tego Malwina chodzi ubrana jak Julia Roberts, zanim spotkała Richarda Gere'a. O tym dyrektor mówił mi już kilkakrotnie. Nauczycielki się wściekają, szczególnie te stare prukwy, które już dawno powinny być emerytowane. Zaległy na swoich belferskich stołkach jak ropuchy na szczycie mrowiska. Są nie do ruszenia, bo młodych nauczycieli nie ma.

– Na mrowisku? – Gerard nie powstrzymał zdumienia.

– Co robięś na lekcjach biologii? Mrówki to ropuszy przysmak.

– Zwykle śniłem o koleżance z sąsiedniej ławki.

Bożena skrzywiła się, choć przemknął jej po twarzy cień uśmiechu.

– W każdym razie te klepy wściekają się o odkryty brzuch i pośladki na wierzchu, brokatowy makijaż i czarne paznokcie z naklejkami w białe czaszki.

– Jest nastolatka. Woła o uwagę – stwierdził Gerard.

Bożena przyglądała się mężowi przez chwilą z natężoną uwagą.

- Boję się, że młoda...

Gerard czekał w napięciu.

- Wyczuwam od niej ten zapach. Już wcześniej wyczuwałam.

- I nic nie powiedziałaś?

- Nie skojarzyłam.

- Akurat. Nie pamiętasz zapachu marychy z czasów, w których ją popalaliśmy przy śmietniku na tyłach sali gimnastycznej?

- Od tamtego czasu nie miałam z nią styczności. - Bożena raczej warknęła, niż odpowiedziała.

- Yhm - mruknął Gerard.

- I mam wrażenie, że ona miewa więcej niż gram.

- Co? - Gerard zakrztusił się łykiem zielonej herbaty. - Sugerujesz, że nasza córka... diluje?

Bożena wzruszyła ramionami.

- Może poprosimy jeszcze szarlotkę. Na trzeźwo tego, kurwa, nie znoję - powiedział Gerard.

- Szarlotka? - Bożena westchnęła z politowaniem. - Naprawdę nie możesz przestać? Kieliszek wódki byłby znacznie stosowniejszy.

- Nie piję. Doskonale o tym wiesz. Nic się nie zmieniło.

- Pieprzony abstynent.

- Pieprzony byłem, kiedy piłem.

- Tak czy siak, twoja córka cię potrzebuje.

- Nie dopuszczasz mnie do niej.

- Wszystko zgodnie z decyzją sądu - burknęła Bożena.

- Wąłujemy ten temat ciągle od nowa. Może skupmy się na tym, co się dzieje u Malwiny?

- Jak słusznie zauważyłeś, woła o uwagę. A ty wyjeżdżasz.

- Dobrze wiesz, że ostatnio... Nie powodziło mi się najlepiej. Nasz rozwód...

- Nie wyjeżdżaj mi tutaj z takimi cikliwymi kawałkami.

- Ten kontrakt jest mi bardzo potrzebny - powiedział Gerard po chwili.

- Ty jesteś potrzebny naszej córce. Powinieneś z nią być i pomagać w matmie. Odwozić na wycieczkę o szóstej rano i zbijać pieprzony karmnik dla ptaków jako dodatkowy projekt na biologię, godzinę wychowawczą, technikę czy coś tam innego.

- To już ćwiczyliśmy. Przecież ty chciałeś rozwodu.

- I nie zmieniłam zdania. Ze mną jesteś rozwiedziony. Z córką nie.

- Wyjeżdżam - odpowiedział Gerard twardo.

- Uciekasz - wysyczała Bożena. - Jak zawsze.

- Przeprosiłem cię.

- Zawsze miałeś w dupie nasze dzieci.

- Dziecko. Mamy córkę.

- I drugą na cmentarzu.

Rozdział 9

Takie dni Bożena lubiła. Wolność. O jedenastej wyszła ze studia i w ogóle z radia. Nie miała żadnej interwencji, musiała przeprowadzić jedynie uliczną sondę. Do załatwienia w półtorej, góra dwie godziny. Przyjemność z pracy mogła jej popsuć jedynie pogoda. Chłód i mżawkę wspierał zimny morski wiatr. Potrafił przenikać do kości.

A gdy nagra już niezbędne wypowiedzi mieszkańców?

Bożena zaplanowała miłe popołudnie.

Pogoda nie sprzyjała wprawdzie spacerom, ale znakomicie nadawała się do zadbania o siebie. Paznokcie, fryzjer. Egoizm level master. Kosmetyczka byłaby idealna, ale nie sposób umówić wizyty z dnia na dzień.

„Powinnam w końcu zaplanować ten krwisty materiał o prezydencie” – pomyślała, pakując już sprzęt po nagraniu. „Umówię się na przyszły tydzień” – postanowiła. „Przez wkurw na Gerarda i sprawy Malwiny zapomniałam, jak twardą dziennikarką jestem”.

A jednak... Była mamą. Może nie przede wszystkim, bo każda z jej życiowych ról była ważna – poza rolą żony (patriarchalnym aksjomatom stanowcze nie!) – a jednak mamą była zawsze. „Taka ze mnie starosłowiańska Mokosz, że najpierw pójdę do apteki i kupię dropsy na gardło dla Malwiny” – pomyślała. „Może i jest pyską nastolatką, ale gówniara z chorym gardłem to jeszcze gorsza wiedźma”. Zadowolona, bo uwiła się z robotą w rekordowo krótkim czasie, wsiadała już do auta, gdy zadzwoniła Dorota.

– Dzwonił do mnie Dor... to znaczy Darek.

Bożena zastygła.

– Kilka razy mówił mi o twojej wizycie.

– Rozmawia z tobą o sprawach służbowych? – Bożena z opóźnieniem ugryzła się w język.

Dorota westchnęła.

– Chcesz wiedzieć czy nie?

– Milczę – odpowiedziała Bożena z powagą.

– Narzekał na ciebie, że mu dupę zawracasz i w ogóle. Ale teraz... coś się chyba zmieniło.

– Jadę do niego – stwierdziła Bożena, rozłączając się.

Wsiadła w swoją czerwoną stokrotkę, wysłużone auto, na którego bocznej szybie kiedyś Malwina przykleiła trzy kwiatki. Miała wtedy cztery lata i płakała, że brakuje czwartej roślinki. Bożena kupiła kalkomanie w najbliższym papierniczym, a mała z zachwytem przykleiła stokrotkę. Od tego czasu samochód miał nazwę i Bożena nie miała ochoty wymieniać wysłużonego auta na nowe. Odwiedzała regularnie zaprzyjany serwis, w którym pan Kazimierz dokonywał cudów samochodowego rzemiosła, auto jeździło, woziło ją bezpiecznie. No i miało czerwony lakier, jedyny słuszny kolor. Czego więcej chcieć?

Mam półtorej godziny. „Zdążę jeszcze przed paznokciami” – pomyślała i gwałtownie ruszyła z parkingu. Pod komisariat dotarła w osiem minut. Rekord.

Na Dariusza czekała kolejnych czterdzieści. Zgrzytała zębami, kilkakrotnie podchodziła do dyżurnego, służbowym tonem kazał czekać. „Gość ma pewnie takich zdenerwowanych petentów codziennie dziesiątki” – myślała. „Ale ja się spieszę! Jeśli nie stawię się na umówionej wizycie, więcej mnie tam nie zapiszą!”

Przed wszystkim jednak Bożena nie cierpiała być ignorowana. Tupnęła kilka razy obcasami, dźwięk szpilek poniósł się po kamiennej posadzce. Już otwierała usta w gwałtownym proteście, gdy otworzyły się

drzwi i dwóch mundurowych wprowadziło skutą dziewczynę. Była drobna, włosy w strąkach zwisały jej do ramion, a pochylona głowa przekonywała o rezygnacji. „To okrutne!” – pomyślała Bożena. „Tak młodą, bezbronną istotę poniżyć kajdankami. Czym mogła dwóm przeszkolonym policjantom zagrozić nastolatka?”

Wyobraziła sobie na miejscu nieznajomej dziewczyny Malwinę i natychmiast poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Znów otworzyła usta i nawet coś zaczęła mówić, chyba oskarżycielskim tonem, nikt tego jednak nie usłyszał. W tym samym bowiem momencie dziewczyna szarpnęła się, kopnęła policjanta w goleń, ten zaskoczony uniósł nogę, dołożyła w drugą. Policjant upadł, w tym czasie drugi odwrócił się w jej stronę i wyciągnął ręce, by złapać agresorkę za ramiona. Ona zaś wykorzystała okazję i ugryzła go w ucho. Wypluła kawalek, śmiejąc się histerycznie, z ucha mundurowego sikała krew. Po chwili odrętwienia inni funkcjonariusze zareagowali, wypadło ich raptem, nie wiadomo skąd, ośmiu i po trzydziestu sekundach nie było już śladu po wyrywającej się, przeklinającej dziewczynie ani zranionym policjancie. Chociaż nie. Na ziemi pozostały plamki krwi i skrawek ucha. Bożena odwróciła wzrok i grzecznie usiadła na krześle. Oddychała głęboko, słuchając otaczających dźwięków. Ktoś gadał przez telefon, załatwiał interesy, ktoś inny uspokajał rozmówcę, jakby miał coś na sumieniu. Pewnie niewielkiego, inaczej omijałby komendę szerokim łukiem. Bożena usłyszała fragment rozmowy na dyżurce.

– Co te pierdolone dopalacze robią maślakom z mózgow.

– Ta pannica to nigdy nienotowana, nie? – skomentował kolejny policjant.

– Wzorowa uczennica z dobrego domu. Koleżanka mojej córki. W dupach się poprzewracało z dobrobytu, wrażeń się gówniarze zachciało. Szesnaście lat, poprawczak jak nic. Nawet tatuś z układami nie pomoże.

Bożena zacisnęła wargi. Znów poczuła uderzenie ciśnienia. „Jak stara larwa” – pomyślała. „W nerwach reaguję jak siedemdziesięciolatka. Jeszcze im tu na zawał padnę. Nie mogę... Ktoś musi się zająć Malwiną, nie mogę jeszcze umierać!”

Czekała zatem spokojnie. Pomyślała nawet, że może wcale nie powinna tu przychodzić. Malena Fabiańska była stara. I wredna. Ale choć nieprzerwanie domagała się uwagi od otoczenia, zamęczała bliskich i służbę, to jednak miała prawo żyć.

Bożena kolejny raz ruszyła w stronę kontuaru, tym razem jednak dostrzegła sylwetkę Dariusza. Zbliżał się okratowanym korytarzem i znów pomyślała, że facet umie dozować napięcie. „Naprawdę można się w nim zakochać” – pomyślała. „Aktualnie jawi mi się jako mąż opatrnościowy”.

W tym momencie zadzwonił jej telefon. Chciała odrzucić połączenie, ale dostrzegła na wyświetlaczu nazwę salonu kosmetycznego.

– Pani Bożeno? Może pani pół godzinki później? Coś nam się tutaj obsunęło – zaszczebiotała kosmetyczka.

Fuknęła niezadowolonym głosem, w głębi duszy szczęśliwa. „Nie spóźnię się!” – triumfowała.

– Może później pani porozmawia – poinstruował ją dyżurny.

– Oczywiście – odparła, wkładając telefon do torebki, zdziwiona własną pokorą.

Dariusz poprowadził ją bez słowa do swojego pokoju. Odłożyła torebkę na krzesło i aż zacisnęła dłoń w pięści.

– Co się wydarzyło? – zaatakowała.

Policjant usiadł i wskazał jej krzesło.

– Mamy jeszcze jedno zeznanie – powiedział ostrożnie. – Niepokojące. Niby nic konkretnego, a jednak jest dziwnie zbieżne z pani opowieścią. To jeszcze nie dowód, zaledwie powód do przyjrzenia się sprawie. Ale jest to coś.

– Kto i co zeznał? Niech pan powie, może coś jeszcze znajdzie!

– Śledztwo to nie pani sprawa, niech pani to zostawi. To nie są żarty.

- Jestem dziennikarką, wiem, jak się rozmawia z ludźmi! - wyszczała Bożena.
- Właśnie. Dziennikarką, nie policjantką. Żałuję, że Dorota cokolwiek pani powiedziała.
- Gdyby tak było, nie wspominałby pan o tym Dorocie.

Dariusz spojrział na nią z ukosa.

- Rośnie moja wiara w inteligentną czwartą władzę - zakpił. - Ale jest coś... Właściwie nie ma oficjalnej sprawy. Nie powinniśmy w ogóle o tym rozmawiać, a szczególnie tutaj, bo to nie jest sprawa służbowa.

- Jeszcze nie - przerwała mu zniecierpliwiona. - Coś pana gnębi i dlatego się spotkaliśmy.

Policjant pokiwał głową.

- Służąca Fabiańskich przyszła do mnie dwa dni temu i potwierdziła niezależnie wszystko, co pani mówiła. A nawet jeszcze więcej.

- Ja też wiem więcej.

Bożena streściła swoje kolejne spostrzeżenia. Bójka Stefana z Władkiem, kłótnia Fabiańskiej z jakimś mężczyzną kilkanaście lat wcześniej, brawurowe zabawy Artura w niewykończonym domu nad morzem.

- Poza tym widziałam Agnieszkę Fabiańską wychodzącą z lombardu. Brakuje jej kasy na pobyt w rodzinnym domu? W ogóle mam wrażenie, że Fabiańscy wyskakują mi z lodówki. Słyszę ich nazwisko wszędzie - stwierdziła na koniec.

- Jest na nie pani teraz po prostu wyczulona. Nazwisko było w Koszalinie od zawsze odmieniane przez przypadki.

- No dobrze, ale czy to coś zmienia? To, co zeznała służąca?

- Jeszcze nie wiem, ale chciałem panią o coś prosić.

- Mam zbierać informacje? - Bożena się zaśmiała. - Robię to cały czas, a teraz...

- Wręcz przeciwnie - przerwał jej Dariusz. - Niech pani na siebie uważa. Jeśli naprawdę ktoś otruł Malenę Fabiańską... Jest mordercą. Przekroczył granicę bez powrotu. Nie zawaha się działać znów, jeśli tylko poczuje się zagrożony. Dlatego proszę trzymać się od tej sprawy z daleka.

- I po to mnie pan tu ściągnął?

- Przypominam, że pani sama tu przyszła.

- Ale pan powiedział mojej przyjaciółce Dorocie...

- Raz jeszcze przerwę. Nic konkretnego Dorocie nie powiedziałem. Nikt tu pani nie zapraszał. A ja proszę, żeby pani na siebie uważała, najlepiej zajmując się koniuszkiem własnego nosa.

Bożena wyszła zdezorientowana. Niedoczekanie! Ma się nie wtrącać? To po co ją tu ściągnął?

- Będę wykonywać swoją robotę jak zawsze, tylko lepiej - powiedziała do siebie półgłosem.

Zerknęła na zegarek. Wydawało jej się, że rozmowa trwała długo, minęło jednak zaledwie kilka minut. „Zdążę jeszcze do tej apteki” - pomyślała.

- Żeby nie przeszło w coś gorszego. Anginę albo zapalenie płuc. - Zaprzyjaźniona farmaceutka wyraźnie potrzebowała rozmowy. Bożena lubiła starszą panią, a dzisiaj miała czas. - Niech pani da jej coś przeciwwzpalnego. Koniecznie. I dużo witaminy C.

- Poproszę jeszcze plaster i coś na zapalenie pęcherza.

- Ojej! - Aptekarka się zmartwiła. - To ból przeokropny. Dam pani najnowsze tabletki, podobno przestaje boleć niemal natychmiast.

- Na razie tylko lekko piecze.

- Proszę zażyć od razu - powiedziała farmaceutka. Odeszła od lady i nalala wody do plastikowego kubka.

Bożena posłusznie łyknęła lek.

- Już mi lepiej.

– Trzeba dbać o siebie. Wie pani, że zmarła dozorczyńni spod piątki? Podobno chorowała, ale w ogóle, ale to zupełnie nikomu nic nie powiedziała!

– Takie życie. Ja wiedziałam. Miałyśmy ze sobą kontakt, moja mała kiedyś czasem się u niej zatrzymywała, jeśli mnie coś w pracy wypadło.

„Czyli częściej niż często” – dodała w myślach.

– Nie wie pani, kiedy pogrzeb? – zapytała farmaceutkę zupełnie odruchowo. Przecież na pewno będzie klepsydra.

– Chyba jeszcze nie wiadomo. Zaledwie wczoraj jej się odeszło.

– Jeśli pani będzie chciała... Zawiozę panią na cmentarz – powiedziała Bożena ku własnemu zdumieniu.

– Z pani to dobra kobieta. – Aptekarka się wzruszyła.

– To nic takiego. Na pewno będę chciała pojechać na nabożeństwo.

Bożena wyszła z apteki zasmucona. Dozorczyńni spod piątki była wścibską wydrą i dzięki temu żadne radio nie stanowiło dla niej konkurencji. Wiedziała wszystko. Bożena czasem żartowała, że to dozorczyńni powinna pracować w mediach, nie ona.

– Ja to powinnam prowadzić, te, niusy – zripostowała kiedyś kobieta. – Wiadomości, znaczy się.

– Lokalne – dodała Bożena. – Byłyby najlepsze w skali całego kraju. Za to nasze podwórko...

– Stoczyłoby się. – Kobieta weszła jej w słowo. – I z tego właśnie powodu nie mogę przejąć pani roboty. Zostają tutaj. A pani nie może porzucić pracy. – Uśmiechnęły się wtedy obydwie.

„Kolejna śmierć” – pomyślała Bożena. „Bezдушna kostucha, zabiera złych i dobrych. Czasem myli kolejność”.

Wróciła myślami do niewielkiej mogiły, którą kiedyś odwiedzała codziennie, a ostatnio ledwie raz na kilka tygodni. Czas nie uleczył ran, rozjątrzył tylko stratę poczuciem niesprawiedliwości.

Od dozorczyńni można było dowiedzieć się wszystkiego o wszystkich, co było interesujące, owszem, jednak dla Bożeny najcenniejsze było, że miała oko na Malwinę. Jako kilkulatka spędzała czasem u dozorczyńni popołudnia, choć teoretycznie miała dziadków w tym samym mieście.

Gdy Bożena wyjeżdżała na interwencję, a mała była jeszcze w przedszkolu, odbierał ją Gerard. Pewnego dnia jednak po prostu się nie pojawił. Zapomniał? Nie.

Opijał z kolegami... Bożena nie pamiętała co. Coś całkowicie nieistotnego, z jej punktu widzenia. Z kolei matka Bożeny, Czesława, najpierw nie odbierała telefonu, a gdy w końcu oddzwoniła, zupełnie się nie przejęła.

– Byłam u kosmetyczki – odparła bez skruchy.

Bożena się wtedy rozłączyła. Chodziło o reakcję matki. Nie przejęła się! Doprowadziła tym córkę do szału... Ich następna rozmowa telefoniczna miała miejsce pół roku później. Babcia zadzwoniła, by złożyć życzenia urodzinowe wnuczce.

Tamtego popołudnia Bożena wracała z Białogardu, złamała wszystkie możliwe przepisy drogowe, a przedszkolanka czekała na nią, siedząc na krześle przy niemal całkowicie wygaszonych światłach. Mała skuliła się i spała na dywanie, bez poduszki i żadnego przykrycia.

Bożena wpadła zdyszana z przeprosinami na ustach. Przedszkolanka zachowała się jak królowa krainy jednoroźców, która bezskutecznie czekała na audiencję u prezydenta świata. Nie odpowiedziała na powitanie. Po prostu wstała, sięgnęła po torebkę i klucze leżące na stoliku, a odwróciwszy się do Bożeny, stwierdziła cierpko:

– Następnym razem przekazemy małą opiece społecznej.

Po tym wydarzeniu Bożena odkryła, że zupełnie nie była świadoma słów, które zna. A jednak bez zmruczenia oka użyła ich w rozmowie z Gerardem. Wtedy jeszcze jej mężem. Nie skonsultowała tego ze słubnym, ale następnego dnia upoważniła dozorczyńnię do odbierania małej z przedszkola. Potem upoważnie-

nie przeniosła na szkołę. Młoda zawsze była zachwycona, nakarmiona racuchami z jabłkami albo ziemniakami ze zsiadłym mlekiem. Czasami dostawała kilka plastrów najtańszej mortadeli. To u dozorczynie nauczyła się składać gazety w wymyślne kształty, choć kobieta nie знаła słowa origami. To do niej Malwina pobiegła, kiedy rozkwaśła kolano na podwórku.

Bożena wiedziała, że dozorczynie choruje. Z rakiem się podobno nie dyskutuje, ale kobieta walczyła. Trzy lata temu wydawało się, że wygrała batalię, ale to była tylko bitwa. Nowotwór przyciął się, by cztery miesiące temu uderzyć w trzech miejscach równocześnie. Bożena płakała razem z nią, a gdy zabrakło łez – kłęła, czym rozbawiła dozorczynię.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła wtedy.

Bożena spojrzała zdezorientowana.

– Pani to jest swoja kobieta – powiedziała w końcu dozorczynie. – Byle larwa nie umie tak kłąć. Ale niech pani nikomu nie mówi. Perukę założyłam trzy lata temu i nikt się nie pokapował, więc niech i teraz nie mają pożywki.

Któregoś dnia po prostu nie wstała. Zadzzwoniła do Bożeny i powiedziała po prostu: „Już czas”. Karetka zabrała ją do szpitala zaledwie na dwa dni. Odeszła na własnych warunkach.

„Tym bardziej teraz pójde na paznokcie” – pomyślała Bożena. „Krwistoczerwone. Tego właśnie chciałaby sąsiadka. Życ trzeba na własnych warunkach”.

Do gabinetu dotarła kwadrans za wcześniej. Zwykle jej się to nie zdarzało – Bożena śpieszyła się wszędzie i zawsze, najczęściej przyjeżdżała spóźniona. Dorota nawet się z niej śmiała, że gdy wszyscy umówieni na jakąś godzinę szykują się już do spotkania, Bożena właśnie zaczyna poprzednie zadanie.

Trudno nawet było z tym prześmiewczym twierdzeniem dyskutować – takie były fakty. Co jednak zabawniejsze – Bożena zawsze zdążała. No, prawie zawsze. I na ostatnią chwilę. Realizowała jednak wszystko, co zamierzała. Być może właśnie dlatego, że planowała więcej niż inni? Musiała więc być lepiej zorganizowana, szybsza, sprawniejsza. Za to gdy zdarzył się wolny dzień... Mentalne wolne, jakże pożyteczny stan amnezji. Zapominała nawet o istnieniu telefonu, choć teoretycznie, jako rasowy dziennikarz, nie powinna tego nigdy robić.

„I teraz właśnie czas na ten wolny czas” – pomyślała Bożena. Rozsiadła się, by po chwili podskoczyć jak ugrzyzona przez krokodyla. „Zapomniałam kupić maść rozgrzewającą, muszę wrócić do apteki. Niech to!”

Zerknęła na zegarek. Już wiedziała, że nie zdąży do domu przed powrotem Malwiny ze szkoły. „Miałam być dobrą mamą” – pomyślała z przekąsem. „Racuchów z jabłkami smażyć nie umiem, ale ziemniakom w mundurkach dałabym radę... A tak młoda zje chipsy i kanapki”.

Oddała dłonie w ręce manikiurzystki. Kobieta coś mówiła, Bożena jednak nie miała ochoty na konwersację. Uśmiechała się, jednym uchem wpuszczała, drugim wyrzucała jej słowa z głowy. Wybrała czerwony lakier, po namyśle jednak zdecydowała, że czwarte palce zostaną udekorowane neonowopomarańczowym kolorem. „Zjadliwym jak sam pieprzony los” – pomyślała, pokazując kolor.

– Ostatnio młode dziewczyny taki lubią – skomentowała kobieta.

– Moja córka też niedawno przyszła z takim czymś pomarańczowym – dodała druga klientka. – Paznokcie obgryzione, twarz w wypryskach, a pomarańcz wali po oczach niczym tancerka pole dance wśród zakonnic.

– Za nastolatkami nie nadążysz – poparła ją manikiurzystka.

– Inna sprawa, że strasznie dużo wymagają od tych dzieciaków. Moja ma trzynaście lat, a codziennie wraca do domu o trzeciej. Tyle lekcji! Młoda jest zmęczona po szkole, a w pracach domowych nauczyciele to uprawiają chyba zawody. W efekcie moja córka na całe popołudnie siada do książek. Niedługo z wuefu będą pisali wypracowania.

– Teraz to się mówi rozprawka. – Kosmetyczka się zaśmiała.

Klientka, gdyby mogła, machnęłaby ręką. Jedną jednak miała uziemioną w lampie, a druga właśnie zyskiwała brokatowe zdobienie na środkowym paznokciu. Nie przeszkodziło jej to jednak w narracji:

– Ja w podstawówce miałam czas na spotkania z koleżankami. Głupie podśmiejki są ważne w tym wieku, zresztą przecież właśnie wtedy wyrabiamy sobie znajomości i przyjaźnie na całe życie.

„Przyjaźnie?” – pomyślała Bożena i wzdrygnęła się odruchowo. Z podstawówki zostały jej kiepskie wspomnienia, nie przyjaźnie. Zastanowiło ją jednak coś innego.

Jej córka nie wracała do domu o trzeciej prawie nigdy. Gdyby przychodziła wcześniej, wagary byłyby oczywiste, o nich jednak rodzicielka wiedziałaby od razu. Dziennik elektroniczny to skuteczna smycz na niesforne dzieciaki, choć także broń obosieczna. Pewnych rzeczy po prostu lepiej nie wiedzieć, dać młodym szansę na samodzielne załatwienie ich spraw... Malwina nie wracała wcześniej, za to bardzo często – później. Szesnasta trzydzieści to była jej zwyczajowa pora powrotów do domu. „Muszę zapytać, co robi do tego czasu” – postanowiła Bożena. Wiedziała bowiem, że siedząca obok kobieta mieszka w sąsiednim bloku, ma córkę imieniem Basia, która chodzi do równoległej klasy. Nie przyjaźniły się, ani dziewczyny, ani ich matki, skąd to zatem wiedziała? Od dozorczyń...

W przypływie smutku poprosiła manikiurzystkę o jeszcze jeden kolor.

– Poproszę o ciemny granat na piątych palcach – powiedziała.

– Bardzo ekstrawagancko – powiedziała kosmetyczka.

– W życiu dobrze jest się wyróżniać – odpowiedziała Bożena bez uśmiechu.

– Oczywiście. – Manikiurzystka się uśmiechnęła. Emanowała spokojem.

„Jak ona to robi?” – zastanowiła się Bożena. Na samą myśl o cierpliwym opanowaniu odczuwała wewnętrzną gorączkę. „Nie ma to jak kwiat lotosu na gładkiej toni jeziora” – myślała z przekąsem.

– Taki kolor ostatnio robiła u mnie pani Agnieszka Fabiańska – powiedziała kosmetyczka, czym do reszty zburzyła w Bożenie myśl o oazie wyciszenia. A po to przecież przyszła do tego salonu.

„Znowu to nazwisko! Ta rodzina mnie prześladowuje” – pomyślała.

– Musi to być jakaś najnowsza moda – odezwała się jedna z klientek.

– Na pewno. Tam w Kanadzie byle czego nie noszą. To ja może też poproszę taki granatowy? – zastanowiła się kolejna.

– Z całą pewnością taki kolor podkreśla osobowość – zgodziła się manikiurzystka.

– A ta Fabiańska to nie miała już wyjechać?

– Jeszcze nie otworzyli testamentu, musi czekać.

– Łaski nie robi. Dawno u rodziny nie była.

– A ten jej mąż to całkiem przystojny.

Konwersacja toczyła się jak wymiana piłek tenisowych na boisku. Bożena słuchała z opuszczoną głową, licząc na jakieś smakowite kąski.

– No, ale nieszczęśliwi są.

– A to niby dlaczego?

– Dzieci nie mają. Nic w życiu nie jest takie ważne, jak maluchy biegające po domu.

– Bzdury pani opowiadasz. Mają dzieci.

– Nie mają – upierała się pierwsza.

– Może nie rodzone, ale adoptowali.

Bożena znów nadstawiła uszu.

– Ona to się rozwiodła – stwierdziła kosmetyczka.

– No jak, skoro z mężem przyleciała.

– Drugim.

– Ale jak, przecież ona jest ciągle Fabiańska?

- A co to za problem zmienić nazwisko. Przy rozwodzie wszystko można.

- Ano można, można.

- Swoją drogą, słyszałyście, że podobno w naszej szkole pojawiły się narkotyki? - Ku zawodowi Bożeny klientka zmieniła temat.

- Takie rzeczy to tylko w Ameryce - prychnęła kosmetyczka.

- Albo w Kanadzie - rzuciła ze śmiechem jedna z kobiet.

- Basia mi wspomniała, że ktoś przynosi do szkoły, jak to ładnie powiedziała, „zioło do palenia”.

Bożena poczuła pot spływający po plecach. Szarpnęła dłonią, krwistoczerwona smuga zabrudziła palec. Kosmetyczka spojrzała na nią z wyrzutem.

- Przepraszam - burknęła Bożena. - Coś mnie zaswędziało.

- To skurwysyństwo jest - kontynuowała druga klientka gabinetu. - Żeby tak do dzieci?

Bożena poczuła, że chce stąd natychmiast wyjść. Przymknęła oczy i odpłynęła. „Muszę kupić maść rozgrzewającą. Nie mogę zapomnieć. Muszę kupić maść” - powtarzała w myślach. „Nasmaruję Malwinie klatkę piersiową, ona mi plecy, będziemy się śmiać i rozmawiać. Będziemy rozmawiać...”

Nie miała oczywiście żadnej gwarancji, że plan się powiedzie - szanse jego realizacji były jak przegłosowanie większościowego współnika. Cóż jednak szkodziło mieć nadzieję?

Bożena musiała przyznać, że manikiurzystka była sprawna, dobrze wykonywała swoją robotę. Paznokcie wyglądały pięknie, odrost pojawiał się dopiero po półtora tygodnia, a żadna skórka nie sterczała przez co najmniej kilka dni po wizycie w salonie.

A jednak miała ochotę skrytykować kobietę. Za cokolwiek. Rozejrzała się.

Salon był przytulnym miejscem, w którym klientki były witane przez ciepłe światła i otulające barwy. Na ścianach wisiały fotografie z zawodów stylizacji paznokci, w rogu salonu stał wielki zamiokulkas. Nic nie zmieniło się od ostatniej wizyty.

- Te fotografie chyba krzywo wiszą - powiedziała Bożena. Sama czuła, że to bez sensu.

Kosmetyczka odpowiedziała jednak spokojnie.

- Może i tak. Może to znak. Chciałabym kiedyś na takie zawody pojechać.

Bożenie zrobiło się głupio, nie zamierzała jednak nikogo przeproszać. Zapłaciła i szybkim krokiem wyszła z salonu.

„Muszę porozmawiać z córką” - pomyślała i poczuła wzbierającą złość. Powinni rozmawiać we trójkę, razem. Ojciec, matka i córka. Gerard i ona. I Malwina. Gerard jednak szykował się do wyjazdu. Na trzy miesiące! Zazgrzytała zębami. Miała jednak cień satysfakcji. Oznaczało to, że jej były mąż wróci w styczniu, czyli jego aktualna wybranka spędzi święta samotnie, a przynajmniej bez swojego wspaniałego faceta. „I dobrze jej tak!” - myślała dość mściwie.

Paskudna aura uaktywniła swój potencjał podczas wizyty Bożeny w salonie kosmetycznym. Wcześniej mżyło i wiało, teraz dodatkowo padał deszcz ze śniegiem, na chodnikach osadzała się śliska breja. To miał być wrzesień? A jednak. Rzadko taki bywał, częściej zachwycał dwudziestoma stopniami, ale czasem bywało i tak. Ludzie przemykali, ostrożnie stawiając kroki, a każde rozświetlone okno wydawało się wyspą szczęśliwej spokojności. „Albo przynajmniej suchej równowagi” - pomyślała kąśliwie.

Zostawiła samochód pod salonem kosmetycznym i piechotą wróciła do apteki. Zmieniła się obsługa, przy kasie stała młoda dziewczyna, znana Bożenie jedynie z widzenia. Kolejka była zniechęcająca, szczególnie że stały w niej wyłącznie starsze panie, z których każda - jak przypuszczała Bożena - będzie potrzebowała rozbudowanej konsultacji zdrowotnej. „Potrzeba dyskusji o dolegliwościach w pewnym wieku staje się nieodzowną częścią życia” - pomyślała. I się nie pomyliła. Wysłuchała relacji o bolących plecach, skrzypiącym biodrze, lupaniu w piersiach, szumach w uszach i drętwiejącym palcu prawej ręki.

Zgrzytała zębami, aż w końcu nie wytrzymała:

- Jest kolejka, pani się pośpieszy.

- Co to młode takie nerwowe? Muszę przedyskutować z panią magister, czego mi trzeba.
- Nie lepiej u lekarza? - Uwaga Bożenie po prostu sama wyleciała z ust.
- Kiedy lepiej, to lepiej. - W obronie kupującej stanęła inna pani.
- Czasem wystarczy z kimś porozmawiać i od razu pomaga - wtrąciła następna kolejkowiczka.
- Terapia słowem - mruknęła Bożena.
- Wy, młodzi, to nic z życia nie rozumiecie.
- Ale wydaje im się, że wszystkie rozumy pozjadali.

Poczuła, że zaraz eksploduje. Przymknęła oczy i policzyła do dziesięciu. Potem do dwudziestu. Od razu zrozumiała, że dyskusją przedłużyła tylko oczekiwanie. Zamierzała jednak spędzić ten wieczór z córką na smarowaniu pleców, należało skrócić debatę senierek.

Nie. Plecy nie miały znaczenia, choć rzeczywiście ją rwały. Nawet bolące gardło było bez znaczenia, potencjalne zapalenie płuc także nie. Chciała po prostu porozmawiać i bała się, że nie będzie miała szansy.

Dlatego policzyła do stu. A gdy w końcu dotarła do okienka, obrzucana przez każdą wychodzącą wcześniej klientkę surowym spojrzeniem pełnym potępienia, powiedziała po prostu:

- Maść rozgrzewającą poproszę. Taką do smarowania klatki piersiowej.

Farmaceutka podała słoik i skasowała należność bez komentarza. Bożena wrzuciła pojemnik do torby i odwróciła się do wyjścia. Uświadomiła sobie w tym momencie, że podczas gdy ona ćwiczyła w myślach arytmetykę, życie trwało dalej. Ktoś wychodził, wchodził... Ten ktoś nie był jej obcy.

- Mietek? - powiedziała, zanim przypomniała sobie, że nie ma ochoty z nikim rozmawiać.
- Kopeł lat! - Ucieszył się. - Pięknie wyglądasz.
- Jak zawsze szarmancki - odpowiedziała z uśmiechem, który nawet nie był specjalnie wymuszony.
- Lata lecą, a my ciągle w tej samej aptece - zagaił napotkany.
- Ludzie z naszej klasy porozjeżdżali się po świecie - potwierdziła. - Chyba tylko my zostaliśmy.
- Kocham Koszalin i nie zamierzam się z niego wyprowadzać - oznajmił. - Poza tym została jeszcze

Barbara. I Gerard.

- Zawsze tak mówiłeś.
- Zawsze tak myślałem.
- I w tym ulubionym mieście zrobiłeś karierę.

- Przyganiał kocioł garnkowi? - Bardziej zapytał, niż stwierdził, bo właściwie nie był pewien, czy ze strony dawnej koleżanki to przytyk, czy raczej wyraz uznania. Stawiał na to pierwsze. Znali się przecież nie od dziś, Bożena od zawsze była pyskata i złośliwa, a rozwód tylko wyostrzył jej jeżoz.

Westchnęła. Potem wzruszyła ramionami.

- Nic to - powiedział, nie doczekawszy repliki. - Lubię czasem z kimś powalczyć na celne riposty, stęskniłem się. Może wpadniesz do nas któregoś dnia?

- Jesteś pewien?
- Moja żona będzie zachwycona. Nie licz na żadne umizgi. - Zaśmiał się sztucznie.

Uniosła zgryźliwie kącik ust, myśląc, że to chyba on nie powinien na nic liczyć. Wiele lat temu, gdy byli jeszcze licealistami, Mietek wyraźnie miał nadzieję na coś więcej. Sęk w tym, że Bożeny plany i nadzieje były zupełnie inne, a Mietek do dzisiaj nie był świadom, jak blisko był utraty męskości. Ona za to do dziś pamiętała furję, jaka w niej wzbierała, i rozkoszną myśl o celnym kopniaku w przyrodzenie Mietka. Wtedy uratował go Gerard, który właśnie w tamtym momencie objawił się Bożenie, lekko wstawionej po dwóch winach, niczym archanioł. Pomyliła Gabriela z Gerardem, potem sobie tłumaczyła, że to też na g. „Jak gówno” - podsumowała kiedyś w przypływie nadmiernej szczerości.

- Tylko w przyszłym tygodniu, teraz muszę zamknąć sprawy testamentu Fabiańskich - dodał Mieczysław. - Straszne z tym zamieszanie.

- Zamieszanie?

Adwokat pokazał gest zamykania ust na klucz.

- Dwa testamenty, sama rozumiesz - powiedział.

- Słucham?

Adwokat powtórzył gest zamykania ust na klucz.

- Do kitu cała ta sprawa.

- To wszystko... chyba dość nietypowe? - powiedziała Bożena po zastanowieniu.

- Raczej złośliwe ze strony spadkodawczyni. Ale Fabiańska nie słynęła z dobrośliwości.

Pośmiali się chwilę, a gdy Mieczysław dotarł do okienka, Bożena pożegnała się i wyszła z apteki. Została ze swoimi myślami i było jej z tym całkiem niewesoło. Szczególnie że pojawiło się w jej głowie wiele pytań.

Rozdział 10

Telefon przestraszył Bożenę. Zanim się ocknęła, dźwięk ucichł. Wybudzając się, odetchnęła z ulgą – senny koszmar przeżywała realistycznie jak jawę. Spociła się, Sahara w ustach nie pozwalała odkleić języka.

Zerknęła na zegarek. Dochodziła jedenasta. „Jak to możliwe?” – zastanowiła się przez chwilę. Usiadła, ziewnęła i natychmiast tego pożałowała. Żołądek przypomniał jej, że wieczór nie przebiegł zgodnie z planem.

Owszem, maść rozgrzewająca była potrzebna, i owszem, Bożena zdjęła bluzę, by Malwina nasmarowała matce plecy. Na tym się jednak skończyło. A właściwie – zaczęło.

Gdy Bożena dotarła do domu, córka siedziała w swoim pokoju. Precyzyjnie – leżała na łóżku nakrytym różową kapą. „Już tylko kolor pozostał po mojej spokojnej, delikatnej dziewczynce” – z lekkim sarkazmem pomyślała Bożena. Tak niedawno! Może z osiem miesięcy temu Malwina sama wybrała tę cukierkową kapę. A teraz?

Teraz trudno było się dopatrzeć w nastolatce uwielbienia dla ckliwej puchowości. Leżała na narzucie w bordowych glanach i czarnej bluzie, spod której wystawały tylko majtki. Nawet nie zauważyła wejścia matki. Kiwała głową w rytm muzyki, musiało to być coś dynamicznego, choć douszne słuchawki nie pozwalały Bożenie tego usłyszeć.

Młoda otworzyła oczy, dopiero gdy matka nad nią stanęła.

– Rozumiem, że buty to demonstracja.

– Fajne są. – Nastolatka wyjęła jedną słuchawkę z ucha, Bożena usłyszała dźwięki Billie Eilish.

– Sama ci je kupiłam.

– Yhm. Po miesiącu próśb.

– Kosztowały jedną czwartą mojej pensji.

Młoda wzruszyła ramionami. Bożena usiadła na łóżku i przyjrzała się zabrudzeniom kapy. Zgrzytnęła zębami i choć doskonale wiedziała, że nie powinna, powiedziała:

– Ściągnęłaś spodnie, ale założyłaś buty. By położyć się w nich na łóżku.

– Fajne są – powtórzyła nastolatka i ostentacyjnie włożyła słuchawkę.

Matka poczuła, jak krew uderza jej do głowy. Zdecydowanym ruchem sięgnęła do iPada i wyszarpnęła słuchawki z gniazda. Młoda syknęła z wściekłości.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziała Bożena najspokojniej, jak umiała. Słabo to wyszło. Młoda potrafiła rozgryźć ją tak, jak barometr rozpoznaje zmiany ciśnienia, więc bezbłędnie odczytała buzującą w jej głosie furję. – Poza tym powinniśmy pogadać. A teraz nasmaruj mi plecy.

Postawiła na łóżku odkręcony słoik z maścią i podciągnęła koszulę.

– Rozkazywać to mi mogłaś, kiedy miałam cztery latka – warknęła Malwina. – A teraz zejdź z mojego łóżka.

Bożena chciała coś powiedzieć, bardzo dużo słów kotłowało jej się w głowie, żadne z nich jednak nie wydawały się właściwe. Po prostu ją zatkało.

– Albo ty, albo ja. – Nastolatka podniosła się do pozycji siedzącej.

Bożena nie potrafiła podjąć decyzji, więc młoda zadziałała zgodnie z własną wolą. Wstała, wyszła z pokoju i walnęła drzwiami. Po chwili Bożena usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. Wtedy podskoczyła na łóżku, jakby ktoś ją sparzył w tyłek.

Młodej naprawdę nie było w mieszkaniu. Ani na klatce schodowej. Ani nie odbierała telefonu. Znowu! Bożena założyła kurtkę, w ostatniej chwili powstrzymała trzaśnięcie drzwi. Klucze zostawiła na komodzie w przedpokoju, bez nich nie dostałaby się potem do mieszkania. Sięgnęła po brelok i wybiegła na klatkę schodową. Potem przez kwadrans chodziła wokół bloku przekonana, że Malwina krąży gdzieś po okolicy. Do ojca nie pojechała, za późno. Chyba. Bożena usiadła w końcu na ławce i panikowała. W końcu wybrała numer Gerarda, miał wyłączony telefon.

Po kolejnych piętnastu minutach zadzwijała jej komórka. Odrzuciła połączenie – rozmowa z matką nie była jej teraz do niczego potrzebna. Tak jej się zdawało.

Dopiero za trzecim razem dotknęła zielonego przycisku, nie powiedziała jednak na przywitanie ani „halo”, ani „cześć”, ani nawet „czego”. Po prostu odebrała i przyłożyła aparat do ucha.

– Malwina jest u mnie. – Usłyszała głos matki. – Nie chce, żebyś po nią przyjeżdżała.

Bożena nie zdążyła się odezwać, połączenie zostało zakończone. Wróciła do domu i trzęsącymi rękami otworzyła barek. Wiele w nim nie było. Pół butelki whisky, pozostałość jeszcze po Gerardzie, jeden nieotwarty rum i dwie butelki wina.

Nalała sobie do szklanki whisky na dwa palce i wypila duszkiem. Szybko poczuła ciepło rozlewające się po ciele. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że rozpięta kurtka narzucona na cienką koszulę w zimny wieczór to słaby pomysł. Zmarzła i pomyślała, że kolejna porcja alkoholu powinna uchronić ją od choroby. „To lekarstwo” – przekonywała samą siebie. Potem niewiele myślała, dolewając złotego trunku. Nie pamiętała nawet, kiedy otworzyła butelkę czerwonego wina. Na pewno wtedy, gdy skończyła się whisky.

A teraz uznała, że jej najlepszym przyjacielem jest sedes. Dopiero przed dwunastą wysłała esemesa do Doroty.

„Ratuj. Nie dam rady dzisiaj przyjechać. Nie żyję”.

„Nie pytam”. – Dostała odpowiedź po chwili. „Już po dziesiątej powiedziałam Edmundowi, że masz gripę. Więc siedzisz w domu przez przynajmniej trzy dni”.

„Aż tyle nie wypila” – odpowiedziała Bożena i wyłączyła telefon.

Spała, z przerwami, do szesnastej. Wtedy wzięła prysznic i postanowiła zaczekać na córkę, choć wcale nie była pewna, czy Malwina po szkole wróci do domu.

O wpół do szóstej zadzwoniła do matki.

– Dzień dobry, córeczko. – Usłyszała. – Malwinka jest u mnie.

– Wolałabym, żeby była w domu.

– Przywiozę ją – odpowiedziała matka, na co Bożena po prostu się rozłączyła.

Wprawdzie po prysznicu sprzątnęła ślady zmagania z kacem, teraz jednak w panice rozejrzała się po mieszkaniu. Matka była pedantką. „I właściwie nic mnie to nie obchodzi” – pomyślała Bożena w końcu. „Dlaczego zatem kompulsywnie układam do szafek naczynia z suszarki?”

Nerwy okazały się całkiem niepotrzebne. Matka Bożeny przyprowadziła wnuczkę pod drzwi, choć nie przekroczyła progu.

– Jestem umówiona na mieście – powiedziała spokojnie i odeszła.

Malwina zaś wkroczyła do mieszkania, rzuciła plecak i skierowała się prosto do swojego pokoju.

Bożena stała w kuchni przez kilka minut, zbierając siły. W końcu weszła do pokoju nastolatki. Tym razem młoda siedziała na swoim krześle przed wyłączonym komputerem i wyraźnie czekała na matkę. Spojrzała na nią z wrogością.

– Czego teraz będziesz się czepiać? Nie mam glanów. Nie słucham muzyki. Nie leżę na łóżku.

„Ale masz makijaż i za krótką spódniczkę” – pomyślała Bożena. „Swoją drogą, ciekawe, skąd wzięła kosmetyki. Od babki? Nie sądzę... Mama się prawie nie maluje”.

Nie powiedziała tego jednak.

– Chciałam cię prosić, żebyś nasmarowała mi plecy. Bardzo mnie bołą.

Młoda spojrzała na matkę jak fakir na deskę pełną tępych gwoździ. Ostre stanowiłyby wyzwanie, zaokrąglone zaledwie obrazę. Sięgnęła jednak po słoik i nabrała spory kleks maści. Roztarła go dłońmi i delikatnymi ruchami rozsmarowała na skórze matki.

– Powinnyśmy porozmawiać – zagaiła Bożena po chwili.

Malwina prychnęła niczym żreback odsunięty od kostki cukru na długość ręki. Nie odpowiedziała i po prostu wyszła z pokoju. Gdy Bożena weszła do kuchni, młoda kończyła szykowanie jajecznicy. Zignorowała wszelkie próby kontaktu ze strony matki.

– Jajecznicę na kolację?

Spojrzenie zamiast odpowiedzi.

– Co w szkole?

Spojrzenie zamiast odpowiedzi.

– Potrzebujesz czegoś? Jakiejś pomocy? Korków? Czegokolwiek?

Spojrzenie zamiast odpowiedzi nie zastąpiło rozmowy.

W końcu, uwięziona w domowej ciszy, Bożena uznała, że musi skupić się na pracy. „Bo niewiele poza tym mi zostało. Właściwie nic innego” – przemknęło jej przez głowę już wieczorem, przed samym zaśnięciem.

Rano Malwina wstała sama, bez zwyczajowego kilkakrotnego budzenia przez matkę. Nie zmienił się jednak status rozmowy. „Porozumiewamy się mentalnie” – pomyślała Bożena, kiedy córka wyszła do szkoły. Miała ochotę i potrzebę pojechania do pracy. Wczorajsza „grypa” nie mogła jednak ustąpić tak po prostu, po jednym dniu. Uznała, że spożytkowanie energii na sprzątanie będzie dobrym rozwiązaniem.

Najszybciej poszło w łazience. Lustro, brodzik, sedes. Podłoga. Kosmetyki wepchnęła do szuflad, dziwiąc się nieodmiennie, że młoda potrzebuje ich trzy razy więcej niż ona sama. „Po prostu się zestarzałam i już” – uznała wreszcie. Podkład, paleta beżowo-szarych cieni, czarna kredka, tusz, puder i czerwona szminka. A w sytuacjach awaryjnych jedynie tusz i szminka. Pomadka towarzyszyła jej zresztą wszędzie, prawie jak buty. W torebce, biurku w redakcji i w samochodzie miała dodatkowe kolorowe sztyfty, zwykle czerwone. Pozostałe kosmetyki mogła zmieścić w litrowej torebce, takiej jak do samolotu. „Mnie to wystarczy. Malwina wyraźnie potrzebuje więcej... A może powinnam coś zmienić?” – zastanowiła się.

W kuchni sprzątanie trwało dłużej. Potem usiadła zmęczona przy stole przed otwartym laptopem. Przejrzała wiadomości i pocztę, nie działo się nic elektryzującego.

Zerknęła w kalendarz. Grubym flamastrem wpisała tam datę. Pojutrze pogrzeb dozorczyni.

Przez chwilę zastanawiała się, kto wywiesił klepsydre na drzwiach klatki schodowej. Kto zajmował się pogrzebem?

Tajemnica szybko się wyjaśniła. Po śmierci kobiety uaktywnił się jej syn, spotkała go w drzwiach mieszkania dozorczyni. Bożena kojarzyła, że było własnościowe, może wchodził też w grę inny spadek? „Będą się kłócić z siostrą o schedę po matce. Bo chyba testamentu dozorczyni nie sporządziła?” – zastanowiła się chwilę.

Rozmyślenia przypomniały jej o Mieczysławie. Tego nie miała wpisanego w kalendarz, ale dlaczego nie potraktować spotkania jako sprawy do załatwienia?

„Robię się korposuczą” – pomyślała. „Choć właściwie dlaczego korpo? Nie mam nic wspólnego z wielkimi firmami, a tym bardziej z ich ogromnymi pieniędzmi. Niech zatem zostanie sucz. Całkiem trafne określenie, jak dla mnie. Zatem potraktuję umówienie spotkania ze znajomymi jako zadanie do wykonania”.

Wybrała numer do Barbary, żony Mieczysława. Dawno niewidziana koleżanka wyraźnie się ucieszyła. Kiedyś były wręcz zaprzyjaźnione. Kiedyś, czyli... prawie dwadzieścia pięć lat temu. „Czas to oszust” – zre-flektowała się Bożena.

Potem relacja z Barbarą przyblakła, przysypana obowiązkami, kolejnymi dniami wypełnionymi niekończącą się listą zadań, pośpiechem. Okazało się jednak, że wystarczył jeden telefon, by nie mogły przestać rozmawiać. Bożena czuła się jak w podstawówce. Zamknęła oczy i przypomniała sobie, jak siedziała oparta o ścianę w przedpokoju, z telefonem przy uchu, i godzinami omawiała z Bašką szkolne sprawy. Rodzice narzekali na wysokie rachunki telefoniczne, a potem wiszący na ścianie czerwony aparat z poskręcany kablem znikł, jak niemal wszystkie inne stacjonarne telefony.

– Mietek wspomniał, że się spotkaliście. Obowiązkowo musimy się zobaczyć. Wpadnij do nas, tylko nie w tym tygodniu.

– Byłoby miło się zobaczyć. Twój mąż wspomniał, że ten tydzień ma zajęty przez jakieś zamieszanie ze sprawą spadkową Fabiańskich.

– Niech nie przesadza. Choć to fakt, ma dużo papierologii.

– A to nie dziwne? Testament chyba wystarczy po prostu odczytać i już?

– Żeby to było takie proste. Mietek wspomniał o komplikacjach, ale on przecież nie ma wyrażać opinii, tylko przeprowadzić sprawę.

– Ale skoro to dziwne, to nie ciekawi cię dlaczego? – Bożena zaczęła ostrożnie, nie musiała jednak owijać w bawełnę.

– No jakbyś zgadła. Samej mi się przy tym grzebać nie chce, ale skoro jesteśmy we dwie...

Ustalenie planu zajęło im zaledwie kilka chwil. Umówiły przyjacielskie spotkanie na piątek i rozłączyły w poczuciu dobrze zawiązanego spisku.

Bożena zamknęła kalendarz i laptop.

„To został mi do posprzątania duży pokój” – pomyślała.

Nieduże i niezagracone pomieszczenie sprzątało się prawie samo. Bożena planowała uporać się z zadaniem w dwadzieścia minut. Zgarnęła dwa kubki ze stolika, ułożyła kolorowe gazety kupowane przez Malwinę, odłożyła na miejsce książkę, którą zaczęła czytać dwa tygodnie temu i nie mogła skończyć. Potem kurz, bez bibelotów poszło szybko. Zostało odkurzanie. Machnęła odkurzaczem na niewielkim dywanie, ogarnęła wszystkie kąty. Zadowolona składała już rurę urządzenia, gdy zahaczyła o skraj dywanu. Odwinął się i wtedy Bożena zamarła. Odłożyła odkurzacz i usiadła na podłodze.

– Kurwa, kurwa, kurwa – powiedziała do siebie półgłosem, choć chciała krzyknąć.

To nie był gram. To było dużo, dużo więcej.

– I dlaczego pod dywanem? Bo młoda się spodziewała, że będę szukać w jej pokoju. – Bożena pytała samą siebie i sama sobie odpowiadała. – A mnie to nawet nie przeszło przez myśl. Ale to sprytne, swoją drogą – kontynuowała głośno rozważania, przyglądając się dużemu woreczkowi strunowemu, w którym na płasko rozłożono spore porcje suszu, podzielone na mniejsze opakowania – bo gdybym nie wpadła w szal sprzątania, miesiącami bym tego nie zauważyła. Nic się nie dało wyczuć pod dywanem, poza tym akurat w tym miejscu rzadko przechodzimy.

„Spryciara” – pomyślała Bożena, choć pochwała w kierunku córki to było ostatnie, co leżało teraz w jej zamiarach. „Co powinnam teraz zrobić?”

Pokój Malwiny kusił, powstrzymała się jednak. Nawet tam nie zajrzała. Otworzyła laptop i sprawdziła dziennik elektroniczny. Próbowwała pracować, ale słabo to wychodziło. Przez dwie godziny udało jej się zaledwie w ogólnych zarysach zaplanować najbliższe wywiady. Zrobiła listę materiałów, które musi przeczytać. Ze scenariusza spotkania z prezydentem nic nie wyszło. Po prostu cały czas zerkiała na zegarek.

Minęło pięć minut, siedem. Wciąż jeszcze ponad półtorej godziny. Ostatecznie stała przed szkołą dwadzieścia minut przed dzwonkiem. Wyszło wiele dzieciaków. Malwiny nie było. „Poszła na wagary?” – przemknęło Bożenie przez głowę. Uświadomiła sobie jednak, że to niemożliwe. W dzienniku elektronicznym nie było zaznaczonej nieobecności.

Malwina wyszła ze szkoły dopiero po kolejnym kwadransie, kiedy Bożena zamierzała już wejść do budynku. Właściwie to już wmaszerowała na szkolny dziedziniec, zatrzymał ją jednak telefon od Doroty. Donosiła jej, że Edmund przesyła pozdrowienia i pyta, kiedy skończy się jej grypa. „Bo ileż można chorować” – zacytowała.

– Powiedziałaś, że będę jutro?

– Jasne. Dłużej nie wytrzymasz w domu. Ucieszył się. „Bo jest sporo pracy z tymi Fabiańskimi”, stwierdził.

– Nasz wspañiały szef, mistrz empatii. Dla nas i ludzi w żałobie – skwitowała Bożena.

– Klawe mamy życie z takim szefem – skomentowała Dorota.

Porozmawiały jeszcze chwilę, a gdy Bożena zobaczyła córkę, rozłączyła się bez pożegnania z przyjaciółką.

Malwina wyszła ze szkoły roześmiana, w rozpiętej kurtce i z czapką wystającą z kieszeni. Miała na sobie króciutką spódniczkę, porwane rajstopy oraz botki, których Bożena nie знаła. Gdy dziewczyna zobaczyła matkę, zatrzymała się, a uśmiech zgasł jej na twarzy. Powiedziała coś do towarzyszącej jej trójki nastolatków i podeszła do rodzicielki.

– Przyplływ uczuć opiekuńczych? – Ukąsiła ironią na dzień dobry.

– Też się cieszę, że cię widzę, córeczko – odpowiedziała spokojnie Bożena. – Lepiej późno niż później, prawda?

Malwina wzruszyła ramionami.

Bożena ruszyła wolnym krokiem, jednak nie w stronę domu. Młoda nie zadawała pytań. Usiadły w niewielkiej kawiarence, istniejącej tu, odkąd Bożena pamiętała. I od tych zamierzchłych czasów nic się w tym miejscu nie zmieniło, poza pokoleniem właścicieli. Teraz prowadził ją wnuk założyciela i wciąż było tu równie miło, choć nieco, delikatnie rzecz ujmując, eklektycznie.

Młoda usiadła przy stoliku ze skrzywioną miną. Bożena pokazała jej zdjęcie znaleziska spod dywanu. Malwina zacisnęła szczękę.

– Porozmawiaj ze mną – poprosiła matka, wspinając się na szczyty dyplomatycznych możliwości.

W odpowiedzi zobaczyła tylko wzruszenie ramion. Chciała krzyczeć, szarpać dziewczynę, rzucić krzesłem. W środku przeklinała gorzej niż dresiarz z koszalińskiego trójkąta.

– Myślę, że wołasz o uwagę – powiedziała Bożena w końcu, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Młoda prychnęła.

„W końcu jakaś reakcja” – uznała Bożena.

– I chciałabym ci ją poświęcić.

– Teraz? – Młoda w końcu spojrzała matce w oczy. Wyzywająco, ale jednak.

– Każdy czas jest dobry.

– Dyro cię zmusił, co?

– Skąd taki pomysł?

– Wzywał cię na dywanik. Dlatego zaczęłaś szukać u mnie zioła, co? Owszem, mam, używam, co w tym złego? Maryśka jest lecznicza. Pomaga w koncentracji i...

– Czyś ty oszalała? – Bożena nie wytrzymała.

– Właśnie. Tak się z tobą rozmawia. – Malwina założyła ręce na piersiach i spojrzała na matkę z pogardą.

– Czy ty dilujesz trawą?

– A z czego bym miała te wszystkie kosmetyki, buty, ekstra spódniczkę?

– Ojciec ci kupuje... Albo babcia.

– Dobrze sobie. Ty wiesz, że ojciec. On uważa, że to ty. I wszystko gra, co nie?

- Nie - odpowiedziała spokojnie Bożena, a przynajmniej wydawało jej się, że spokojnie. - Musisz natychmiast z tym skończyć.

Młoda wzruszyła ramionami.

- To nie takie proste.

- Domyślam się. Niemniej konieczne.

- Dyro się będzie z tobą kontaktował - stwierdziła młoda beznamiętnie.

- Byłam u niego w ubiegłym tygodniu.

- No i na pewno będziesz znowu.

Rozdział 11

Kolejna bezsenna noc nie pomogła urodzić Bożeny. Rano spojrzała w lustro ze wstrętem.

– Jestem porzuconą i zgorzkniałą starą zgredą. Oto ja. Do tego beznadziejną matką. Głupia. Głupia. Głupia! – Ostatnie słowa wykrzyczała, uderzając dłonią w umywalkę. Potem trzymała się za kant dłoni i syczała z bólu.

Rano Bożena wyszykowała córkę, dała jej kanapkę w śniadaniówce i zdołała tylko zapytać:

– Nie masz ze sobą żadnego... towaru, prawda?

– Wszystko mi zabrałaś. – Nastolatka wzruszyła ramionami. – Tylko będę musiała za to zapłacić.

– Oddasz ziolo.

– Ale ty jesteś naiwna, matka. Nie oddam. Nikt go ode mnie nie weźmie. Sprzedam, wypalę, wrzucę do Dzierżęcinki, nieważne. Muszę zapłacić.

– Trudno. Nawet jeśli miałabym wziąć pieprzoną chwilówkę, spłacisz to. Nie będziesz już sprzedawać. Ani jarać.

Młoda wyrwała oczami i wyszła do szkoły. Wzięła śniadaniówkę z zamiarem wyrzucenia kanapki do szkolnego kosza.

Bożena zaś doszła do wniosku, że musi wziąć się w garść.

– Niech chociaż w robocie mi się układa – powiedziała do siebie.

Edmund nie zainteresował się stanem jej zdrowia. Wyraził zaledwie powściągliwe zadowolenie z powrotu pracownicy. A potem Bożena, na szczęście, wpadła w wir spraw. Dzięki temu nie myślała o Malwinie, w każdym razie nie nazbyt często.

Przed jedenastą Dorota przyniosła dwie kawy, nie pytając o to nawet Bożeny.

– Skąd wiedziałaś? Łaknę kawy niczym cukrzyk w upalne południe na mieleńskiej plaży.

– Zawsze o tej godzinie potrzebujesz espresso. Tak jak ja. Choć nie mam pojęcia, dlaczego akurat cukrzyk ma marzyć o kawie. Na plaży. Poza tym dzisiaj marzysz o kawie szczególnie.

– Bo to napój zwykle słodzony, a cukrzykowi, który poci się na słońcu, spada cukier. Nieważne. Dlaczego akurat dzisiaj szczególnie marzę o kawie?

– Ty mi powiedz.

Bożena nie planowała zwierzeń. Jeśli jednak nie z Dorotą – to z kim? Teoretycznie powinna porozmawiać z Gerardem. On jednak zwykł się do podróży.

Dorota nie przerywała. Słuchając, przygryzała wargę i skubała skórę u paznokcia.

– Potrzebujesz planu – powiedziała w końcu.

– Wiem. – Bożena pomyślała, że przede wszystkim potrzebowała rozmowy.

– Po pierwsze, zabierz młodą na badanie moczu.

Bożena kiwnęła głową.

– Po drugie, musisz porozmawiać z dyrektorem.

– On już sygnalizował, że podejrzewa Malwinę o dilerkę. Boję się.

– Niesłusznie. Ona ma trzynaście lat. W jakiś sposób wpadła w to towarzystwo. Przecież nie w domu.

Bożena spojrzała na przyjaciółkę z wdzięcznością.

– Dlatego sama do niego pójdz. Zanim zadzwonią ze szkoły.

– Ofensywa.

– Właśnie. Atakuj, nie czekaj na konieczność obrony.

Rozmowę przerwał im Edmund.

– Interwencja, drogie panie.

Spojrzały na siebie porozumiewawczo. Oczywiście było, że pojedzie Bożena. Ale powiedziały sobie już wszystko.

– A poza tym – kontynuował Edmund – kiedy zostanie odczytany testament Fabiańskiej?

Za odpowiedź musiało mu wystarczyć rozłożenie rąk.

– To co z ciebie za dziennikarka? Najważniejsze prywatne fundusze w tym mieście właśnie zostaną rozdysonowane, a ty nie znasz szczegółów? I nie wyjeżdżaj mi tu z chorobą, to nie ma nic do rzeczy. Masz mieć materiał o testamencie!

Wyszedł, nie czekając na reakcję redaktorek.

– Co za palant – stwierdziła Dorota.

– Nie mam pojęcia, po co słuchaczom info o testamencie – głośno myślała Bożena. – Ale po raz pierwszy cieszę się, że mam takiego dupka za szefa. Teraz wyrażę zawodowe zainteresowanie sprawą.

– Uważaj – powiedziała Dorota.

– Rozmawiałaś z Dariuszem?

Nie odpowiedziała. Bożena ruszyła w miasto, materiał nagrała w niecałą godzinę. Postanowiła przy okazji zrobić jeszcze sondę. Przyszła jej do głowy spontanicznie. Skoro ma przygotować materiał o prezydencie i urzędzie miasta, a z założenia nie ma to być laurka – głosy mieszkańców się przydadzą.

Rozmowy uliczne nie wyszły obiecująco. Raczej chwalono lokalne władze, jedynie szklany sześcian postawiony na rynku miejskim spotkał się z kiepskim przyjęciem. „Kłoczek”, „zawalidroga”, „ohydztwo” – mówili przechodnie. Sztandarowy projekt miejski, w założeniach przeznaczony na gastronomię, długo stał pusty. Potem najemca nie płacił czynszu, następnych chętnych nie było. Miejsce nie wżyło się w strukturę miasta, a i pandemia nie pomogła.

Poza tym mieszkańcy wydawali się zadowoleni z miejskiego zarządu.

„Same głupoty” – myślała Bożena.

Tylko ostatni rozmówca mówił trochę ciekawiej.

– Nikt się nie zajmuje naszą historią – powiedział młody chłopak. – Kamienice przy Drzymały, Mariańskiej czy Wróblewskiego marnieją. Mówi się, że tam patologia, ale jak ma być inaczej? Domy się rozpadają, walczymy o dach nad głową. Nikt tam nie chce mieszkać. Tylko tacy jak ja, co nie mają wyjścia.

Odszedł, kręcąc głową, wyraźnie nie chcąc mówić nic więcej.

„Właściwie dlaczego nie?” – zastanowiła się Bożena. Okolica, o której chłopak wspomniał, tradycyjnie nazywana była w mieście Trójkątem Bermudzkim. Lokalsi warczeli na tę nazwę, słusznie skądinąd twierdząc, że przecież nikt tam nie zaginął. Krążyły jednak legendy o animozjach między kibicami, rozwiązywanych argumentami siłowymi. Niektórzy nawet twierdzili, że każda bójka to kolejny odcinek swojego serialu. Awantury miały widownię, rozłokowaną w otwartych oknach. Policji do takich incydentów nie wzywano.

Opowieści komunalne mają to do siebie, że nabierają barw z każdą kolejną relacją, jak w głuchym telefonie. I dlatego znakomicie nadają się do materiału miejskiego. Bożena uśmiechnęła się zadowolona. Odepchnęła od siebie na razie myśl o wizycie w szkole Malwiny. Na to przyjdzie czas. Jutro. Choć może powinna dzisiaj? Tak pewnie byłoby lepiej, nie była jednak gotowa. Sekretarka szkolna dzwoniła do niej na razie tylko raz. „Pewnie w dzienniku jest wiadomość, której z premedytacją dziś nie otworzę” – myślała Bożena. „A jutro pójde do szkoły przed pogrzebem. Nieumówiona. Wparuję do sekretariatu i zażadam natychmiastowej rozmowy z dyrektorem. Będę jak Tommy Lee Jones w *Ściganym!*” – zaplanowała z wrednym uśmieszkiem. „A poza tym potrzebuję nowej szminki. I szpilek. Czerwone będą idealne na rozmowę z dyrektorem”.

Zaparkowała niedaleko zabytkowego budynku po straży pożarnej. Lubiła to miejsce. Niemal w samym centrum, schowane jednak trochę z boku, na tyłach głównej ulicy. Zgiełk miasta dochodził tu przytłumiony, pulsujący za zasłoną. Zwykle udawało jej się tu znaleźć miejsce do parkowania, co w centrum miasta wcale nie było oczywiste.

Pokręciła głową, gdy na parkingu zobaczyła czerwone auto z futurystycznymi drzwiami. Dwóch takich w Koszalinie nie było.

– Często się spotykamy ostatnio – powiedziała do siebie szeptem. – Ale wcale mnie to nie cieszy.

Przypomniała sobie słowa Dariusza i ciarki przeszły jej po plecach.

Jeśli naprawdę ktoś otrul, jest mordercą...

– Jestem głupia – zbesztła się półgłosem. – Jaki powód miałby Artur Fabiański, by otruć babkę?

„A jednak ktoś to zrobił” – pomyślała wbrew sobie. „A może tylko mi się wydaje. Może to zmyśliłam. Dziennikarski nos mnie zawiódł i nie ma w tej śmierci żadnej tajemnicy. Ot, po prostu starucha wykorkowała”.

Rozejrzała się, ale nie dostrzegła nigdzie Fabiańskiego. Przeszła przez ulicę, weszła do Saturna, flagowego domu handlowego PRL, kiedyś sprzedającego tanie, bezmarkowe produkty. Teraz zostały jedynie niskogatunkowe, bo ceny – nie wiedzieć czemu – poszybowały. Bożena jednak wciąż lubiła tam buszować, szczególnie w dziale z domowymi tekstyliami. Wyławiała ciekawostki, zwykle niewarte swojej ceny, za to cieszące jej sardoniczne poczucie estetyki. Serwetkę maszynowo haftowaną w wielkie róże. Nigdy nie położyła jej na stole. Kuchenne ścierki w efektowną czerwoną kratę, które nie wchłaniały wody. Puchaty koc z wizerunkiem tygrysa. Aksamitne kapcie z haftowaną stokrotką.

Wychodząc z takimi skarbami, sama zadawała sobie pytanie – co w ten sposób w sobie karmię? Syce potrzebę rodzinnego ciepła? Poluję na coś?

Nie chciała odpowiedzi.

Czasem wchodziła do sąsiedniego działu kosmetyków, rzadko jednak znajdowała coś dla siebie. Zdażyło jej się kupić dezodorant, kiedyś krem do twarzy. Podziwiała neonowe kredki do oczu, innym razem pomadkę w awangardowym, niebieskim kolorze. Na oglądaniu jednak się kończyło – w kosmetykach nie lubiła eksperymentów.

Przeszła jeszcze przez pozostałe stoiska, nie znalazła nic dla siebie, nawet w podziemiach, gdzie gospodarstwo domowe zapachem chińskiego plastiku prowokowało do kichania. Stamtąd czasami wychodziła z paterą na rzeźbionej nóżce, przezroczystym półmiskiem do serwowania ryb, plastikową miską na gumowej podstawie albo innym całkowicie zbędnym przedmiotem. Nie tym razem.

Wyszła na ulicę Zwycięstwa i przeszła kawałek w stronę dworca. Wstąpiła do paru sklepów, w końcu w Centrum Cegielskiego kupiła bransoletkę z niewielkich ośmiokątnych kamyków. „Będzie dla Malwiny” – pomyślała. „A właściwie to może być dla mnie” – doszła do wniosku. „Zasługuję na jakiś zbytek. Jestem tego warta”. Zaśmiała się półgłosem. Przechodzący mężczyzna spojrzął na nią z dezaprobatą. Miała chęć pokazać mu język. W obuwniczym kupiła nowe szpilki. Czerwone lakierki, poza kolorem nie miały w sobie nic szczególnego.

Na wystawie sklepu dla dzieci zobaczyła lalkę. Wielką, na oko osiemdziesięciocentymetrową piękność z długimi blond lokami i niebieskimi oczami. Uosobienie kiczu w ślicznej brokatowej sukience.

Zatrzymała się. Patrzyła na lalkę i myślała o swojej malutkiej córeczce. Ślicznej dziewczynce, której narodziny wyrzuciły świat do góry nogami. Od tego dnia życie miało być usłane płatkami róż i wymoszczone miękkim dywanem.

I choć niektóre dni, a zwłaszcza noce, przeplakane i przekrzyczane przez małą, ząbkowanie i bunt dwulatka lekko zaburzyły idealną strefę macierzyństwa, wciąż myślała o narodzinach córki jak o cudzie. Kraina szczęśliwości rozsypała się w momencie, gdy Gerard spędził upojne godziny w ramionach czarującej Otylii. Nie raz. Regularnie spędzał.

A właściwie rozsyłała się wcześniej. Wtedy, kiedy Gerarda nie było przy niej, a być powinien. Otylia pojawiła się później.

Bożena odsunęła od siebie myśl o mężu i nie zastanawiając się, weszła do sklepu. Bez mrugnięcia okiem wyasygnowała niemałą sumę i wyszła z wielkim pudłem zawierającym lalkę.

Wracając do samochodu szeroko uśmiechnęła. Nawet plucha jej w tym nie przeszkadzała.

Wracając ulicą Zwycięstwa, przeszła obok stylizowanego na zabytkowy budynku vis-à-vis Połtawskiej. Niedawno wybudowany, uchodził za jeden z bardziej luksusowych w mieście. Drzwi wejściowe otworzyły się gwałtownie, niemal uderzając ją w bark. Wychodzący w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Zanim wyrzuciła z siebie przekleństwo, Bożena skonstatowała, że to wnuk Fabiańskiej, i do tego nie sam. Czule żegnał się z kimś, kto pozostał ukryty w cieniu klatki schodowej. Uśmiechnęła się. Dokładnie tego można się było spodziewać po Arturze Fabiańskim. Zero zobowiązań, za to mnóstwo przyjemności. Kochanka? Jasne. Pewnie niejedna. Mógłby jednak uważać trochę bardziej.

Bożena otworzyła usta, gotowa do kąśliwego komentarza. Planowała wybitnie ciernistą odzywkę, Fabiański jednak stał w drzwiach, wciąż odwrócony tyłem do ulicy.

„Pomyślałabym, że to młodość, ale przecież ten gnojek jest w moim wieku. A może i starszy”.

Fabiański stał w drzwiach i namiętnie się całował. Bożena postanowiła odpuścić. „Co się będę wtrącać między paczkę a folię stretchową” – pomyślała. Zrobiła kolejny krok, zatrzymała się jednak zdziwiona. Odgłos mlaszczącego pocałunku zakończył miękki męski głos:

– Do zobaczenia, dziubaku.

– Do zobaczenia – odpowiedział Fabiański i w tym momencie Bożena skojarzyła, czyj głos usłyszała w Sarbinowie.

Rozdział 12

Bożena kiepsko spała ostatniej nocy, dlatego wyprawivszy Malwinę do szkoły, położyła się jeszcze na chwilę. Bez skrupułów wyłączyła budzik, dzwonek i wibracje w telefonie i podniosła powieki dopiero za dziesięć dziesiąta.

– Boże, jaki świat jest piękny – powiedziała do siebie. Ton jej głosu jednoznacznie określał, co naprawdę ma na myśli. „Piękno” w rozumieniu Bożeny nie miało nic wspólnego ze słownikową definicją. U niej zawierało ból głowy, kiepską pogodę, parszywego szefa, nadmiar pracy i...

Zerknęła na telefon, całkowicie niepotrzebnie. Zobaczyła dwa nieodebrane połączenia ze szkoły Malwiny.

– Kurwa – wyszeptwała. To właśnie była najbardziej charakterystyczna część „piękności” jej świata.

Wypiła duszkiem dwie kawy czarne jak dusza diabła i ze wstrętem pomyślała o śniadaniu. To miał być długi dzień. Szkoła Malwiny, pogrzeb dozorczyń, spotkanie u Mietka i Baški. Po drodze jeszcze praca. „Niezły maraton” – uświadomiła sobie.

Po pierwsze – szkoła. Miała być w ofensywie, chyba nie do końca jej się udało. Oddzwoniła zatem, stacjonarny szkolny numer przełączał się kilka razy. W końcu połączono ją z bezpośrednią sekretarką dyrektora. „Jak w państwowym banku w latach osiemdziesiątych” – zauważyła kąśliwie.

– Dzwoniłam, wczoraj i dzisiaj, bowiem pan dyrektor prosi panią o pilne spotkanie. Najlepiej – sekretarka zawiesiła głos, jakby sprawdzała godzinę – za kwadrans.

Bożena parsknęła śmiechem. Oczami wyobraźni zobaczyła minę sekretarki, pani w wieku zdecydowanie emerytalnym, która z pewnością oczekiwała, że każdy dzwoniący rodzic będzie prezentował mentalność uczniaka, stojącego na baczność przed groźną szkolną woźną, o sekretarce nie wspominając.

– Myślę, że śmiech nie jest adekwatną reakcją – powiedziała wyraźnie urażona kobieta. – Od rodzica ucznia problematycznego oczekujemy współpracy. Są sytuacje, które należy traktować poważnie, powinniśmy być wzorem dla naszych dzieci, szczególnie gdy...

– Nie oczekuję reprimendy od sekretarki – przerwała jej Bożena. – Nie interesuje mnie też pani zdanie. Proszę mnie przełączyć do dyrektora, skoro chciał ze mną rozmawiać. Jako rodzic powierzam szkole opiekę nad moim dzieckiem i to ja od was oczekuję, nie odwrotnie.

Teraz sekretarka prychnęła. Gdy się ponownie odezwała, w jej głosie była Arktyka. Albo orbita Plutona. Podobno tam panuje minus dwieście czterdzieści stopni Celsjusza.

– Pan dyrektor oczekuje pani w swoim gabinecie – zakomunikowała i się rozłączyła.

– Szlag – powiedziała Bożena.

Spojrzała na swoje włosy, nieświeżą piżamę, pomyślała też o tym, że jeszcze nie umyła zębów. Kręciło jej się trochę w głowie, ale po piętnastu minutach zamykała mieszkanie. Wprawdzie miała poczucie, że w torebce brakuje czegoś ważnego, a szpilki nie do końca pasowały kolorem do spódnicy, powinna wybrać te ciemniejsze, granatowe, jednak makijaż prezentował się nienagannie. Założyła też promienny uśmiech, a do szkoły weszła spóźniona o zaledwie cztery minuty.

Sekretarka nie odpowiedziała „dzień dobry”, kiwnęła tylko głową na powitanie.

– Pan dyrektor ma przeznaczone pół godziny na spotkanie z panią – powiedziała. – Teraz zostały mu – zerknęła na zegarek – dwadzieścia cztery minuty.

– Dwadzieścia sześć – sprostowała Bożena bez cienia uśmiechu. – I będziemy rozmawiać tak długo, jak będę tego potrzebowała.

Nie czekając na sekretarkę, otworzyła drzwi do gabinetu, w którym była już kilkakrotnie. Sekretarka zacisnęła wargi.

– Dzień dobry – powitał Bożenę dyrektor.

Kiwnęła głową, nie odpowiadając. Spodziewała się ciężko wiszącej ciszy, niezręcznego spoglądania na boki, skubania skórki u paznokcia. Dyrektor tymczasem popatrzył jej prosto w oczy i powiedział:

– Doskonale pani wie, dlaczego ją tu zaprosiłem, oszczędzę więc długich wstępów.

Bożena pomyślała, że wołałaby ciszę. I poczuła chęć wyskubania skórek przy paznokciu.

– Wszystko wskazuje na to, że Malwina miała wiele wspólnego z dystrybucją marihuany na terenie naszej placówki.

Bożena wzięła głęboki oddech.

– Rozumiem, że nie ma pan dowodów, zatem...

– Nie potrzebuję ich – przerwał jej dyrektor. – Na razie. A nawet wołałabym ich nie mieć. Bowiemy gdy zostaną upublicznione... – Dyrektor położył lewą rękę na zielonej teczce, leżącej na skraju biurka. Nie wyglądała na pełną, wystawało z niej tylko kilka kartek. Bożena poczuła, że nie chce znać ich zawartości. Jednocześnie zaś, że powinna koniecznie tę zawartość poznać. – Malwina skończyła trzynaście lat. Jej odpowiedzialność prawna zmieniła się wraz z dniem ostatnich urodzin.

– Sam pan powiedział, że nie ma dowodów...

– Mamy zaledwie oświadczenia kilku uczniów. – Przy „zaledwie” dyrektor wykonał w powietrzu znak cudzysłowu.

– Zaledwie, jak pan powiedział. To tylko słowa, nie dowody.

– Bezsprzecznie. Dokładnie dwadzieścia dwa słowne oświadczenia naszych uczniów. Niektórzy mają też zdjęcia. Być może, gdy zaczniemy badać sprawę, znajdą się także nagrania.

Teraz zapadła ta cisza, której Bożena spodziewała się na początku spotkania.

– Co pan proponuje?

– Zabierze pani Malwinę ze szkoły. Względy zdrowotne. Może ośrodek dla uzależnionych? Od września przyjmujemy ją ponownie. Do siódmej klasy.

– Będzie powtarzać rok...

Dyrektor złożył ręce w koszyczek.

„Jak przeorysza w klasztorze” – pomyślała Bożena.

– Nie mam wyjścia, prawda? – zapytała cicho.

Dyrektor tym razem rozłożył szeroko ręce.

– Jaką mam gwarancję, że nie będzie pan grzebał w tej sprawie?

Bożena poczuła, jak strużka potu cieknie jej po plecach. „Cholera, założyłam jedwabną bluzkę, będzie plama!” – pomyślała odruchowo.

– Teraz ma pani moje słowo. – Dyrektor otworzył szufladę w biurku i szerokim gestem włożył tam teczkę. – Ostrzegam jednak, że w przyszłym roku nie może być żadnych, absolutnie żadnych podejrzeń wobec pani córki. Temat zniknie, gdy jej tu nie będzie. Ale gdy wróci do szkoły, będzie pod obserwacją.

Bożena zmeła przekleństwo.

– Tutaj jest adres ośrodka, który będzie pomocny, jeśli uznacie taką pomoc za potrzebną. Sugeruję skontaktować się z ich wsparciem. Znają tam procedury, wiedzą, jakie dokumenty są potrzebne, pokierują was.

– A jeśli nie? – Bożena nie chciała zadawać tego pytania. Nie chciała też usłyszeć odpowiedzi. Słowa same wyskoczyły jej z ust.

– Zawiesimy Malwinę w prawach ucznia. Jej sprawa trafi na policję. Najprawdopodobniej zostanie skierowana do ośrodka poprawczego lub leczniczego, jeśli udowodnione zostanie stosowanie przez Malwinę

środków uzależniających. A tak by się stało. Pani córka trafi do środowiska, w którym resocjalizacja jest tylko hasłem. Mam mówić dalej?

Bożena wstała. Zacisnęła pięści, drżała jej broda. Szukała odpowiednich słów, ale ponieważ ich nie znalazła – sięgnęła po wizytówkę ośrodka.

– Odbieram dzisiaj córkę wcześniej. – Spojrzała na zegarek. – Około dwunastej. Jedziemy na pogrzeb.

– Przykro mi – odparł dyrektor. Nie brzmiał przekonująco. – W niczym to nie zmienia naszych ustaleń. Nie powiedziała „do widzenia”. Ani dyrektorowi, ani sekretarce.

Wracając do domu, uświadomiła sobie, że szpilki stukają koślawo. „Chyba jeden flek się oblużował” – pomyślała. Chwilę potem obcas przechylił się i Bożena poczuła, że jej kostka wykręca się boleśnie.

– Szlag! – powiedziała głośno. Przechodząca obok kobieta spojrzała na nią z wyrzutem. – Kurwa! – dodała dziennikarka, patrząc na nią wyzywająco.

Zdjęła buty i szła dalej boso. Rajstopy podarły się po pierwszych krokach, a Bożena rozkoszowała się poczuciem brudu na stopach. Kurzu, zbrukania, bólu. Lepiej było myśleć o otarciach na stopach niż... Niż o tamtym.

Mruczała do siebie, wzbudzając zainteresowanie. Elegancka kobieta, z czerwoną szminką na ustach, w wąskiej krótkiej spódnicy, bosa, z podartymi rajstopami, w których szerokie oczka sięgały kolan, szła osiedlowym chodnikiem i wyrzucała z siebie potok słów, z których większość stanowiły przekleństwa.

W Koszalinie ta kobieta była znana wielu. Tym bardziej patrzono z ciekawością. Dziennikarka chodziła pijana po mieście? A to gratka.

Bożena weszła do domu, rzuciła torebkę i wypila duszkiem dwie szklanki wody. Nie pomogły, sięgnęła więc po persen. Potrzebowała wyciszenia. O pierwszej miała być na cmentarzu, na pogrzebie dozorczyńni.

– Świat jest naprawdę, kuźwa, piękny – powiedziała do swojego odbicia w lustrze.

Odłożyła torebkę na stolik, jakby odstawiała porcelanową filiżankę.

– Chociaż z czymś będę obchodzić się delikatnie – powiedziała do siebie.

Weszła do kuchni, włączyła ekspres i wystawiła z szafki fajansową filiżankę. Zanim woda się zagotowała, naczynie leżało roztrzaskane na podłodze. Potem kolejne. I jeszcze jedną filiżankę rozbiła o ścianę obok okna. Chwyliła następną, przypomniała sobie jednak, że to był drogi prezent od Gerarda. „Choć właściwie? Jakie znaczenie ma dla mnie były mąż?” – pomyślała.

A jednak powstrzymała się przed rozbiciem tego konkretnego naczynia. Nalała kawy i upiła łyk. Przy mykając oczy, wyszeptwała:

– A teraz, stara prukwo, zostawisz na boku parszywego męża i córkę, której oczekowań nie spełniasz ani na jotę. Jesteś beznadziejną matką i nie dopuść, byś była równie beznadziejnym człowiekiem. Kobieta. Sąsiadką.

Wypiła duszkiem espresso i ostrożnie odstawiała filiżankę do komory zlewu.

Wzięła szybki prysznic, przebrała się.

– To było głupie – powiedziała półgłosem, oglądając smugi na policzkach. – Przed wejściem pod prysznic należy zmyć makijaż.

Umalowała się starannie jeszcze raz.

– Teraz wyglądam jak człowiek. I świat naprawdę jest piękny.

Rozdział 13

Uroczystość była bardziej niż skromna. Za urną szli ksiądz oraz syn i córka z rodzinami. Poza tym Bożena, aptekarka i sąsiadka, która poprosiła o podwózkę. No i Malwina.

Młoda nie przyznałaby się wprost, ale przecież zmarła była dla niej jak druga matka. „A może pierwsza” – myślała Bożena sardonicznie. „Może i ważniejsza ode mnie, przynajmniej czasami”. Odłożyła więc na bok myślenie o dyrektorze, ocenach, maryśce i innych życiowych nieprzyjemnościach, skupiając się tylko na tej jednej.

Pogrzeb.

Wydarzenie, które w każdym przypadku sprowadza się do tego samego. Jest początkiem pożegnania dla tych, którzy zostają, czekając na swoją kolej. Ta chwila musi wystarczyć na to, by pozwolić zamknąć drzwi – do pokoju spotkań, rozmów, kłótni, wspólnego oglądania seriali i smażenia naleśników. Jest także kluczem, który otwiera tamy łez, żalu, pretensji do siebie – o niewykorzystany czas, niewypowiedziane słowa i niewykonane gesty. „Każdy kiedyś będzie bohaterem takiej imprezy” – pomyślała Bożena, idąc w kondukcje.

Nabożeństwo ozdabiał tylko dźwięk dzwonek mszalnych, nawołujących wiernych do klęknięcia. Żadnego requiem, chóralnych śpiewów, wielkiego brzmienia. Zaledwie kilka drżących głosów odpowiadających na wezwanie kapłana. Kondukt Maleny, który Bożena wciąż miała w pamięci, rozciągał się na pół kilometra. Rodzina już stała nad otwartym grobem, gdy ostatni żałobnicy dopiero co ruszyli spod kaplicy. Tam stroje były wyszukane, z najnowszych kolekcji, uzupełnione kapeluszami z woalkami. Tutaj za karawanem szła ściśnięta grupka pochlipujących postaci, ubranych w raczej ciemne, choć niekoniecznie czarne płaszcze. Ich głowy były chronione przed jesiennym chłodem wełnianymi czapkami.

Ten kondukt szedł znacznie dalej, w nową część cmentarza, wciąż łysą, pozbawioną roślinności. Bożena wspierała jedną z przywiezionych sąsiadek. Starsza pani nie robiła już nawet sama zakupów, dla niej ostatnie pożegnanie zaprzyjaźnionej dozorczyńni było wyprawą godną Roberta Korzeniowskiego. Druga z przywiezionych pań radziła sobie tylko trochę lepiej – ta wsparła się na Malwinie, która bez słowa przyjęła rolę podpory. „Bo to jest dobre dziecko – pomyślała Bożena – tylko pogubione”.

Ceremonia nad grobem również nie przypominała tej z września. Ksiądz wypowiedział odpowiednie formuły, nikt nie sformułował nawet kilku zdań pożegnania. Bożenie przez chwilę zaświtało, by zrobić to za dzieci dozorczyńni. Po prostu odezwać się, wspomnieć dobrym słowem, zapewnić o tęsknocie, podkreślić brak...

Nie zdecydowała się jednak. Była przecież tylko sąsiadką.

Nawet się nie zastanawiała, czy będzie jakaś stypa. W końcu to kosztuje, a dzieci nie przyjechały po to, by wydawać. Wyraźnie zamierzały zgarnąć najwięcej, jak się da – i wyjechać z Koszalina. Do swoich spraw, ważniejszych zapewne niż pamięć o zmarłej matce.

„Ja też nie będę o swojej pamiętała?” – zastanowiła się Bożena. „Może i będę. Pogrzeb zrobię lepszy, ale czy zdołam się z nią pogodzić? Innym razem o tym pomyślę... A czy Malwina wypowie nad moją trumną choć kilka słów?” Zerknęła z zaciekawieniem na córkę. Młoda zabawiła prowadzoną sąsiadkę rozmową. Nie wyglądała teraz na zbuntowaną trzynastolatkę. Raczej na młodą kobietę pochyloną nad starością. Byłoby z tego ładne zdjęcie.

Akurat doszły w pobliże wyjścia z cmentarza.

– Ja muszę usiąść – powiedziała prowadzona przez Bożenę kobieta. – Za daleko dla mnie.

- Odpocznijmy - zgodziła się dziennikarka, siadając na ławce. Gdy po chwili zbliżyły się Malwina z drugą sąsiadką, wstała jednak i powiedziała: - Posiedźcie chwilę, pójdę jeszcze odwiedzić inny grób.

Weszła do kiosku, kupiła dwa znicze i przeszła przez cmentarz wojenny, gdzie jeszcze kilka miesięcy wcześniej stał przeniesiony z centrum miasta pomnik Zwycięskiej Armii Radzieckiej. Historyczna sprawa, pierwszy powojenny postument z kamienia w Koszalinie, postawiony dokładnie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym. W marcu dwa tysiące dwudziestego drugiego, w środku nocy, ktoś wjechał na teren cmentarza ciężkim sprzętem i zwałił zabytkową, ogromną postać żołnierza radzieckiego w pełnym rynsztunku z przytuloną do niego dziewczynką trzymającą w ręku gołąbka - symbol pokoju. I to nie przypadek, że stało się to akurat w momencie agresji rosyjskiej na Ukrainę. Sam sprawca tak się tłumaczył.

A jednak Bożenie żal było kamienniej postaci. „To przecież kawał naszej historii” - myślała. „Powinniśmy o tym pamiętać, by nie pozwolić jej się powtarzać”.

Dotarła do grobu Maleny Fabiańskiej. Uprzątnięto już stos pogrzebowych kwiatów. Na marmurowej płycie stało jednak kilka płonących zniczy i leżał świeży wieniec ze świerczyny.

„Czy na grób dozorczyńni też ktoś przyniesie od czasu do czasu lampkę? Czy będę to tylko ja?” - zastanawiała się Bożena, stojąc nad mogiłą.

- Właściwie po co tu przyszedłam? - zadała sobie półgłosem pytanie. - Ledwie znalazłam starszą panią. Staruchę, tak o niej mówili ci, którzy mieli z nią częściej do czynienia. Była złośliwa, spostrzegawcza i wredna, choć mnie nie zalazła za skórę. Po co tu stoję? Ciekawe, co zrobiłaby Malena Fabiańska, wiedząc, że jej wnuk, jedyny dziedzic nazwiska, jest gejem. Swoją drogą, Artur nieźle się z tym krył. Aż do tej pory nie pojawił się nawet drobny przeciek. Uchodził po prostu za birbanta, bawidamka, żigolaka niezdolnego do dojrzałego związku z kobietą. Faceci mogą mieć dzieci nawet i po pięćdziesiątce, Julio Iglesias chyba był rekordzistą. Ile on wtedy miał? Siedemdziesiąt?

Bożena się nie powstrzymała i zerknęła do sieci. Dziewięćdziesiąt! Niezły ogier. Więc i Fabiańskiemu wybaczano. Z roku na rok był oczywiście coraz starszy, ale wciąż dość młody, by nie przekreślać możliwości prokreacji. Ród zatem zdawał się bezpieczny, choć zapewne... Czy babka naciskała na Artura Fabiańskiego? Czy gdyby знаła jego orientację, cokolwiek by to zmieniło w życiu rodziny?

Bożena westchnęła i weszła na alejkę. Skierowała się w głąb, tam gdzie malutkie groby prowokowały do niebezpiecznych pytań o sprawiedliwość świata. Przysiadła na ławce, na której kiedyś spędzała długie godziny. Na pustej płycie postawiła jeden znicz.

- Nie poznałyśmy się, córeczko - wyszeptala. - A jednak wciąż cię kocham.

Przymknęła oczy i skupiła się na panującej ciszy. Zielona przestrzeń cmentarza latem żyła głosami ptaków, teraz ledwie dochodził tu szum ulicy. „Cisza” - pomyślała Bożena. „To nas czeka po drugiej stronie?”

Wolnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia z cmentarza, rozmyślając o zaplanowanym wieczorze. Nad grobem Fabiańskiej ktoś stał. Rozpoznała Agnieszkę, siostrę Stefana. Stała pod rękę z wysokim mężczyzną, zapewne swoim mężem. Obejrzała się, do grobu podszedł ktoś jeszcze. Władek. „Brakuje tylko Stefana i rodzeństwo w komplecie” - pomyślała Bożena.

Zeszła z głównej alejki i od tyłu podeszła jak najbliższej. Usiadła na ławce przy jednym z grobów.

- Należy mi się. - Usłyszała głos Agnieszki.

- Każdemu z nas się należy. - To musiał być Władek.

- Ja mam dwójkę dzieci. - Głos kobiety nie pozostawiał złudzeń. Była wściekła. A może zacięta?

- To nie są twoje dzieci. - Ironia Władka musiała boleć jak szpikulec do różna wbijany w ucho. - Matka ich nie uznawała.

- To są nasze dzieci - odpowiedział drugi męski głos. - Kochamy je. Wychowujemy. I mają nazwisko Agnieszki.

- No właśnie. Przyznaj, nazwałaś je tak, żeby dziedziczyły, co?

- Nazwałam je tak, bo mój pierwszy mąż jest skurwielem, od którego uciekłam – wyszczała Agnieszka.
- Nie był zainteresowany opieką nad adoptowanymi dziećmi.

- Ale nazwiska drugiego męża nie przyjął. Z jakiegoś powodu. Ciekawe jakiego – kpił Władysław.

- Ani ja, ani dzieci nie jesteśmy chorągiewkami. Tak się nazywamy i tak już pozostanie. Postanowiłam to, rozwodząc się, i nie ma powodu, bym zmieniła zdanie.

- Jasne, jasne.

- A co ci tak niby zależy? Do grobu zabierzesz? Rodziny nie masz, nigdy się nawet nie ożeniłeś, niedużaczku. Swoją działkę dostaniesz, więcej ci nie trzeba.

- Nie tobie oceniać, czego mi trzeba – odpowiedział Władek. – Należy mi się jedna trzecia.

- W życiu – odparła Agnieszka.

- Należy mi się jedna trzecia – powtórzył Władek. – Tak samo jak tobie. Chociaż kobiety powinny dostawać mniej.

- Zawsze byłeś gnojkiem. A należy mi się więcej, bo dzięki mnie zapewne nazwisko Fabiański nie wyginie. Stefan nazwiska nie przekaże, chyba że Artur się w końcu postara, ty w ogóle skrewiłeś. Nic nie powinienesz dostać.

- Nie tobie o tym decydować – odszczeknął Władek. – Poza tym są dzieci córek Stefana.

- Które nie noszą naszego nazwiska. – Agnieszka nie kryła irytacji.

- Chodźmy stąd – zarządził mąż Agnieszki.

Bożena poczekała, aż znikną za zakrętem. Dopiero wtedy wyszła w alejkę i ruszyła w stronę kaplicy.

- Życie – prychnęła. – Jest, nie ma. A co po nas zostanie? Kłótnie. Póki moje trwa, wykorzystam je. Uczczę sąsiadkę dobrą whisky. Taką właśnie kupię na dzisiejszy wieczór u Baški i Mietka.

Odwozła panie na osiedle, Malwina zadeklarowała, że obu pomoże dojść do ich mieszkań. Bożena pojechała do pracy, zastanawiając się, czy jej córka rzeczywiście spędzi popołudnie tak, jak obiecała. W domu. Nad lekcjami, z ewentualną przerwą na telewizję. „Zadzwoń do niej za godzinę” – obiecała sobie. „I powinnam zainstalować śledzacza w jej komórce. Na wszelki wypadek. Sprawdzę dziś te aplikacje, niektórzy sobie chwalą...”

Gdy jednak wpadła do radia, na nic nie miała czasu. Nie sprawdziła aplikacji, nie zadzwoniła też do córki – która zresztą wcale tego nie oczekiwała. Młoda świetnie się bawiła ze znajomymi, kontrola matki do niczego nie była jej potrzebna.

Niemniej o siedemnastej trzydzieści Malwina była już w domu. Na wszelki wypadek. Wprawdzie nie spodziewała się Bożeny o tej godzinie, zwykle praca zatrzymywała matkę do późna i dziewczyna nauczyła się nie traktować poważnie obietnic o wcześniejszym powrocie, jednak to nie był zwyczajny dzień. Pogrzeb, ostatnia granda o dilerkę, no i to, że ojciec wyjeżdżał... Młoda czuła, że zebrały się nad jej głową chmury, i nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak je rozgonić. Wróciła zatem do domu, podgrzała w mikrofali obiad i rozłożyła zeszyty. Niech matka widzi to, co chce zobaczyć.

Bożena tymczasem rzeczywiście wróciła do domu wcześniej niż zwykle. Już o osiemnastej otworzyła drzwi wejściowe do mieszkania. Z zadowoleniem odnotowała zapach obiadu i naczyń w zlewie. Wreszcie dziewczyna zjadła coś ciepłego!

Nie omieszkała oczywiście wypomnieć córce, że powinna po sobie pozmywać. Zerknęła też na biurko młodej – zawalone podręcznikami i zeszytami, sprawiało należyte wrażenie.

Zaproponowała zatem Malwinie wspólny deser – cynamonowe zawijasy z pobliskiej cukierni. Młoda za nimi przepadała.

Kiedyś.

- Mamo? – stwierdziła raczej, niż zapytała. Ze wstrętem. – To gluten.

- No i?

- Nie jem glutenu od pół roku.

- A naleśniki? – zapytała Bożena z najniewinniejszą miną, na jaką potrafiła się zdobyć.
- To wyjątek. – Młoda się skrzywiła.
- To zrobmy dziś wyjątek. Dziś jest...
- Szczególny dzień – odpowiedziała Malwina.
- Następnym razem kupię makaroniki.

Młoda usiadła za stołem i pomyślała, że choć rzeczywiście ze znajomymi bawiła się dobrze, to jednak jest jej smutno. Naprawdę lubiła sąsiadkę.

Matka z córką zjadły razem ciastka i chociaż nic nie wyszło z planów Bożeny, by przy deserze prowadzić miłą konwersację z małodletnią, i tak było... sympatycznie. Choć milcząco. Każdy temat, który Bożena chciała zacząć, w jej myślach szybko meandrował w niedobłą stronę – wyrzutów i napomnień. „A to nie jest dobry sposób na rozmowę z córką” – myślała. „Poza tym powinnam zadzwonić do Gerarda. Potem nie będę mogła mieć pretensji, że nie wie, co się dzieje u jego dziecka. Choć jest wkurzające, że od czasu naszej ostatniej rozmowy ani razu do mnie nie zadzwonił. Nie zatroszczył się o córkę, nie dopytuje. Zawsze był dupkiem”.

Bożena sprzątnęła i postanowiła nie zwlekać. Planowała dobrze się dzisiaj zabawić, pomimo pogrzebu i smutku, jaki odczuwała. A może właśnie ze względu na niego. Starannie wybrała kieckę – niezbyt krótką, żeby nie drażnić Baśki, która była uosobieniem ciepła i tradycyjnie rozumianej, rubensowskiej kobiecości, ale też niezbyt wiele przykrywającą i lekko brokatową. Ot, wygodny, choć niewielki kawał szmatki zmarszczonej z boku, która układała się świetnie, a wyglądem przypominała podomkę. Do tego, oczywiście, szpilki, czerwone, choć nie miało to przecież większego znaczenia. I tak w domu przyjaciół ze zdejmie.

Wtedy jednak zaświeci perfekcyjnie zrobionym pedikiurem. Dlatego nasunęła na nogi najcieńsze rajstopy, jakie znalazła w szufladzie.

Wyszła z domu trochę po dziewiętnastej, zahaczyła po drodze o monopolicy, w którym nabyła polecaną przez nabzdyczonego sprzedawcę whisky. Było jej obojętne, jak opisywał trunek. Dymny? Dojrzewający? Single malt? Irlandzkie złoto? Coś tam jeszcze? Co za różnica. Zamierzała go po prostu wypić trochę, a Mietkowi wlać jak najwięcej.

Nie siliła się na żadne sałatki ani inne dobra żywieniowe. Było oczywiste, że Baśka przygotuje lepsze. I tak będzie wszystkiego za dużo.

Rozpoczęli spokojną kolację, na której ziściły się kulinarne przewidywania Bożeny. Sałatka warzywna w ilości wystarczającej dla hordy głodnych nastolatków, pozostałych dań też by nie zbrakło. Jak na gust Bożeny Baśka zaserwowała zbyt szeroki wybór.

- Nie sposób wszystkiego spróbować – komplementowała gospodynię.

- Nie mam tego dobra z niczego. Całe to ukochane ciało istnieje, bo kocham gotować. I jeść – powiedziała Baśka, śmiejąc się i chwytając za boczki.

Bożena nakładała sobie powściągliwie, jeszcze ostrożniej nalewając do dwóch kieliszków. Właściwie szklanek – swojej i Barbary. Samo dno przykrywała odrobiną wykwintnej whisky i dopełniała colą. Z każdym kolejnym drinkiem z coraz większą satysfakcją wyobrażała sobie minę sprzedawcy. „Destylowana ze słodu jęczmiennego, w miedzianych kotłach, leżakowana w jednorazowo napełnianych beczkach, bogata i mięsista w aromacie”. To ostatnie sformułowanie już w sklepie zirytowało Bożenę. Teraz wspominała jeszcze ton głosu sprzedawcy, gdy opowiadał o słodczych daktyli, posmaku fig, cierpkości gorzkiej czekolady. Co tam jeszcze było? Charakter rodzynek, dodatek innych suszonych owoców?

„Co za bzdury” – pomyślała wtedy i myślała dalej. Z satysfakcją mieszała to „ciężkie, pełne charakteru złoto w butelce” ze zwykłą colą. Dla niej każda whisky smakowała tak samo. Pikantny trunek wymagający gazowanego dodatku, i tyle. Niemniej na Baśce i sobie oszczędzała, a gospodarzowi lała hojnie. Jemu nie zanieczyszczała wykwintnego napitku żadnym dodatkiem i Mietek potrafił to docenić. Albo tak twierdził, bo wcześniej uważnie przestudiował etykietę. Mruczał przy tym coś do siebie, niby niezrozumiale, Boże-

nie jednak wystarczył ton jego głosu. Był ukontentowany. Wiedział, ile butelka kosztowała, pił więc z zadowoleniem.

Rozmawiali o przyszłorocznych wyborach. Na szczęście poglądy mieli dość podobne, nie powodowały kłótni. Krótka dyskusja napełniła ich jednak odrobiną melancholii.

– Przestańmy – zdecydowała w końcu Barbara. – My z Bożeną idziemy na moment do kuchni, ty zajmij się muzyką. Tylko jakąś dobrą wybierz. Żadne tam współczesne szarpidruty. Coś miłego dla ucha ma być.

– Szarpidruty? – Już w kuchni Bożena pozwoliła sobie wyrazić dezaprobatę. – Mój ojciec tak mówił, i to kiedy miałam trzynaście lat!

– Mój też. Dlatego zapamiętałam. Poza tym jestem wstawiona.

– Chyba kpisz. – Bożena spojrzała na nią z potępieniem. – Wypiłaś wprawdzie pięć szklanek, ale niemal czystej coli.

– Dlatego tak mi się chce sikać.

Bożena wywróciła oczami.

– Powinnyśmy jednak przejść do sedna.

– Mieczysław nie jest jeszcze dostatecznie nawalony.

– Nalewam mu trzy razy więcej! Cztery razy! – przekonywała Bożena.

– Ma mocną głowę. Jeszcze ze cztery drinki. Dopiero gdy zacznie opowiadać o tym, jak w Grecji kupował ouzo u lokalnego wytwórcy, możesz uznać, że jest dość wstawiony.

– A kupował?

– Próbował. – Baśka się uśmiechnęła. – Ale był tak zestrachany, że gdy tylko usłyszał pukanie, podskoczył, zostawił kasę i uciekł.

– Ale dlaczego? – Bożena zmarszczyła brwi.

– Bo wydawało mu się, że to nielegalne.

– Nie o to pytam. Dlaczego chcesz go upić?

– Mietek na trzeźwo nic nie powie. – Barbara wywróciła oczami. – A ja chcę się dowiedzieć, o co chodzi. Dwa testamenty? Drobnny druk? Co to za bałagan? Bez ciebie się nie dowiem. No więc trzeba go upić.

Bożena pokiwała głową i przygryzła wargę.

– A było?

– Co było? – zdziwiła się Barbara.

– Czy kupowanie ouzo było nielegalne?

– A skąd! – Teraz Baśka wzruszyła ramionami. – Chyba nie. Nic na to nie wskazywało. Ale ponieważ zamierzał kupić tysiąc butelek, zostawił tam sporo kasy.

– Tysiąc butelek? Chyba naprawdę się upiłam.

– Albo beczkę. Nie wiem. Dużo. Uznał, że zabierzemy do Polski pół bagażnika lokalnego ouzo, którym zamierzał szpanować przed klientami.

– A wolno tyle przywieźć?

– Na terenie Unii wolno – odpowiedziała spokojnie Baśka. – Upijaj Mietka szybciej, bo nie zdążymy do północy.

Z salonu dobiegło *I Will Always Love You*, Baśka klasnęła.

– Mój mąż wie, co lubię.

– Whitney Houston? – Bożena z niedowierzaniem spojrzała na przyjaciółkę.

Barbara uśmiechnęła się z satysfakcją. Bożena już wchodziła do salonu.

– Ty chyba kpisz. Będziemy słuchali naćpanej królowej serc rhythm and bluesa?

– Moja żona ją uwielbia – z godnością zripostował Mieczysław.

– Nie będziemy rozmawiać o tandetnych gustach moich szkolnych koleżanek.
– Moja żona ma wyrafinowany gust – kontynuował z uporem Mietek.
– I zawsze będzie cię kochać, jak Whitney. A nie masz czegoś bardziej energetycznego?
Mietek rozłożył ręce w geście: czego zatem oczekujesz?
– Poproszę o Daft Punk.
– A czy ja to mam? – Gospodarz zdziwił się odrobinę.
– Ja mam. – Bożena znów wywróciła oczami. – W telefonie. Wiedziałam, że z muzyką będzie u was tak sobie, więc przygotowałam adekwatną playlistę. Chyba musimy się napić z tej okazji.
– Dziś wieczorem pijemy z każdej okazji, jak zauważyłem.
– I dlatego to wspaniały wieczór, czyż nie? – Bożena uśmiechnęła się z ukontentowaniem.
Naląła Mieczysławowi trzy czwarte szklanki, po czym odwróciła się do niego tyłem. Sobie wlała zaledwie odrobinę, dopełniła colą niemal po brzeg. Wypiła trzy spore łyki i lekko zatoczyła się na obcasach.
– Powinam była je zdjąć.
– Kobieta bez butów jest nieubrana – dopowiedział Mietek.
Bożena osunęła się na fotel i zsunęła szpilki. Pomachała palcami oplecionymi cieniutkim nylonem.
– Czuję się u was wyjątkowo swobodnie – powiedziała.
– Mnie też nalejcie! – Z pretensją odezwała się Baśka, wchodząc do salonu z kuchni. Trzymała w ręce naczynie z pachnącą czosnkiem zapiekanką.
– Ja już nic więcej nie zjem! – zaprotestowała Bożena.
– Ale ty się napijesz – stwierdził Mieczysław, spoglądając na żonę.
Bożena powtórzyła manewr, od niechcienia dolewając Mietkowi do pełna.
Po kilku takich zagraniach poczuła, że choć jej szklanka była raczej niskoprocentowa, to jednak lekko zasumiało jej w głowie. „Cholera, za mało piję. Jestem niewprawiona i nieodporna” – pomyślała.
Minęło jeszcze blisko półtorej godziny, zanim w końcu zabrzmiała opowieść o ouzo. Odetchnęła wtedy. Dopiero po kolejnym kwadransie zrozumiała, że przedwcześnie.
Wtrącenie się w potok wymowy Mieczysława było bardziej niż trudne. Jak każdy mężczyzna, a zwłaszcza adwokat – zachwycony własnym głosem, nie zamierzał przerywać.
Baśka porozumiewawczo wystawiła pięć palców i nie pomyliła się nawet o trzydzieści sekund.
– Taka to była historia! – zakończył Mietek.
Zapadła cisza, ale tylko na chwilę.
– Kończy się butelka – powiedziała Bożena zmartwiona.
– Nic to – odpowiedziała Barbara. – Mamy jeszcze tę wielką flachę od Fabiańskiego.
– Właśnie! – ucieszył się Mieczysław. – Akurat na dzisiejszą okazję.
Baśka niemal natychmiast postawiła na stole żądany przedmiot, Bożena naląła, choć teoretycznie powinien to zrobić pan domu. Nikomu to jednak nie przeszkadzało.
– Fabiańscy, powiadasz? – Bożena wyraziła zainteresowanie, pozornie bez emocji. – Ci od podwójnego testamentu?
– Skąd wiesz? – odpowiedział Mietek. Zmarszczył brwi i rozejrzał się dookoła. Jakby próbował odnaleźć trzeźwość, co mu się jednak nie udało. – A fakt! Mówiłem ci w aptece.
– W aptece? Rozmawiasz o klientach w publicznych miejscach? – Barbara nie kryła oburzenia.
– Tak tylko się spotkaliśmy.
– Wiele nie powiedział – stanęła w jego obronie Bożena.
– Wystarczy, że wiesz o dwóch testamentach.
– Cicho bądźcie – skarcił je Mieczysław. – Nic nie gadajcie, bo nic nie wiecie.
– Przestań mi tu zgrywać mądralę, tylko mów, jak coś jest do opowiedzenia.

- Ale nic nie powiecie? Nikomu?

Baśka za plecami wystawiła kciuk w górę. Tylko Bożena mogła to zobaczyć.

Obydwie zapalały świętym oburzeniem.

- Za kogo ty mnie masz! - Baśka się uniosła. - Nie po to ci ślubowałam, żebyś mi takie...

- Czuję się obrażona! - wtrąciła równie gwałtownie Bożena. W głębi ducha zżymała się na odgrywanie całej tej scenki, choć sama ją wymyśliła. Nie bez pomocy Baśki, oczywiście.

Mietek wystawił przed siebie obie ręce w obronnym geście.

- No były dwa te testamenty - powiedział, wzdychając. - Choć właściwie niezupełnie.

Barbara prychnęła z jawnym niezadowoleniem.

- Nie dostaniesz jajeczniczy przez najbliższy tydzień, jeśli nie zaczniesz zachowywać się jak mężczyzna.

Zapadła cisza, bo Mietek zapatrzył się w okno. Obydwie panie zamarły. Stupor przerwała Bożena. Po prostu dołała im do szklanek.

Baśka pokręciła głową.

- Wystarczy - wyszeptała bezgłośnie.

- Niech to będzie już ostatni - powiedziała Bożena.

- Ale że jak: ostatni? - zdziwił się Mieczysław.

- Pijany jesteś - stwierdziła Barbara.

- Ja pijany? Ty chyba kpisz!

- Kpię, nie kpię, wysłowić się nie umiesz. Dwa testamenty i co?

- Jak co? Były i są! Było ich kilka. Więcej niż dwa.

- No właśnie. Ale przecież tylko jeden jest ważny. - Barbara lekko zabelkotała. Całkiem przekonująco jej to wyszło.

- Jak to więcej? To jakiś kompletny bałagan! - dołączyła Bożena.

- Cały problem w tym, że nie ten jest ważny, który jest ważny. Ale i tak liczą się tylko dwa testamenty.

- Mówiłam: pijany. - Baśka machnęła ręką.

Mieczysław wziął głęboki oddech.

- Stara Fabiańska całe lata temu sporządziła swoją ostatnią wolę, komunikując ją rodzinie.

- Wszyscy to wiedzą - stwierdziła Baśka, wzruszając ramionami.

Mieczysława wyraźnie zirytowała taka deprecjacja jego wypowiedzi.

- Wszyscy, nie wszyscy.

- Ja nie wiem. - Bożena uznała, że to jest ten moment, w którym powinna podlizać się trochę koledze.

- Opowiedz, bo jestem ciemna jak tabaka w rogu.

- Podzieliła wszystko, jej zdaniem, sprawiedliwie. Co nie znaczy równo. - Zaśmiał się chrapliwie. -

Pięćdziesiąt procent majątku miało przypaść wnukowi. Jedynemu, jej zdaniem, dziedzicowi nazwiska. Resztę starucha podzieliła między swoje dzieci. Dwadzieścia procent Stefanowi, po dziesięć pozostałym dzieciom. Mniej więcej dziesięć procent przeznaczyła na rodzinną fundację i uczyniła kilka drobniejszych zapisów. Chociaż może tam było coś więcej z tą fundacją. Kto to wie.

- Czyli z chwilą jej śmierci młody przejmuje stery rodzinnego biznesu - wtrąciła Bożena, ignorując ostatnie wątpliwości gospodarza. Mietek nawet nie zauważył, że jej mowa stała się raptem zadziwiająco wyraźna.

- Po odczytaniu testamentu - sprecyzował Mietek.

- Co jeszcze nie nastąpiło.

- Przeczytamy go w nadchodzącym tygodniu.

- Ale że co? - zdziwiła się Barbara, trochę nie na temat.

- Że było tyle tych testamentów - doprecyzowała Bożena.

- Bardzo nawet, kto jednak bogatemu zabroni – uzupełnił Mietek.
- Jak myślisz, dlaczego? – dopytywała Barbara.
- Bo chciała, żeby jej dzieci się pożarły? – domyśliła się Bożena. – No nie patrzcie tak na mnie! Ona była wredna.

- Pewnie masz rację – potulnie zgodził się Mieczysław. – Najbardziej chyba była cięta na córkę. Ale ona akurat ma dostatnie życie i nie wyczekuje na spadek po matce. Poradziła sobie bez rodziny, o co zresztą Malena Fabiańska miała do córki pretensje.

„Ha, ha – pomyślała Bożena – naprawdę?” Nie przyznała się jednak, co słyszała na cmentarzu. I że widziała Agnieszkę wychodzącą z lombardu.

- Ale że o co? – Bożena poczuła, że nie jest tak trzeźwa, jakby sobie tego życzyła. Troszkę zabełkotała.

- Stara Fabiańska lubiła hołdy. Choć regularny kult to właściwsze określenie. Należało pokornie przyjmować jej reprimendy. Ale potrafiła to hojnie wynagrodzić. Agnieszka nie była grzeczna, nie zgadzała się z metodami matki. Systematyczne poniżanie uważała za niegodne i wypięła się na rodzinę. Wyjechała, teoretycznie na studia, najdalej jak mogła. Do Stanów. Tam poznała Kanadyjczyka, zakochała się i szybko przyjęła oświadczenia. Przywiozła narzeczonego do Polski, przedstawiła matce, ale na próby powstrzymania jej przed wyjściem za mąż zaśmiała się starej w twarz. Wyprowadziła się do Kanady i przez lata miała w głębokim poważaniu oczekiwania polskiej rodziny. W ostatnich trzydziestu latach była w Polsce zaledwie kilka razy. Nie ma własnych dzieci, adoptowała dwójkę, chłopca i dziewczynkę. Malena Fabiańska tego nie akceptowała, uważając, że dzieci mogą być tylko biologiczne. To też było niezłym zarzewiem rodzinnej awanturki.

- Czyli stara Fabiańska miała więcej wnuków? – przezornie zdziwiła się Barbara. Już nie czuła się pijana. Ani trochę.

- Które uważała za bękarty. Nie chciała ich nawet znać.

- Dlatego nigdy o nich nie słyszałam! – Bożena uznała, że nie powinna przyznawać się do swojej wiedzy. Nie zdecydowała jeszcze, co z tymi informacjami powinna zrobić.

Nalała wszystkim wody do szklanek. „Muszę chyba wybrać się do Darka” – pomyślała.

- Wystarczy już dzisiaj chyba procentów – powiedziała.

Gdy odstawiała butelkę, uświadomiła sobie, że to przy tej informacji zawahał się wtedy Fabiański. Kiedy mówił o tym, że jego rodzeństwo pozostaje bezdzietne.

- Poza tym jej stary miał jakieś nieślubne dzieci – z satysfakcją oznajmił Mietek, który nie odnotował wygasającej energii rozmowy.

Bożena poczuła, że gwałtownie trzeźwieje.

- Ale nie mam pojęcia, o co tam w tym rodzinnym bajzlu chodzi. A po pogrzebie córka Fabiańskiej, Agnieszka, powiedziała mi, że jeśli dostanie w spadku jakiegokolwiek pieniądze, przeznaczy je na cele charytatywne. Na żadne nie liczyła. Nie potrzebowała pieniędzy matki, dlatego Malena nie mogła jej w żaden sposób zaszantażować.

- To piękne, ale do podwójnego testamentu nas chyba nie prowadzi – stwierdziła kwaśno Baśka. Nie emocjonowała się tak łatwo jak Bożena. A może tylko była bardziej pijana.

- Podobnie drugi syn Fabiańskiej – kontynuował Mietek. – Wprawdzie nie powiodło mu się aż tak fartownie jak siostrze, ale też na nic nie liczył. Żył w dostatku i także miał matkę w głębokim poważaniu. – Mieczysław czknął.

Bożena pomyślała, że chyba jednak alkohol zadziałał na adwokata zbyt mocno. Spojrzała na Baśkę, też wyglądała na zaniepokojoną.

- Same dyrdymały opowiadasz – stwierdziła żona mecenasa.

- Dyrzymały? Dyrzymały? – oburzył się Mietek.

- Na razie nic nie rozumiemy z tego podwójnego testamentu.

– Chodzi o drobny druk. – Mieczysław zachichotał.

Bożena skrzywiła się z dezaprobatą. Mietek to dostrzegł, wyprostował się i przejechał ręką po włosach.

– Stara Fabiańska dodała zapis, że Artur odziedziczy swoją część, jeśli najpóźniej trzy miesiące po jej śmierci jego żona będzie w ciąży.

– Jego żona... w ciąży? – Bożena zachłysnęła się kolejnym łykiem niemal bezalkoholowego drinka.

– Kilka razy mi o tym mówiła. Wściekała się na młodego, że nie poczuwa się do odpowiedzialności. Dziedzic nazwiska, a miał gdzieś potomstwo. Skakał od dziewczyny do dziewczyny, z żadną nie wytrzymał dłużej niż kwartał. Babka proponowała mu kilka panien z dobrych rodzin, lokalnych i nie tylko. Zdaje się, że nawet i z zagranicy jakieś sprowadzała. A młody... Szkoda gadać.

– Sprowadzała z zagranicy? – Bożena nie kryła niesmaku. – Dziewczyny to nie twarożek śniadaniowy, nie powinno się nimi handlować. Poza tym... – Po szybkiej kalkulacji postanowiła jednak nie wspominać o orientacji Artura. Jeszcze nie teraz.

Mieczysław wzruszył ramionami.

– Chyba musimy się napić – stwierdził.

Tym razem Baśka stanowczo chwyciła za butelkę, zabierając ją niemal Bożenie z ręki. Nalała mężowi zaledwie odrobinę, dopełniając colą. Mieczysław nie wychwycił proporcji.

– A jeśli nie? Jeśli nie byłby żonaty, a jego żona nie byłaby w ciąży?

– Wtedy młody zostaje z gołą dupą wystawioną na poklepywanie przez jego dostawców białego proszku.

– On ćpa?

– Nie wiem. – Mieczysław czknał. – Maryskę pali na pewno. O reszcie tylko plotkują.

– Czyli zostałyby bez spadku? – upewniła się Barbara.

– Skąd! – Mieczysław zaprezentował wyjątkowo uradowaną twarz. – Stara Fabiańska nie zdążyła podpisać nowej wersji. Drobny druczek nie wszedł w życie. Choć chyba lepiej powiedzieć: w śmierć. – Znów zachichotał.

– Kiedy miała podpisać nowy testament?

– Dwa dni po swojej śmierci – odparł adwokat. – Nie zdążyła starucha. Chociaż coś jej w życiu nie wyszło.

– Ktoś o tym wiedział?

Mieczysław wzruszył ramionami. Głowa mu opadła, chrapnął cicho.

– Czasem cały proces trwa długo, tak jak dziś. Mój mąż może dużo wypić. Ale potem zwykle idzie błyskawicznie – stwierdziła Baśka. – Jak Mietek przekroczy swoją granicę, zapada w nagłą śpiączkę. Teraz musisz mi pomóc przetransportować te zwłoki do sypialni. Raczej nie będzie rzygał, za to spać będzie jutro do jedenastej. Kochany Miecio, pijany jest zupełnie nieszkodliwy.

Wzięły męczyznę pod ramiona.

– Dziękuję – ucieszył się niespodziewanie. – A wiedzieli o tym wszyscy – dodał radośnie. – Kiedy u nich byłem, wszystkim zapowiedziała, że oczekuje dziedzica. I że za trzy dni to się stanie prawem. A dzień później już nie żyła.

Po czym głowa ponownie mu opadła i nie odezwał się, zgodnie z relacją Baśki, aż do jedenastej następnego dnia.

Rozdział 14

Bożena obudziła się późno i z wrażeniem, że ma kaca.

– Jak to niby możliwe? – zadała głośno pytanie. – Przecież prawie nie piłam!

A potem przypomniała sobie, że owszem, Baśce i sobie nalewała bardzo oszczędnie, ale za to często. A gdy już skutecznie uspiły Mietka, pozwoliły sobie na ciut więcej.

Wprawdzie butelka, którą Bożena kupiła u bufoniastego sprzedawcy, skończyła się szybko, a nawet zdecydowanie zbyt szybko, to barek Mietka okazał się całkiem dobrze zaopatrzony. Poza flachą od Fabiańskiego było tam także wiele innych, całkiem ciekawych trunków.

Skończyły późno i choć spacerem do domu Bożena miała zaledwie kilkanaście minut, wzięła taksówkę.

Malwina nocowała u babci, na wszelki wypadek. Nie była już małą dziewczynką, mogła zostać w domu sama, nawet i na noc, a jednak... Bożena wołała, by miała opiekę. W pracy uprzedziła, że następnego dnia będzie później. Radio wymagało dyspozycyjności siedem dni w tygodniu, weekendowe dyżury wypadały rzadko, ale jednak były. Czasem dziwiło to Czesławę, czasem dziwili się znajomi Bożeny, takie jednak były realia.

Konieczna była wizyta u Dariusza. Oczywiście najpierw radio. Edmund bywał upierdliwy. Odhaczenie obecności zwalniało z kłopotów.

Wydawało jej się, że wytrzeźwiała, wołała jednak nie ryzykować. Wzięła taksówkę.

– Wszyscy tutaj jak pracowite pszczołki – powiedziała, wchodząc do pokoju. – Ty też dzisiaj na dyżurze?

– Jest wpół do dziesiątej – odburknęła Dorota.

– I dlatego takaś nie w sosie? – zdziwiła się Bożena.

– Zawracasz głowę Darkowi.

– Mam obywatelskie obowiązki. A w ogóle teraz ci się przypomniało? Dwa razy u niego byłam i planuję kolejne wizyty.

Dorota spojrzała na przyjaciółkę z zaciśniętymi wargami.

– No i właśnie o to chodzi. Byłaś, to byłaś. Ale nie odpuszczisz. Narażasz się.

– Czyli z nim rozmawiałaś i potwierdzasz, albo raczej twój Dariusz potwierdza. Coś jest na rzeczy. Cudownie. Właśnie dzisiaj planuję pojechać do twojego kochasia i przekazać mu kolejne wieści.

– Bożena, przestań. – Dorota rzadko mówiła do przyjaciółki tym tonem.

– Upiłam wczoraj Mietka – stwierdziła Bożena.

Dorota wywróciła oczami.

– Co to ma do rzeczy? A! Rozumiem – warknęła. – Piłaś razem z kolegą ze szkolnej ławy i ci zaszkodziło. On wytrzeźwiał, ty zostałaś na stałe w stanie upojenia. Nie zawracaj mi gitary, skoro sama nie wiesz, o co ci chodzi.

– Panie Boże, chroń mnie od przyjaciół, bo z wrogami poradzę sobie sama – odpowiedziała Bożena.

– Odbiło ci? – Dorota nie wytrzymała.

– Mietek opowiedział mi o zamieszaniu z testamentem Fabiańskich.

– Zawsze jest awantura o schedę, nawet kiedy ośmioro dzieci dzieli budkę z płyty pilśniowej i sześciusetmetrową działkę zarośniętą łopianem. – Dorota wzruszyła ramionami.

– Miały być dwa testamenty.

– Miały czy były? – zapytała przytomnie Dorota.

– Formalnie obowiązuje zawsze jeden. Drugiego Fabiańska nie zdążyła podpisać.

- Chciała zmienić zapis?

- Właśnie. - Bożena postukała w biurko z zadowoleniem. - Też mnie to zainteresowało.

- A co w nim miało być?

- Wiem tyle, co powiedział pijany Mietek. Babka zamierzała wprowadzić warunek dziedziczenia dla młodego Fabiańskiego. Podobno miał dostać swoją dolę, większość rodzinnego majątku, dopiero po ślubie i z potomkiem w drodze. Do tego czasu zarządcą uczyniła Stefana. Babka wymyśliła, że to jedyna szansa na przedłużenie rodu w męskiej linii.

- Zawsze mówiono o niej, że jest wredna - zaśmiała się Dorota.

- Ci, co tak twierdzili, mieli rację. Ale podobno nie zdążyła podpisać drugiej wersji, czyli obowiązującej pierwszej. Tylko że młody Fabiański ma powód, by się nie żenić.

- Jakbym miała tyle kasy, też bym wszędzie widziała łowczyńnię posagów.

Bożena prychnęła pogardliwie.

- Wiedz, że nic nie wiesz.

- Przestań mnie drażnić. - Dorota w końcu nie wytrzymała. - Od wejścia prowokujesz. Masz coś do powiedzenia, gadaj. Nie, to zamknij japę i skup się na robocie.

- Proszę, proszę. Artur Fabiański jest gejem. Z całą pewnością też wiedział o drugim testamencie i odepchnął z ulgą, gdy babka kofnęła przed jego podpisaniem. Słyszałam, jak rozmawiał o tym z kolegami. I nie wybałuszaj tak oczu, wiem, co mówię. Widziałam na własne oczy jego uściski i mokre pocałunki z głębokim jęczyzkiem. Z chłopakiem.

- To zmienia postać na poleżeć!

- No właśnie. Co się więc dziwisz, że kluczową dla mnie sprawą było upicie Mietka.

- Na trzeźwo by ci nic nie powiedział.

- Ani mru-mru. Nawet Baśce nic nie chciał wygadać.

- Czy sugerujesz, że...

- Właśnie dokładnie to sugeruję. Że młody Fabiański pomógł babuni przenieść się na drugą stronę. Dlatego potrzebuję twojego Darka.

Na policji Bożena pojawiła się przed jedenastą. Dariusza nie było.

- Aspirant Gronkowski zaczyna służbę w południe. - Usłyszała.

Zmełła przekleństwo w myślach, uśmiechając się.

- Poczekam - odpowiedziała grzecznie.

Siadła w poczekalni i pomimo rozłożonego na kolanach laptopa zapatrzyła się w przestrzeń.

- To będzie ten dzień - powiedziała do siebie i wystukała kilka zdań. „Już słyszę, jak sekretarka burka pod nosem” - pomyślała i uśmiechnęła się do siebie szeroko. „Na szczęście dodałam, że pan prezydent zaznaczył ostatnio, że z przyjemnością się ze mną spotka. Bo przecież ma ku temu całkiem istotne powody” - zachichotała. Siedzący niedaleko facet spojrzał na nią z dezaprobatą. Policyjna poczekalnia to nie było miejsce właściwe do żartów i śmiechów.

Zanim się obejrzała, Dariusz wyszedł po nią, lekko skrzywiony.

- Mam sporo nowości - powiedziała, zanim zdążył się przywitać.

Wywrócił oczami. Wysłuchał jej jednak, nie przerywając.

- No i? - zapytała na zakończenie.

Rozłożył ręce.

- Co niby?

- Co robimy? - zapytała z ekscytacją.

- My? Nie robimy nic. Ja działam zgodnie z procedurami. Pani spędza czas na pisaniu kolejnego ambitnego artykułu.

Bożena poczuła, jak zalewa ją fala bezsilnej wściekłości.

– Serio? Wykorzystasz mnie? Tak bezwzględnie? – zakpiła, odruchowo przechodząc na ty.

– Pod żadnym pozorem – odpowiedział Dariusz spokojnie. – Chronię obywatelkę. Przypominam, jeśli, JEŚLI w tamtym domu doszło do świadomego otrucia, to morderca...

– Jest mordercą – przerwała mu Bożena. – Dlatego trzeba go złapać. I dzięki mnie właśnie teraz mamy ku temu przesłanki. Kolejne. Testament. Klótnia rodzeństwa. Przecież to są...

– Zaledwie poszlaki. – Tym razem Dariusz nie pozwolił dokończyć Bożenie. – Ładnie brzmiące, ale tylko przypuszczenia.

– Czego jeszcze potrzebujecie, żeby wszcząć śledztwo?

– Zwykle dowodów – odparł Dariusz. – A to... – Wzruszył ramionami.

Bożena wyszła z komisariatu, nie żegnając się. Wściekłość targała nią niczym sztorm nadmorskimi sosnami. Postanowienie „udowodnię mu” buzowało w niej niczym ogień z kominka w domu Fabiańskich. „Jestem jak dziewczynka z przedszkola” – pomyślała. „Ale i tak zrobię, na co będę miała ochotę”.

Myśl poparła, już po wyjściu z komisariatu, tupnięciem nogą.

Po czym wróciła do radia. Sobotnie popołudnie było tam bardzo spokojne. Kilku dziennikarzy na dyżurze, poza tym – cisza. Bożenie udało się mocno podgonić robotę na tyle, że w niedzielę pozwoliła sobie na odpoczynek. Choć to dyskusyjne określenie – w nocy fatalnie spała, za to w dzień miała ochotę na drzemkę. Zadzwoiła do matki, Czesława stwierdziła, że wyjeżdżają z Malwiną na lody i to nie jest dobry moment na spotkanie. Bożena, wkurzona, zamierzała odparować coś bezceremonialnie, nie miała jednak szansy. Matka się rozłączyła.

W geście protestu Bożena nie pojechała na Nowowiejskiego ani tam więcej nie zadzwoniła. I faktycznie zapadła w drzemkę. Po której w nocy znów nie mogła spać.

Następnego dnia założyła granatowe szpilki z czerwoną lamówką. Uwielbiała je, choć były to tanie buty, zbyt ekstrawaganckie jak na gust mieszkanek kilkutysięcznego miasteczka, w którym je znalazła. Przecenione, zakurzone, idealnie pasowały na stopy Bożeny.

Jak każde nowe szpilki. „Wyglądam jak kobieta sukcesu” – oceniła.

Do urzędu przyjechała kwadrans za wcześniej, szeroko uśmiechnięta. W końcu sama wyznaczyła to spotkanie, i to w trybie właściwie uniemożliwiającej odmowę. Z soboty na poniedziałek. Bezcelność? Owszem. Ale przecież to ona właśnie tworzyła piękny artykuł o panu prezydencie, gloryfikujący jego wspaniałe osiągnięcia. Bez wątpienia, czwarta władza to prawdziwa władza.

Sekretarka uśmiechnęła się do niej sztucznie i wskazała kanapę. Bożena czekała dwadzieścia pięć minut. Dopiero wtedy wyszedł z prezydenckiego gabinetu jakiś urzędas w lekko przekrzywionym krawacie.

Bożena nie czekała na zaproszenie. Nawet nie spojrzała na sekretarkę. Pomyślała tylko mściwie: „I tak nie jest ładniejsza ode mnie. Cycki mam lepsze”. A gdy dziewczyna wstała, Bożena dodała, ciągle w myślach: „I nogi też”.

Ominęła ją ze sztucznym uśmiechem na ustach i weszła do gabinetu. Przywitała się z prezydentem kiwnięciem głową.

– Ma pan dobre espresso? – zapytała bez uśmiechu.

Podniósł słuchawkę.

– Czy mamy dobre espresso? – rzucił do słuchawki.

Cztery minuty później otworzyły się drzwi. Zapach kawy powalał. Bożena w milczeniu czekała, aż sekretarka wyjdzie.

– To przekupstwo? – zapytała, gdy upiła dwa łyki.

Prezydent się uśmiechnął.

– A kawa byłaby wystarczająca? – zapytał.

Bożena parsknęła.

– No właśnie – stwierdził urzędnik.

– Zatem porozmawiamy o planach.

Prezydent wziął głęboki oddech.

– W strategii rozwoju na najbliższe lata opisaliśmy, razem z Radą Miejską, wszystkie najważniejsze punkty.

– Czytałam. Bla, bla, bla. Mogę panu zacytować. „Inteligentnie zrównoważone miasto”. „Rozwinięta i społecznie dojrzała gospodarka”. „Aktywni i kreatywni mieszkańcy”. „Koszalin jako centrum Pomorza”.

– O, rzeczywiście pani czytała. – Prezydent się uśmiechnął. – Nie miałem wątpliwości, zawsze jest pani przygotowana.

Trudno było przyczepić się do wizji rozwoju miasta. Odkąd Koszalin przestał być województwem, strumień pieniędzy nie płynął do tutejszego samorządu. Nic szczególnego. Los trzydziestu dwóch miast, które ucierpiały na transformacji. Wcześniej centra kulturalno-biznesowe regionu, teraz zaledwie zaplecze dla większych aglomeracji, których władze kompletnie nie były zainteresowane rozwijaniem prowincji. I już samo zestawienie: centrum – prowincja bolało mieszkańców Koszalina. Nic się nie dało z tym zrobić. Rozwój zawsze wymaga nakładów, a funduszy po prostu nie było. Co zatem mogły robić władze? Walczyć, a Bożena po przestudiowaniu materiałów uznała, że koszaliński ratusz całkiem udanie się z tego zadania wywiązywał.

Z tego mogłaby wyjść laurka. Ba! – nawet powinna. Tego oczekiwał prezydent, a także i Edmund. Nie po to tu jednak przyszła. Poprzedni wywiad był grzeczny, na zamówienie. Teraz Bożena szukała jakiegoś smaczku, a na razie dostrzegła tylko niewielki haczyk. Czy prezydent da się na niego złapać? W czasie rozmowy myślała tylko o jednym: „Cholera! Muszę to przyprawić, pieprzu dosypać, żeby nie powiedzieć – przypieprzyć. Inaczej nikt tego nie wysłucha!”

Zadając pytania, od razu ustawiała w głowie brzmienie artykułu. Uwielbiała stan dziennikarskiej ekscytacji, całą sobą wchodziła wtedy w rozmowę. Zapominała o całym świecie, liczyło się tylko tu i teraz, wyłącznie rozmówca, a w ostatecznym rozrachunku jedynie czytelnik. Albo słuchacz.

– Przygotowane przez pana biuro dokumenty czyta się świetnie. Niemniej mam ważniejsze pytanie: czy respektuje pan prawo pracy?

Prezydent uniósł brwi.

Po dwudziestu minutach wstępny plan artykułu miała w głowie. Zawierał oczywiście przypomnienie strategii rozwoju miasta na najbliższe dziesięć lat. Bożena zaplanowała na to dokładnie cztery akapity, każdy po kilka zdań. Poza tym miał to być spory materiał na temat prawa pracy, nadgodzin, służbowych telefonów w dni wolne... Nie miała wątpliwości, że od tego dnia pan prezydent będzie mistrzem w przestrzeganiu kodeksu pracy. Uświadomiła mu, że potrafi udowodnić mobbing, a nawet i romans z pracownicą.

Ale nawet i ten haczyk nie wystarczył. Bożena pomyślała, że wyjdzie z urzędu całkowicie nieusatysfakcjonowana. Za gładko, za grzecznie, przewidywalnie.

Pomysł na wywiad, puenta, błysk niezbędny do napisania czegoś sensownego często pojawiał się podczas rozmowy. A czasem po. W czasie zgrywania materiałów, układania przepisywanego tekstu, a nawet już po jego napisaniu. Taka błyskawica, czasem tylko światełko, a zdarzała się i luna, jak w czasie pożaru roponośnego pola pod Karlinem w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym. Takie coś, co układa całą treść, czasem wywracając ją do góry nogami.

Niemal kończyli już rozmowę, gdy do gabinetu prezydenta weszła sekretarka, przerywając rozmowę. Prezydent zmierzył ją zdziwionym spojrzeniem. Dopiero po chwili pojawiła się w jego wzroku nagana.

– Panie prezydencie... – zaczęła kobieta, po czym przerwała i wpatrzyła się w szefa. – Panie prezydencie – powtórzyła.

– Słucham – raczej stwierdził, niż zapytał.

Kobieta cały czas stała w wejściu i wyraźnie miała problemy z wystąpieniem się. Bożena przyglądała się scenie z zainteresowaniem.

– Panie prezydencie, wiadukt się zawalił.

Mężczyzna patrzył na nią z niedowierzaniem.

– Zawalił się. Tak po prostu.

Bożena uniosła w zdumieniu brwi.

Wiadukt był dla aktualnej władzy jak smród ciągnący się z długo niesprzątej kociej kuwety. Spuściła po komunistycznej władzy, niegdyś powód do dumy lokalnych aparatczyków. Dwujezdniowy, szeroki, efektowny, powstał w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym i był dowodem na światłą myśl komunistycznych inżynierów. Położony niedaleko dworca PKP, przez pięćdziesiąt lat stanowił ważną część głównej arterii komunikacyjnej miasta, usprawniając przeprawę na linii Szczecin – Gdańsk. Nieremontowany przez wiele lat, wołał o uwagę, a wykonana w końcu ekspertyza poskutkowała jego natychmiastowym zamknięciem.

Remont przeprowadzono, wiadukt otwarto. Z pompą już niekomunistyczną, ale równie żenującą. Tak przynajmniej oceniła fetę Bożena. A po kilku miesiącach okazało się, że remont był funta kłaków wart, coś tam skiepszczono z dylatacją czy czymś innym, równie enigmatycznie i niejasno dla Bożeny brzmiącym. Wiadukt ponownie, ku zdumieniu mieszkańców Koszalina, zamknięto.

Tym razem zaplanowano rozebranie doszczętnie dwóch nitek wiaduktu. Wybudowanie ich na nowo miało stanowić remedium na wszystkie budowlane i inżynierskie bolączki obiektu. Trudno się dziwić, że hasło „wiadukt” nie budziło pozytywnych skojarzeń w koszalińskim ratuszu. Dwie nowe jezdnie, po dwa pasy ruchu w każdą stronę miały oznaczać koniec kłopotów. Bożena nawet pamiętała, że miały mieć po dwieście dwadzieścia metrów. Czytała o betonowych podporach, łukowych wzmocnieniach, zbrojonej stali. Techniczne szczegóły nie przemawiały do jej wyobraźni, z ich lektury jednak zrozumiała tyle: miało być pięknie.

Żeby jednak wybudować nowy wiadukt, trzeba było rozebrać stary. Zajęli się tym specjaliści. Wyliczyli, rozrysowali, zaplanowali.

Bożena na wieść o tym pomyślała nawet, że dzisiaj takie wyliczanki to pikuś. Niegdyś budowniczowie mieli do dyspozycji cyrkiel i kątomierz. A teraz? Prościzna. Wszystko wyliczały komputery.

I co? Zawalił się? Po prostu?

Prezydent przybrał oficjalny wyraz twarzy.

– Dziękuję bardzo za dzisiejsze spotkanie – powiedział, wstając.

Ucisnęli sobie ręce, a Bożena jeszcze nim wyszła z ratusza, włączyła internet w smartfonie. Nie musiała szukać. Zaatakowały ją filmiki, na których fragmenty wiaduktu składały się na przejeżdżające poniżej samochody. Wyglądało to jak sceny z filmu katastroficznego. *Szklana pułapka osiemnaście* – pomyślała. Widok był przerażający.

– I mam puentę naszej rozmowy – powiedziała do siebie zadowolona Bożena już w samochodzie. – Zawalony wiadukt, jawne świadectwo nieudolności naszej władzy.

Zaśmiała się cicho i sardonicznie. „Tak jakby prezydent sam podkładał ładunki pod wiadukt, wysadzając go wprost na jadące auta. Jawny dowód na żarłoczny konsumpcjonizm mediów. Na szczęście nikt nie zginął” – pomyślała rozsądniej.

Zamówiła taksówkę, poprosiła o kurs na Monte Cassino.

– Pani! Tam się nie da przejechać! – zaprotestował taksówkarz.

Bożena uświadomiła sobie, że nie myśli logicznie. No przecież! Zawalony wiadukt!

– Tam wszystko padło, pani – mówił taksówkarz. – Możemy pojechać na Batalionów Chłopskich.

Droga nie była daleka, ale zakorkowana. Bożena czuła się, jakby przemierzała pole bitwy. Z każdym metrem coraz bardziej świat zasnuwał dym, pył? Widoczność była coraz słabsza.

Na taksówkarzu jakby nie robiło to wrażenia. Gadał bez przerwy, Bożena wpuszczała jednym, wypuszczała drugim uchem. W końcu jednak coś do niej dotarło.

– Ostatnio takiego jednego wiozłem – mówił – co to ciągle gadał przez telefon. No, pani, no jak tak można, no jak? W samochodzie to pogadać trzeba jak człowiek z człowiekiem. Co za kultura? A on wygadawał przez ten telefon, no pani! Ciągle tylko: „Oddam, oddam wam w przyszłym tygodniu! Teraz nie mam, ale wszystko się zmieni”.

„Co mnie to obchodzi?” – pomyślała Bożena. Za oknem taksówki oglądała krajobraz po wojennym starciu. Wciąż jeszcze unosił się wokół kurz, jakby fruwały nieczystości. Gruzy wiaduktu przypominały ruiny po bombardowaniu.

– No i pani, no niech pani sama powie, co to za ludzie? Tak żerować na testamentach?

Bożena podskoczyła.

– Na czym? Co pan mówi?

– No i pani się zgadza. Toż to niemoralne! Jak kto umarł, to trzeba opłakać, żałobę odbyć, a nie tak od razu pieniądze dzielić. Bo skąd to wiadomo, co w tym testamentach? Pani, jak moja babka umarła, to z testamentem czekaliśmy, aż się cała rodzina zjedzie. Niektórzy to daleko mieli i zanim my się tutaj wszyscy...

– A kojarzy pan, jak się nazywał pana pasażer?

– Pani, no jak. Nie przedstawił się przecież. Ale z Rokosowa go wiozłem i tylko powtarzał ciągle: testament i testament. To kto to miał być? No Fabiański jakiś, jak olaboga! Ale oni wszyscy to pazerni są, pani! Tylko pieniądze się liczą. Testament... Jakby nikt nie tęsknił za tą, co umarła.

Bożena miała sporo pytań, nie zdołała ich jednak zadać. Dojechali na miejsce.

A tam... Mieszkańcy opowiadali o huku, rozległym grzmocie, wybuchu, zgrzycie. Okolica była przykurzona, sąsiedni plac zabaw świecił pustkami.

„Ciekawe, kiedy tu wróci życie” – zastanowiła się Bożena.

– Cud, pani, cud prawdziwy, że nikogo nie przygniotło! – powtarzał zdenerwowany starszy pan.

– Bóg miał nas w opiece – dodała pani w średnim wieku, kurczowo trzymająca smycz z ujadającym szarym pudlem.

„Ten pies jest chyba biały” – przemknęło Bożenie przez myśl. „I może kiedyś znów będzie, po kąpielach”.

Nagrała rozmów więcej, niż planowała. Większość osób stojących w grupkach przy zielonym terenie nad Dzierżęcinką bądź przy wlocie ulicy miała potrzebę opowiedzenia o wrażeniach. Bożena korzystała. Z doświadczenia wiedziała, że gdy pierwszy szok minie, chętnych do rozmowy ubędzie.

Spakowała już sprzęt i szła w stronę Młyńskiej, gdy usłyszała dyskusję mijanej grupy. Podeszła od niechcienia.

– Bo jak się wystawia lewe faktury, to zawsze tak jest. Coś się musi spierdolić – artykułował męski głos z przekonaniem.

– Oj tam, faktury. Beton się liczy, beton! Oni kiepski tam dali, dlatego się zawalił – skontrowała stojąca obok kobieta.

– Co wy tam wiecie – dodał trzeci głos. – Żle to obliczyli, patałachy, i tyle.

– No a jak mieli dobrze, skoro Fabiański zadbał, żeby na tym betonie zarobić?

– To biznesmen, więc zarabia – wtrąciła Bożena.

Obecni naturalnie przyjęli jej obecność.

– To złodziej jest, ot co! – oburzyła się kobieta.

– Lewe faktury wystawia, towaru mniej daje, beton słabej jakości i tyle.

– A ten Fabiański to ma firmę budowlaną? – wątpiła Bożena.

– Pani, on w tym mieście wszystko ma! – Oburzenie w głosie mężczyzny było namacalne.

– To nie ten stary Fabiański – powiedziała kobieta z politowaniem. – Tylko ten młody. Synalek pieprzony, co się tym dziwnym autem rozbija i w klubach majątek wydaje. O, w tym tam na przykład. – Wystawiła rękę w stronę Piastowskiej. – Syn mój tam robi, to ja wiem.

– Nieprawda, to stary wszystkim rządzi – sprzeciwił się mężczyzna.

– To w ogóle rodzinka jest pokazowa. Bogacze, ale jaka patologia! Mamusia córeczkę wydziedziczyła, drugi synalek uciekł jak najdalej, trzeci tańczył na jej sznureczku jak pacynka. Wnuczków się nie doczekała, ciekawe, komu majątek zapisała! – Kobieta zacharczała, choć miał to być chyba śmiech.

– A co nas to obchodzi – wtrąciła się kolejna. – Ciekawe, kto nam tu teraz pomoże ten cały burdel posprzątać? Przejechać ulicą się nie da, jak tu żyć?

– Co tam się pani martwisz, Fabiański pomoże – wychrypiął mężczyzna.

– Jasne. Udostępni swoją firmę sprzątającą, jeszcze na tym zarobi.

Bożena wróciła do radia zmęczona. Zupełnie nie martwiła jej jednak konieczność kilkugodzinnego montowania. Cieszyła się, że na ten czas zatrzyma myślenie o innych sprawach. Tych, które powinny być dla niej najważniejsze i być może dlatego od nich uciekała. By jej nie przygniotły.

Po wyjściu z radia pożałowała, że nie przyjechała własnym autem. Wtedy obawiała się policyjnego alkomatu, teraz wołałaby wrócić do domu samochodem, byłoby szybciej.

Koszalin nie był dużym miastem. Raczej takim akurat, w sam raz. Dostarczał wystarczająco rozrywek. Filharmonia, teatr, kina. Złośliwi wprawdzie twierdzili, że każdy wyróżniający się na deskach Teatru Bałtyckiego aktor natychmiast wyjeżdżał do Warszawy, a w filharmonii grali tylko podrzędni soliści, jednak to nie była prawda. Koncerty były zacne, a spektakle dostarczały wzruszeń. Muzeum koszalińskie prezentowało coraz lepsze ekspozycje, zarówno stałe, jak i czasowe. Poza tym komunikacja koszalińska była idealna. No i wszędzie było blisko. „Więcej niż wioska, mniej niż metropolia. Idealne miejsce do życia” – uznała Bożena. Choć ten dzień akurat był na tyle męczący, że nawet takie miasto zdawało się zbyt duże na piesze powroty do domu.

Pomyślała, dosyć ironicznie, że chciała mieć reporterskie mięso. Była przecież dziennikarką, z krwi i kości, rasową, od urodzenia. Wydawało jej się, że w dzisiejszej rozmowie z prezydentem znajdzie ten elektryzujący sens, niezbędny w każdym dobrym materiale. Że niby nie miała tematu? Wizja rozwoju miasta? Bez żartów. Oczywiście, opublikuje ten wywiad w radiu, skleci też interesujący artykuł dla „Wiadomości Koszalińskich”. Dwa w jednym. Jedna rozmowa, podwójnie wykorzystana. Jak to się jednak miało do jej ambicji?

A jednak dzień przyniósł prawdziwy temat. Do łamania prawa pracy w miejskim ratuszu kiedyś wróci.

Wracała do domu, przeklinając zwichrowane chodniki, jakich zdecydowanie zbyt dużo było w Koszalinie, choć miało to być miasto idealne. Szpilki nie lubiły nierównych powierzchni. Zbliżała się do domu, a tam... Czekala na nią najważniejsza sprawa. Choć tak naprawdę czekała na Nowowiejskiego. Bożena przebrała się i pojechała po córkę.

Babka uznała chyba, że Malwina jest na usprawiedliwionych przez matkę wagarach. Nakarmiła wnuczkę, pozwoliła się wyspać... Ale Bożena musiała porozmawiać z Malwiną.

Kompletnie nie była na to gotowa.

Rozdział 15

Rozmowy z nastolatkami są jak jazda na bananie. Plażowej atrakcji dla znudzonych słońcem dzieciaków. Tyle że motorówki ciągną banany po spokojnym morzu, a nastolatki wyciszone nie są nigdy. Buzujące hormony nie sprzyjają refleksji.

Bożena podjechała na parking przed blokiem, w którym spędziła dzieciństwo. Siedziała chwilę w samochodzie, wspominając szczenięce lata. „Tu były ogródki działkowe – przypomniała sobie – a tam dziura w płocie. Przełaziliśmy tędy, szukając miejsc do zabawy. Tutaj koleżanka straszyla mnie sąsiadką z bloku na końcu osiedla, podobno miała być czarownicą”. Bożena wciąż miała przed oczami minę matki, gdy nabożnie ukloniła się kompletnie nieznannej kobiecie.

– Znasz tę panią? – zainteresowała się matka.

– Nie – odpowiedziała wtedy Bożena z powagą. – Ale czarownicom należy się szacunek.

Matka potknęła się na prostej drodze. Coś tam próbowała córce tłumaczyć, ale tego już Bożena kompletnie nie pamiętała.

– Dzieciństwo. Kraina szczęśliwości – mruknęła do siebie.

Nie miała w samochodzie nic do roboty, a jednak siedziała dalej. Zerknęła w lewo, na sporą przestrzeń pomiędzy blokami. Niewielki wzgórek na środku, niedaleko piaskownic, teraz był pusty. Ledwie go dostrzegła w wąłym świetle kilku latarni. Kiedyś stały na nim trzy figury niedźwiedzi. Najmniejszy misiek leżał, rodzice sadzali na nim dwulatki. Na średnim wygodnie się siedziało, nie był jednak wyzwaniem. Ambicją każdej kilkulatki było zajęcie miejsca na największym. Dzieciaki mówiły na figurę „niedźwiedzica”, bo skoro obok były małe? Choć może to był błąd? Może powinien być tata, mama i małe? Wtedy to byłby niedźwiedź...

„Pieprzone sentymenty” – zirytowała się na siebie Bożena. Wyszła z auta, nie trzasnęła jednak drzwiami, choć miała na to ochotę. „Samochód musi mi jeszcze służyć. Strzelić mogą Malwinę” – pomyślała. „Nie mogę. Dzieci się nie bije. Ale tych, co ją wciągnęli w dilerkę, chętnie bym walnęła w zęby, między oczy i jeszcze w jaja, nawet jeśli są dziećmi. Ale raczej nie są. W ogóle powinnam się gdzieś wyżyć. Może boks? To by było uczucie. Wyćwiczyć prawy sierpowy, przywalić Edmundowi, następnie wrócić do matki na garnuszek... Trudno zdecydować, co gorsze. Podległość Edmundowi czy matce”.

Zdecydowanym krokiem przeszła kilkadziesiąt metrów z parkingu do klatki schodowej. Wpisała kod na domofonie, wiedząc, że w mieszkaniu słychać będzie buczenie otwieranych drzwi.

Rzeczywiście, matka czekała na nią w korytarzu.

– Jest kiepsko – powiedziała na przywitanie.

– Jakbym o tym nie wiedziała – burknęła Bożena.

– Malwina nie chce rozmawiać.

Bożena wzruszyła ramionami i weszła do mieszkania. Kiedyś jego zapach uważała za naturalny, z biegiem lat stał się drażniący. Dominowała w nim duszona cebula, którą uwielbiał ojciec. Nie było go już z nimi tyle lat, a matka nie pozwalała zmienić ani mebli, ani starego dywanu, ani nawet pożółkłych firanek. Woń wciąż wciskała się w każdy por skóry, choć ostatnio mieszała się z aromatyzowanymi świecami, którymi Bożena obdarowywała rodzicielkę przy każdej okazji.

– Zrobiłam herbatę. – Usłyszała Bożena, wieszając kurtkę. Nawet nie zauważyła, że matka zdążyła już wejść do kuchni. Wciąż jednak nigdzie nie widziała córki.

Usiadły w dużym pokoju, szumnie nazywanym salonem, przy niewysokim „jamniku”. Kiedyś, za życia ojca, co tydzień rozkładano go w wielki, ósmiosobowy stół, od kilku lat jednak matka nie organizowała proszonych obiadów.

– Malwinka jest w twoim pokoju. – Zabrzmiało teraz za jej plecami.

W jej pokoju? Serio? Nie mieszkała tu już od kilkunastu lat! „Jej” pokój stał się graciarnią, składowiskiem pościeli do wiecznego nienaprawienia, miejscem na nigdy nieskładaną deskę do prasowania i wystawą filizanek z odpadniętym uchem. „Kiedyś się skleji” – tak mawiał ojciec, a matka kultywowała tradycję, choć niczego nie zamierzała sklejać.

Zirytowana Bożena przeszła cztery kroki i otworzyła drzwi, na których wciąż pozostały ślady po naklejkach. Tu był Tabaluga, tu czerwony pokemon, a tutaj Teletubiś. Doskonale to pamiętała.

„Powinnam wziąć głęboki oddech” – pomyślała. Nie zwykła jednak ulegać słabościom. Otworzyła drzwi i właśnie wtedy, wbrew własnym oczekiwaniom, wzięła ów głęboki oddech. „To by było tyle na temat sentymentów” – skonstatowała. Pokój w niczym nie przypominał miejsca, które ostatnio odwiedzała. Na jej młodzieńczym biurku leżały książki Malwiny, a dziewczyna siedziała na zupełnie nowym krześle. W oknie wisiały świeże zasłonki z białej bawełny w niebieskie mazaje, wąskie łóżko, niegdyś jej panieńskie, przykrywała ciemnoniebieska kapa. Żadnej deski do prasowania, sterty nieuprasowanej pościeli, pudełka z płataniną nici. Pozostała grubo wytłaczana, żółta tapeta ze wzorkiem w kolorowe, czerwono-niebieskie kwiaty. Pokój nastolatki, o tyle nierealny, że uporządkowany.

Malwina podniosła wzrok znad książki. Siedziała z nogą podwiniętą pod pośladek, przygryzała końcówkę ołówka.

– Jedziemy do domu – powiedziała Bożena.

Malwina wzruszyła ramionami.

– A gdybym chciała tu zostać?

– Może to i dobry pomysł – odparła chłodno Bożena. – Ale nie dziś. Teraz pojedziemy do domu.

– Mam coś do powiedzenia? – Młoda patrzyła matce hardo w oczy.

Bożena poczuła, że krew uderza jej do głowy.

– Zbieraj się – odpowiedziała i wyszła z pokoju.

W salonie stała matka z tacą w rękach. Na niej ustawiła dwie filizanki z parującymi napojami i trzy talerzyki. Ciasto się nie zmieściło.

– Najpierw usiądziemy – zaordynowała.

Bożena zgrzytnęła zębami.

Usiadła na brzegu kanapy, tutaj wciąż leżała kapa, którą pamiętała z dzieciństwa. Zrobiła ją z resztek włóczki znajoma matki. W kwadratach zasada była tylko jedna – przedostatni rząd był czerwony. Ale ta czerwień była różna niemal w każdym elemencie, a zestawienie reszty włóczek przypominało tandetną tęczę.

– Nie ma się co denerwować – zaczęła matka.

– Właśnie – przytaknęła Malwina, wchodząc do salonu i siadając obok babci.

Bożena patrzyła na nie w milczeniu.

– I tak jest dobrze – ciągnęła Czesława. – Lepiej nic nie mówić, przeczekać, a wszystkie sprawy się ułożą.

Bożena sięgnęła po filizankę, upiła łyk zbyt gorącego napoju.

– Nic nie będzie dobrze – powiedziała w końcu lodowatym tonem. – Malwinę zawieszono w szkole. Wywalono cię, moja córko, a temu, że jestem znaną dziennikarką, zawdzięczasz, że możesz do tej szkoły wrócić w przyszłym roku. Najbliższe miesiące spędzisz w ośrodku odwykowym.

– Co takiego? – Matka Bożeny zbyt gwałtownie odstawiła filizankę.

- Jesteś relegowana - powiedziała Bożena, zwracając się do córki ze sztucznym uśmiechem. - Nie powiedziała ci? - Teraz spojrzła na matkę. - Twoja wnuczka sprzedaje w szkole marihuanę. Diluje, mówiąc wprost, zapewne także zażywa. Ma skończone trzynaście lat, więc ponosi za to prawną odpowiedzialność. Ona, nie opiekunowie. Moja córeczka, a twoja ukochana wnusia, może trafić do poprawczaka. - Widząc minę matki, uśmiechnęła się szeroko. - Nie pochwaliłaś się babci? - zwróciła się do córki. - Sama więc rozumiesz, mam - Bożena przerzuciła wzrok na matkę - że spokój ducha jest stanem teraz mi dalekim. Muszę zapewnić mojej, delikatnie rzecz biorąc, nie nazbyt mądrej córce, ochronę, bo wpakowała się w kłopoty, które przerastają moją wyobraźnię... - Odwróciła się od matki, znów spojrzła na córkę: - Chyba że chcesz coś dodać?

Młoda patrzyła na nią hardo.

- No właśnie - dokończyła Bożena. - A ty nie miałaś przynieść sernika? - zapytała matkę.

- Mam szarlotkę - odpowiedziała. Nie wstała jednak. - To prawda? - zapytała wnuczkę.

Malwina spuściła wzrok.

- Zjedzmy zatem szarlotkę - powiedziała Bożena.

Odezwały się dopiero po dwóch minutach.

- To jaki jest plan? - zapytała w końcu Czesława.

- Młoda rzeczywiście została relegowana ze szkoły - odpowiedziała Bożena.

- Myślałam, że żartujesz.

- Może wrócić od września. I to jest łaskawość ze strony dyrektora. Jeśli trafi do jakiegoś ośrodka, w nich działają szkoły, więc skończy rok szkolny tam. I wtedy wróci tutaj do kolejnej klasy. Albo i nie. Nie mam pojęcia. Musimy załatwić jakieś formalności, papierologię, istnieje przecież obowiązek szkolny, nie wiem... Nie znam się na kretyńskich zagrywkach gówniar, które mają wszystko podstawione pod nos! Ty smarkulo! Paskudna egoistko! Rozkapryszona szczeniario!

- Przestań! - Matka podniosła głos.

Bożena wzięła głęboki oddech. Zaciśnęła szczęki i wstała.

- Zbieraj się. Zaczniemy od badania krwi.

Malwina nie wstała. Oblizwała wargi i sięgnęła po widelczyk.

- Pyszny jabłecznik, babciu - powiedziała. - Nie musisz mi robić testów, nie paliłam od kilku dni. Poza tym muszę się rozliczyć.

Bożena wzięła głęboki oddech. Usiadła ponownie.

- Ile? - zapytała.

Zaniemówiła, gdy usłyszała kwotę.

- Mówisz o...

- Tak. W tysiącach złotych - odparła młoda.

- To może zjedz jeszcze odrobinę - wybąkała babka. - Poza tym mam mortadelę. Świeżuteńka...

- Mówisz, jakby to był drobiazg. - Bożena nie słuchała matki. - Jakby ta sytuacja była zaledwie mrugnięciem, lekkim zagięciem kartki w kalendarzu. A to więcej niż zarabiam w pół roku!

- To tylko pokazuje, jak mizernie zarabiasz - stwierdziła młoda, a Bożenę zatchnęło. Zanim wypowiedziała słowa, które cisnęły się jej na usta, odezwała się matka.

- Pieniądze to tylko rzecz do zdobycia - powiedziała spokojnie.

- Serio? - warknęła Bożena. - Pieniądze owszem, ale spokój już niekoniecznie.

Nie potrafiła się już powstrzymać. Wyszła, trzaskając drzwiami. Trzęsła się ze złości, dopiero teraz odczuła w pełni zalewające ją emocje. Wiedziała doskonale, że młoda ostentacyjnie nie będzie się teraz spieszyć i całkiem jej się to podobało. Potrzebowała ciszy i chwili spokoju. W samochodzie były ku temu idealne warunki.

Oddychała powoli, napięcie nie ustawało. Walnęła w kierownicę, raz, drugi, niechcący trafiła w klakson. Przed maską przechodził starszy pan z psem, poznała sąsiada spod ósemki. Na szczęście on jej nie rozpoznał.

Czekała na córkę czterdzieści minut, w tym czasie popołudniowa szarówka przeszła w wieczorny mrok.

– Od kiedy stałaś się taka wyszczekana? – zapytała Malwinę, gdy ta już usiadła na siedzeniu pasażera.

Młoda nie odpowiedziała. Bożena odpaliła silnik i powoli wjechała w Traugutta. Gdy przyjechały do domu, dziewczyna weszła do swojego pokoju i zamknęła drzwi.

– O nie – wyszczała Bożena, otwierając je z hukiem.

„Gerard od razu obejrzałby uszkodzenie tynku” – pomyślała.

– Teraz będziemy rozmawiać, moja przemądrzała pannico.

Młoda usiadła na tapczanie i spojrzała na matkę, pozornie bez emocji. Gdyby Bożena potrafiła, rozpoznałaby w tym spojrzeniu malutką dziewczynkę, która zgubiła wstążkę z warkocza i boi się reakcji mamy.

– Kiedy musisz oddać kasę? Może być w ratach? Gdzie masz ją dostarczyć?

Bożena strzelała pytaniami, a Malwina w końcu zaczęła odpowiadać. Najpierw krzyczała, potem płakała, na koniec udzieliła odpowiedzi.

– A teraz idź spać – powiedziała na koniec matka.

– Spać? – wydukała Malwina, której policzki były mokre od łez, nos spuchnięty, a rękaw bluzy, w który go wycierała, przemoczony.

– Właśnie. Spać – powiedziała Bożena i wyszła.

Usiadła przy stoliku w kuchni z myślą, że powinna jakoś przytulić córkę. Zrobić... coś. To już jednak nie była jej córka. Gdzie się podziała ta kruszynka, która słuchała jej jak wyroczeni? Która przybiegała poskarżyć się na pobrudzoną łapkę pluszowego misia?

Gdzie?

– Nigdzie – odpowiedziała sobie Bożena. – Nie ma. Jest paskudna, rozwydrzona... – Westchnęła. – Nie powinnam tak myśleć o swoim jedynym dziecku.

Szarpnęło ją sumienie, gdy pomyślała o „jedynym dziecku”. Nie zatrzymała się jednak na tym uczuciu.

Kim stała się Malwina? Trzynastoletnim potworem sprzedającym narkotyki! No dobra, trawkę. Ale w niczym jej to nie usprawiedliwia. Głupia smarkula.

Swoją drogą... Gerard. Powinien w tym uczestniczyć. I też zapłacić za jej wybryki. Zerknęła na zegarek. Było już po dwudziestej pierwszej, czas najwyższy na rozmowę.

– Jeśli dzwonisz o tej porze, to albo świat się zawalił, albo jesteś pijana i wydaje ci się, że wciąż mnie kochasz. – Usłyszała zamiast powitania.

– To ty mnie wciąż skrycie kochasz, a jeszcze bardziej uwielbiasz swoje pierwsze dziecko. Bo przecież nie tę grubą raszplę, która teraz zajmuje moje miejsce w twoim łóżku – odpowiedziała.

– No właśnie o tym mówię – skwitował. – To jest moje łóżko, a to miejsce nie jest już twoje. Wciąż mnie kochasz, była żono.

– Skoro tak się do mnie zwracasz, to nie ma obok ciebie twojej zdziry.

– Zdziry co do zasady są atrakcyjnymi harpiami, często z czerwonymi szponami. Ma to się nijak do grubej raszpli, zdecyduj się.

– Nieważne, jaką profesję ma twoja dziwa, czas zająć się poważnymi sprawami. Twoja...

– Zdaje się, że moja życiowa partnerka bardzo cię obchodzi – przerwał jej Gerard.

– Jesteś pijany i wkurwiasz mnie samym faktem, że muszę z tobą rozmawiać. Obchodzi mnie twoja córka.

– Nie tykam alkoholu i doskonale o tym wiesz. A skoro Malwina jest moją córką, to znaczy, że sprawia kłopoty? – Zaśmiał się.

– Nawet nie wiesz, jak wielkie – wyszczała Bożena.

Opowiadając byłemu mężowi zdarzenia ostatnich dni i wyobrażając sobie jego tężejący wyraz twarzy, odczuwała satysfakcję.

– Już teraz nie jesteś taki radosny, prawda, Dziubusiu? – Użyła zdrobnienia, którego Gerard nienawidził z całego serca i nikt nie wiedział tego lepiej od niej.

– Nie mam takiej kwoty pod ręką – powiedział, ignorując tę słowną zaczepkę. – Będę ją miał za trzy dni. Dostanę zaliczkę na wyjazd.

„Zawsze był konkretny” – pomyślała z uznaniem Bożena.

– Wyjeżdżasz już za tydzień?

– Dokładnie. I widzę jeszcze inny problem – kontynuował. – Tacy ludzie nie dają za wygraną. Nie wystarczy ich spłacić, będą Malwinę nachodzić.

– I właśnie o tym chciałam porozmawiać – odpowiedziała Bożena. – Ja też nie mam takiej kasy i też jestem w stanie ją zdobyć. Dyrektor szkoły...

– Ten patafian? – przerwał jej Gerard.

Chciała go za to ofuknąć, jednak odruchowo się uśmiechnęła. Wciąż myśleli tak samo. Mimo wszystko.

Bożenie na obrzeżach myśli przeleciały te dawne chwile, w których uzupełniali swoje wypowiedzi, czytali w myślach, kończyli za siebie rozpoczęte zdania. Wtedy nazywała to porozumieniem dusz. A teraz? Jak to nazwać? „Tak samo” – pomyślała i natychmiast odgoniła od siebie to spostrzeżenie.

– Ten dureń zaproponował coś, co trzeba rozważyć. Proponuje, by przechować Malwinę przez kilka miesięcy w jakimś ośrodku.

– Żeby spotkała prawdziwych narkomanów? – warknął Gerard. – I nauczyła się od nich tego, czego jeszcze nie umie?

– Właśnie. Dlatego myślę, że trzeba ją wywieźć na kilka miesięcy z Koszalina. Gdzieś. Niech uczestniczy w jakiejś terapii, ale dochodząco. Żeby były papiery dla szkoły. A od września pošlemy ją gdzie indziej. Na pewno już nie do tego kurewskiego przybytku edukacyjnego, który skrewił na całej linii.

– Zdumiewające, jak się zgadzamy – odparł Gerard. – Wezmę Malwinę ze sobą.

Bożena przygryzła wargę. Oczami wyobraźni widziała byłego męża i ten błysk w jego oczach. Triumf. „Nigdy nie przestaniemy ze sobą walczyć” – pomyślała, niechętnie wyrażając zgodę.

A gdy potem siedziała, wpatrując się w jesienną noc za oknem, zahaczyła wzrokiem o szafkę, w której stała dawno napoczęta butelka koniaku. Używała go wyłącznie do nasączenia ciast. Kiedy jeszcze je piekła, czyli raz w życiu na trzydzieste urodziny Gerarda. „Teraz powinnam się napić” – przemknęło jej przez głowę. A jednak po całym tak ciężkim dniu nie miała najmniejszej ochoty na alkohol.

Przypomniała sobie jednak, jak ważną sprawę miała jutro do załatwienia. Testament. Fabiańscy. O nich też chciałyby zapomnieć.

Rozdział 16

Powiedzieć, że źle spała, to nic nie powiedzieć. Przewracała się na łóżku do trzeciej trzydzieści, potem wstała i usiadła w kuchni wpatrzona w okno. Chciałaby zobaczyć za nim, na tle rozświetlonego światłami miasta nieba, Supermana. Jakiegoś śmiałego zucha, Gandalfa Szarego, Merlina, Dumbledore'a, Yennefer... Niechby to była nawet Hermiona. Może któreś z nich rozwiązałyby jej problemy.

Kilka minut po czwartej otworzyła komputer.

– Niech się ta noc nie zmarnuje – powiedziała do siebie.

Zrobiła porządek w poczcie, zaplanowała kolejne rozmowy, przestudiowała dokładnie *Strategię rozwoju miasta*, którą wcześniej, wbrew butnym deklaracjom, zaledwie przejrzała. Wiele z niej nie wynikało, same banały, płytkie obietnice, tak sformułowane, by łatwo można było ich nie dotrzymać, a jednocześnie chęć się, gdy coś się powie. Lektura jednak nie poszła na marne – Bożena przygotowała kilka cytatów, które wprawdzie w radiu nie będą użyteczne, jednak w tekście pisany zalsnią jak złoto.

O siódmej przeciągnęła się, wstała i weszła do pokoju córki. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że nie ma potrzeby jej budzić. Szkoła nie czekała na jej córeczkę z otwartymi ramionami. Ani dziś, ani żadnego innego dnia.

Po rozmowie z Gerardem postanowiła, że Malwina nie wróci do tej szkoły. To było jedno z zadań do wykonania – znalezienie odpowiedniej szkoły. Od następnego września.

Nie chciała na razie o tym myśleć, ale nie sposób było udawać, że świat stanął w miejscu.

Nie miała wątpliwości – Gerard wykorzysta tę sprawę przeciwko niej. Czy Malwina będzie chodzić do szkoły na drugim końcu Polski?

Wolała teraz o tym nie myśleć.

Wyszła z pokoju córki. Wzięła prysznic, przygotowała śniadanie i zostawiła je nakryte przezroczystą miską. Sama nie była w stanie nic przełknąć.

W radiu pojawiła się pierwsza. Wyludnione korytarze zdawały się obce, zbyt ciche, nierzeczywiste. Szybko weszła do swojego pokoju, rozłożyła papiery i wyłożyła nogi na biurko. Z przyjemnością oglądała fioletowe zamshowe szpilki. „To był dobry zakup” – pomyślała.

Gdy Dorota dotarła do redakcji, gwizdnęła.

– Albo coś bardzo dobrego, albo fatalnego – powiedziała zamiast „dzień dobry”.

– Nie pytaj...

Dorota uniosła dłonie w obronnym geście.

– Zrobię kawę.

– Dla mnie też. – Bożena westchnęła.

– Potem razem usiądziemy...

– I będziemy się cieszyć słonecznym porankiem – przerwała jej Bożena.

Dorota cmoknęła i spojrzała za okno. Chmury wisiały pół metra nad dachami, mżawka czyniła z dnia zmrok. Skrzywiła się i usiadła za biurkiem.

– Sądząc po twojej minie, coś nie gra. Padł ci dysk i straciłaś wszystkie teksty? Nie zgrałaś materiałów z dyktafonu czy jak?

– Chyba żartujesz! – oburzyła się Bożena.

Dorota uniosła brwi.

- Tylko część - przyznała Bożena. - Przygotowałam duży wywiad, zostało jeszcze trochę pracy. Wszystko ogarnę na spokojnie. Będzie tego na kilka audycji i sporo pisanie dla „Wiadomości”. Puściłam wczoraj breaking news, ale to mało. Temat zasługuje na więcej.

- W ratuszu pewnie mają rozstrój żołądka, co?

- Żebyś widziała minę prezydenta! Akurat kończyliśmy rozmowę, kiedy weszła seledynowa z nerwów sekretarka i oznajmiła nowinę. Nie miałam pomysłu na puentę naszego wywiadu, a w świetle tej katastrofy przestało to mieć znaczenie. I chyba prezydentowi też wtedy przemknęło przez głowę, że utrwali się jako „ten od zawalonego wiaduktu”. Teraz u nich w PR-ze wszystkie ręce na pokład, ale nie wiem, czy wymyślą coś wystarczająco dobrego.

- Czyli wszystko u ciebie w porządku.

- Czy wy musicie ryczeć jak mastodonty? - zapytał Edmund, niespodziewanie wchodząc do ich pokoju.

- Takie stare, a jednak wciąż jare - mruknęła Bożena.

- No właśnie. Cieszę się, że wciąż jesteście tak pełne energii. W przyszłym miesiącu przyjeżdża do Koszalina znana pisarka. Musimy mieć z nią wywiad - zwrócił się do Doroty.

„Choć raz ode mnie nic nie chce” - pomyślała Bożena i pochyliła się nad laptopem.

- Za pół godziny jadę do notariusza - oznajmiła, gdy Edmund skończył perorować.

- Testament Fabiańskich - ożywił się Edmund. - Całe miasto nim żyje. Tylko zrób z tego ciekawy materiał - powiedział i wyszedł.

Redaktorki pokręciły głowami i zajęły się swoją pracą.

„W sumie nie powiedziałam Dorocie o Malwinie” - uświadomiła sobie Bożena. „Jeszcze zdążę”.

Odczytanie testamentu zaplanowano na czternastą. Poza rodziną obecnych było kilku przedstawicieli mediów, sprawa budziła zainteresowanie. W kancelarii Mietka panował zatem tłok. Zebrani słuchali w ciszy, na skupionych twarzach trudno było rozpoznać emocje. „Spodziewałam się większych fajerwerków” - pomyślała dziennikarka po odczytaniu dokumentu. Ciąg kwot, procentów, wymienianych nieruchomości, nazw firm. Do tego przypisane imiona. Na koniec kilka mniejszych kwot, jak przystało na kreskę. Dla pracowników, służącej, ogrodnika. Oraz dokładnie wyliczona znacząca kwota dla spadkobierców jej męża. Dokładnie tak to zostało sformułowane. Żadnych nazwisk.

Dopiero gdy notariusz skończył, odezwała się Agnieszka.

- To niemożliwe - powiedziała.

- Co ma pani na myśli? - zapytał Mieczysław.

- Artur miał zostać wydziedziczony - stwierdziła.

- Pani wybacz. Odczytałem państwu ważny testament. Nie jest moją rolą ocenianie zamierzeń spadkodawcy. Operuję faktami.

- Skąd pomysł, że babka miała mnie wydziedziczyć?

- Bo czekała na wnuka od ciebie, palancie - wyszczała Agnieszka.

- A ty skąd możesz to wiedzieć, co? - zapiszczał Artur. - Nie było cię tutaj od lat!

- Smarku jeden, rozmawiałam z mamą regularnie przez telefon. Babka miała przepisać na moje dzieci znacznie więcej, a tobie postawić warunek, że wreszcie się ustatkujesz. Żona, dzieci, wiesz, takie tam, nudne codzienne sprawy. Odpowiedzialność, jednym słowem: nielubiana przez ciebie sprawa. A moje dzieci zasługują na więcej! Też nazywają się Fabiańscy!

- Nie atakuj mojego syna - zainteresował Stefan Fabiański. - Jest spadkobiercą. Legalnym. Dziedziczy zgodnie z wolą babki.

- Akurat - wtrącił Władek. - Dziedziczy naszym kosztem.

- A ty o co się upominasz? Nigdy nie włożyłeś żadnego wysiłku w naszą rodzinę. O dzieciach nie wspominając - atakowała Agnieszka.

- Należy mi się jak każdemu z was. Jedna trzecia. Potrzebuję tych pieniędzy! - wykrzyknął. - A te bękarty po ojcu? Niby oni zasłużyli na naszą kasę? To powinno być moje!

Bożena próbowała wtopić się w ścianę. Chciałaby stać się niewidzialna. Stefan Fabiański jednak nie zapomniał o jej obecności. Zmierzył ją swoim stalowym spojrzeniem i zacisnął wargi w wąską kreskę.

- Moi drodzy, powściągnijmy emocje. Są z nami media, więc rodzinne dyskusje możemy przeprowadzić później. I gdzie indziej.

- Czy zamierzacie państwo podważyć testament? - zapytała Bożena z grubej rury. Nie było na co czekać. Zaraz wszyscy się rozejdą, nie będzie więcej okazji.

- Absolutnie nie - odpowiedział Artur Fabiański.

- Niewykluczone - stwierdziła Agnieszka.

- Oczywiście! - wykrzyknął Władek.

- Pod żadnym pozorem - skwitował Stefan. Po czym wstał i władczy gestem wskazał na wyjście.

Bożena nie zamierzała go słuchać. Był tutaj gościem, tak samo jak każdy inny. Tylko Mietek mógł kogoś wyprosić. Nestor rodu jednak nakazał w ten sposób wyjść rodzinie. Nie było szansy dowiedzieć się niczego więcej.

Familia Fabiańskich rozchodziła się skwaszona, Bożena podeszła do Mieczysława.

- Myślę, że ktoś z tego szacownego grona pomógł staruszce przenieść się na tamten świat - powiedziała głośno.

Fabiańscy odwrócili się, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Czy pani jest... - zaczął Stefan. Chrząknął. - Czy pani dzisiaj piła?

Mieczysław kaszlnął.

- To chyba... - zaczął niepewnie.

- To absurdalne - zachnęła się Agnieszka.

- Wychodzimy - stwierdził Stefan.

Tylko Władek popatrzył na nią z zastanowieniem.

- Przesadziłaś - stwierdził Mietek.

- A tam. Prawda w oczy kole - odparła.

- Nie wykorzystuj mojej kancelarii do szerzenia tak poważnych oskarżeń. Zresztą, żadnych oskarżeń. Bo przestanę cię lubić.

- Więcej nie będę - stwierdziła zgodnie Bożena.

Wróciła do radia rozemocjonowana. Opowiadała wszystko Dorocie, gdy do ich pokoju wszedł Edmund. Jak zawsze bez pardonowo. Wypytywał Dorotę o zaplanowany wywiad z pisarką, choć nigdy wcześniej nie interesował się takimi detalami. „Widocznie musi lubić jej książki” - pomyślała Bożena.

- A u ciebie jak? - W końcu i na nią szef skierował uwagę.

Opowiedziała w kilku zdaniach o rodzinnych animozjach.

- Moim zdaniem ktoś zamordował tę staruchę, żeby nie podpisała nowej wersji testamentu - zakończyła triumfalnie, a Edmund spojrział na nią z ironią.

Uniósł brwi z niedowierzaniem i stwierdził:

- To chyba ciut za daleko posunięta supozycja.

Bożena wzruszyła ramionami.

Edmund coś tam jeszcze chrumkał, ale już go nie słuchała. „Co za cham i brutal. Czego się zresztą można po nim spodziewać! Paskudny karakan” - myślała. „Bo mądrzy ludzie zawsze mają pod górę. Jak ktoś widzi więcej niż inni, jest na straconej pozycji. Nikt mi nie wierzy!” - uznała rozżalona. A właściwie - coraz bardziej wkurzona.

Rozdział 17

Sny wybudzały ją w nocy wiele razy. Przed szóstą wstała, uznawszy, że szkoda marnować czas. Zostawiła śpiącą Malwinę w domu, młoda zwykle tak reagowała na problemy – przespiała je. Dorota wpadła do ich radiowego pokoju tylko na chwilę, do wieczora planowała spędzić czas w studiu, z gośćmi umówionymi co godzinę. Bożena jej nie zazdrościła. Radiowy głos brzmiał pięknie w eterze, jednak mówienie do mikrofonu przez kilka godzin było obciążające i wokalnie, i – przede wszystkim – mentalnie. Na szczęście nagrania dawały trochę swobody, można było pociąć i montażem zapanować nad ewentualnymi wpadkami. Pokój socjalny też świecił pustkami. Jak na złość – akurat teraz Bożena potrzebowałaby z kimś pogadać. Albo tak jej się wydawało.

Po kilku godzinach pracy zadzwoniła do matki.

– Jak to kłopoty zbliżają. – Usłyszała na wstępie i od razu zgrzytnęła zębami.

Trudno zaprzeczyć, przed aferą z Malwiną dzwoniła do matki... nie pamiętała. Nastolatka zmusiła je do komunikacji.

– Każdy sposób dobry, żeby miło zacząć – odpysknęła Bożena.

– Zawsze potrafiłaś boleśnie dojść do sedna.

Zamilkły. Bożena westchnęła, matka czekała.

– Jesteś tam jeszcze? – zapytała rodzicielkę, nie słysząc nawet oddechu po drugiej stronie.

– Czekam – odparła. – Jak przez większą część mojego życia. Zadzwoniłaś, zakładam, że masz sprawę.

– Właściwie to Malwina ma sprawę.

– To daj ją do telefonu.

– Jestem w pracy.

– To niech twoja córka zadzwoni.

Bożena westchnęła.

– Sprawa dotyczy Malwiny...

– Ale masz ją ty, prawda? – uzupełniła matka.

– Boję się – powiedziała Bożena.

– W końcu zaczynamy rozmawiać. – W głosie matki po raz pierwszy od dawna nie usłyszała złości. –

Przyjeźdź. Moje mieszkanie to jest twój dom.

Rozłączyła się bez słowa, nie czekając na odpowiedź.

Bożena zaparzyła kawę, usiadła przy biurku i przymknęła oczy. Zamierzała zlekceważyć słowa matki i zająć się pracą.

– Czy dałabyś radę nagrać krótką sondę uliczną? – Rozmyślenia przerwał jej kolega z redakcji sportowej. – Nie dam rady dzisiaj się wyrwać, a muszę mieć...

– Chętnie, ale nie dzisiaj. – Bożena zerwała się i sięgnęła po torebkę. – Mam bardzo pilną sytuację rodzinną. Muszę natychmiast jechać. Wiesz, kłopoty z córką, matką... Wybacz. Jutro wszystko ci nagram – powiedziała, wychodząc.

– Ale...

Bożenie zdawało się, że usłyszała w korytarzu jeszcze jeden głos. Nie obejrzała się jednak. Już zbiegała po schodach.

„Mój dom?” – myślała z przekąsem. „Jasne, na zasadach matki. U niej nawet słowa muszą padać odpowiednie”. Przypomniała sobie lodowaty głos upominający ją po każdym wypowiedzianym przekleństwie.

Co oczywiście prowokowało do wypowiedzania warczących słów częściej, głośniej i z ułańską fantazją.

Dopóki mieszkała w domu, musiała nawet ubierać się zgodnie z gustem matki. Spódnica do pół łydki, buty na trzycentymetrowym słupku, pod szyją rozpięty maksymalnie jeden guzik. Stonowane kolory, najlepiej barwy ziemi i inne szraczkowate odcienie.

Dlatego Bożena wyprowadziła się z domu przy pierwszej nadarzającej się okazji. A właściwie bez okazji. Koleżanka miała wolny pokój, bo jej brat wyjechał na studia. Żadnych specjalnych wygód ani nawet przyjemności z mieszkania przy rodzinie. Nie potrafiła cieszyć się wspólnymi posiłkami, we wspólnej łazience nie zostawiała kosmetyków, ubrania prała ręcznie, by nie wrzucać ich do kolektywnego brudownika. Nie była u siebie, choć z koleżanką nawet się lubiła.

A gdy się zakochała w pierwszym chłopaku, zrobiła to całą sobą. Decyzję o wspólnym zamieszkaniu podjęła dwa tygodnie po poznaniu miłości, która miała być na całe życie. On miał dwudziestosiedmiometrową kawalerkę po babci, Bożena uważała ją za pałac.

Mieszkali razem kilka miesięcy i okazało się, że klócić się można zaocznie. Bożena wyrzekała na chłopaka do lustra i w każdej rozmowie, z kimkolwiek. Pewnego dnia poczuła, że ma ochotę go uderzyć. Przeraziła się i jeszcze tego samego dnia, nie tłumacząc nic nikomu, po prostu się wyprowadziła.

Żadne z nich za sobą nie tęskniło.

Bożena zamieszkała wtedy kątem w akademiku. Rozpoczął się korowód mieszkań, pokoików, łóżek ustawionych w przedpokojach lub materacy rzuconych w kuchni koło kosza na śmieci.

Gdy w końcu dostała pierwszą umowę o pracę, natychmiast postarała się o kredyt. Trzydziestodwumetrowe mieszkanie Bożena spodziewała się spłacać przez siedemnaście lat.

W tak zwanym międzyczasie jednak zmarł ojciec i ku jej zdumieniu odziedziczyła po nim całkiem okrągłą sumę. Nie oczekiwała tego, jednak matka bez słowa komentarza zażądała innego podziału spadku, zrzekając się swojej części na rzecz córki.

W ten sposób Bożena spłaciła swoją kawalerkę i poczuła się panią na włościach. Po czym poznała Gerarda, który miał swoje mieszkanie, odziedziczone po babci, blisko sześćdziesięciometrowe. Zamieszkała tam, a Bożena swoje lokum wynajęła.

Po rozwodzie przepisała je na Gerarda, większe mieszkanie zostało dla niej i Malwiny. „Chociaż raz okazał się bardziej ojcem niż chujem” – skomentowała wtedy z właściwą sobie delikatnością.

Utknęła na chwilę we wspomnieniach, bo wizyta u matki zwykle wiązała się ze stresem. Nie dogadywały się, w okresie dorastania Bożena ufała ojcu, nie matce. Zarzucała jej wieczną nieobecność, emocjonalny chłód, brak zainteresowania sprawami córki.

Po śmierci ojca matka zamknęła się w czterech ścianach, a Bożena poczuła się podwójnie opuszczona. Przez zmarłego i przez tę, która pozostała. „Bo twoja żałoba jest ważniejsza niż moja!” – wykrzyknęła któregoś dnia do matki i od tego czasu ich relacje na pewien czas przestały istnieć. Nie po raz ostatni przecież.

– Trzeba było kłopotów z Malwiną, żebyśmy zaczęły ze sobą rozmawiać. Może bardziej warczeć, ale jakoś komunikować – powiedziała do siebie, parkując przed blokiem.

Weszła jeszcze do pobliskiego marketu, kupiła dwa pączki i dwa warkocze z syropem klonowym. Matka je uwielbiała.

– Warkocze pojednania – powiedziała matka w drzwiach, przyjmując torebkę z ciastkami. Wiedziała, że córka ich nie znosi, uważając za przesłodzone.

Mierzyły się chwilę wzrokiem – kobieta w ciemnoszarej spódnicy do połowy łydki, białej bluzce z żabotem i przydeptanych kapciach ze swoją wierną kopią. Te same rysy twarzy, takie same kręcone rude włosy, cycki tej samej wielkości. A jednak stanowiły negatyw – spódnica córki była krótka i świeciła neonowym różem. Zamsz granatowych szpilek na stopach Bożeny był demonstracją – starsza z kobiet od zawsze kry-

tykowała ten materiał jako zupełnie niepraktyczny. Do tego rozpięta srebrna kurtka, pod nią żółta, przylegająca do ciała bluzka z szerokim dekoltem.

– Zrobiłam kawę – powiedziała matka, otwierając szerzej drzwi.

Bożena doceniła starania. Wiedziała, że kawa będzie zbyt gorzka, parzona w przelewowym ekspresie z lekko zwietrzałych ziaren, dawno temu zmielonych. Nie miała jednak siły na narzekanie.

Gdy usiadły przy stole „jamniku”, na którym wciąż widać było ślady cyrkla – Bożena pamiętała doskonale, że właśnie tutaj rysowała i wycinała z tatą kółka z brystolu, z których potem kleili świąteczne ozdoby – matka od razu oznajmiła:

– Dzwoniła do mnie Malwina.

– Mogłam się spodziewać. Chce rozmawiać ze wszystkimi, tylko nie ze mną.

– Jakbym skądś to znała – odpowiedziała matka.

– Myślisz, że wyssała to z mlekiem matki? Za krótko ją karmiłam cykiem.

– Myślę, że popełniasz takie same błędy jak ja.

Bożenę przytknęło. To dopiero okazja! Matka nie jest nieomylna! Wreszcie szansa na to, by wytoczyć z garażu pamięci walec i przejechać po matce jak po rozjeżdżonej polnej drodze.

A jednak zostawiła wszystkie emocje na miejscu.

– Chciałabym pomóc córce.

– Wiem. I nie potrafisz się z nią dogadać. Jak ja to doskonale rozumiem. Wytłumaczę ci to tak, jak umiem. – Matka wykonała gest uciszający Bożenę, która z trudem powstrzymała się przed ripostą. – Może nie wszystko potrafię dobrze opisać, ale z boku i tak widać wyraźniej. Odpuść jej. Nie musi mieć piątek. Nie musi nosić zawsze czystych ubrań pod kolor. I nie musi zawsze punktualnie stawiać się na harcerskich zbiórkach. Daj jej swobodę. Malwina jest mądra, potrzebuje tylko ciut wolności i szybko sama zrozumie, że zakazy to nie ograniczenia, a zasady pomagające dobrze wykorzystać czas i energię.

– Jesteś nie na czasie. Na zbiórki harcerskie Malwina nie chodzi już od...

– ...dwóch lat – przerwała jej matka.

– ...pół roku – powiedziała Bożena niemal równocześnie.

Patrzyły na siebie w milczeniu.

– I nie jest już piątkową uczennicą – dodała Bożena.

– Ale wciąż ma średnią powyżej cztery siedemdziesiąt pięć.

– A czysta chodzi, bo jej piórę wszystko na czas.

– Albo ja to robię, szczególnie te najkrótsze spódniczki, których nie chcesz nawet widzieć.

– Ty mnie pouczasz, że warto ubierać się zgodnie z własną fantazją? – fuknęła Bożena.

– Być może już się tego nauczyłam. Ty wciąż nie.

– Popatrz na mnie! – Bożena zaśmiała się mrocznie. – Widzisz to zestawienie? Fuksjowy róż i żółć. I zamszowy granat na stopach.

– Widzę – odpowiedziała spokojnie matka. – To tylko demonstracja. Pokazujesz nogi, bo chcesz mi udowodnić, że to nic złego. Świecisz dekoltem, bo ja ci tego zakazywałam. Uważałam za niewłaściwe, by nastolatka epatowała ciałem. Dorosłaś, choć wciąż zachowujesz się jak dziewczynka. Sprawiasz, że mężczyźni ślinią się na twój widok, i o to ci chodzi. Żeby mieli na ciebie ochotę, prawda? Wodzis ich za nos dla sportu.

– Faceci lubią ze mną rozmawiać. – Bożena uniosła wysoko głowę. – Jestem uznaną dziennikarką, nikomu nie muszę udowadniać intelektu.

– Serio? – zapytała matka, opuszczając głowę. Upiła łyk z filiżanki.

Bożena syknęła. W jednej chwili przypomniała sobie męskie spojrzenia. Oblepiające jak spocone dłonie, przyklejające się do pośladków, rozbierające, nachalne. Nawet podczas służbowych rozmów. Rozbie-

gane oczy, uwaga rozproszona. Chaotyczne odpowiedzi, wzrok powracający uporczywie na dekol.

„Może dlatego zawsze mam przewagę i potrafię takiego zapędzić w kozi róg?” – pomyślała.

– Nie będziemy chyba rozmawiały o moich ciuchach? – zapytała w końcu.

– Skądże – zgodziła się matka. – Już i tak za wiele razy ci o nich mówiłam. Żadne ubrania nie są warte takiej uwagi. Ważniejsze jest to, że Malwina do mnie dzwoniła.

– Mówiłaś.

– I chce ze mną zamieszkać, aż do wyjazdu z ojcem. Co nastąpi za kilka dni.

– Słucham? Uważasz, że upilnujesz nastolatkę, która ma kłopoty z narkotykami?

– Nie z narkotykami, tylko ze sprzedawaniem maryški – odpowiedziała matka spokojnie. – I oczywiście nie wiem, czy dam radę, nigdy tego nie robiłam. Tak samo jak ty. Ale w odróżnieniu od ciebie ja jestem w domu stale, a ty bywasz wieczorami. Malwina zaś potrzebuje przede wszystkim czyjejs obecności.

– Mogę wziąć urlop! – odpowiedziała Bożena z kamiennym spokojem, choć w środku gotowała się z wściekłości.

Matka przechyliła głowę, patrząc na córkę. Bożena była przekonana, że ironicznie. Rozejrzała się po pokoju. „Warto by wymienić tapetę” – pomyślała. Tę też kładła z ojcem, jak wszystkie pozostałe w mieszkaniu. Doskonale pamiętała skomplikowane dopasowywanie gęstego wzoru na niewielkiej ścianie. Tapeta była gruba, na tamten czas bardzo nowoczesna, winylowa, ryflowana, twarda. I choć w dwóch miejscach zaczęła trochę odchodzić od ściany, wciąż trzymała się niezłe.

Matka nie dała sobie wstawić nowego telewizora – wciąż stał ten, który kiedyś kupił ojciec. Wtedy nowoczesny, plazmowy, bająnsko drogi, dzisiaj już niemal bezwartościowy. Pod nim szydełkowa serwetka zwisająca niemal do ziemi. Kryształowy w oszklonej części meblościanki. Czas zatrzymany w pamięci, a może miejsce poza czasem.

A jednak jej matka żyła w tym mauzoleum, a córka właśnie tutaj chciała się przeprowadzić.

„Jestem naprawdę do dupy matką” – pomyślała Bożena. Głośno zaś powiedziała:

– Skoro Malwina tego chce, przywiozę ją do ciebie jutro.

– Może lepiej dziś wieczorem? – odezwała się matka. Bożena wypatrywała oznak triumfu, widziała jednak tylko troskę. – Lepiej, żeby nie była sama. Ty pojedziesz rano do pracy...

– Dobrze. Dopiję kawę i pojedę po młodą. Przywiozę ją jeszcze dzisiaj – powiedziała Bożena. Jednym haustem wypijała kawę, zgodnie z oczekiwaniami niesmaczną, i wyszła, nie żegnając się z matką.

Wstąpiła jeszcze do sklepu z gospodarstwem domowym. Mydło i powidło zapychało półki, nie dostała jednak tego, czego oczekiwała. Wróciła pod dom matki i ponownie weszła do marketu za blokiem. Dobrze jej się zdawało. W koszach, pomiędzy formami do ciasta, kompletami ręczników z cienkiej bawełny i ręcznych mikserów o niewielkiej mocy znalazła kapsułkowy ekspres do kawy. Kupiła taki z czerwoną obudową, choć była przekonana, że matka wolałaby metaliczną niebieską. Do tego cztery paczki kapsułek, różnych.

Zapakowała pudło do bagażnika i dopiero wtedy pojechała po córkę.

Malwina czekała na nią ze spakowaną torbą.

– Jesteś pewna? – zapytała Bożena bezradnie.

Młoda kiwnęła głową.

– Tu mnie znajdą – powiedziała.

– Spłacimy twoje zobowiązania – odpowiedziała Bożena.

– Ja to wiem, ale oni nie.

– Tylko tego się obawiasz?

Młoda popatrzyła na matkę uważnie i pokręciła głową.

– Tutaj jestem sama. Czasem ściany zaciskają się wokół mnie. Wydaje mi się, że muszę wybiec z mieszkania, by oddychać. Jeśli się tam pokażę, nie minie pół godziny, a będą mnie nachodzić... różni. Poza tym

nie chcę widzieć koleżanek wracających ze szkoły. No i... Po prostu chcę jechać do babci.

Nie było wiele do dodania. Bożena zapakowała bagaż córki i ją samą do samochodu, uświadamiając sobie, że nawet nie sprawdziła, co młoda włożyła do torby.

„Może i moja rodzicielka była kiepską matką, jaką i ja jestem. Nauczyła mnie jednak gotować, prasować i radzić sobie w życiu. Malwinie też to pokaże, przynajmniej w takim zakresie jak mnie. A poza tym przez dwa dni nie zdąży mi zepsuć córki... Zresztą, bzdury wymyślłam” – zrugowała się. „Z jednej strony sądzę, że matka nauczy Malwinę pragmatyzmu, z drugiej podkreślam, że nie zdąży jej zepsuć, a więc także i niczego nauczyć. Dlaczego tak kombinuję?” – zastanowiła się.

– Bo się boję – odpowiedziała sama sobie, ale tak bardzo, bardzo nieśmiało. Tak, że sama ledwie usłyszała. Córka siedząca obok z pewnością nie.

Kiedy podjechały przed blok, Malwina wyskoczyła z samochodu i zanim Bożena wyłączyła silnik, już szarpnęła torbę z bagażnika.

– Dziękuję, mamoo! – Cmoknęła Bożenę w policzek i skierowała się w stronę klatki schodowej.

– Poczekaj, pomogę ci.

– Nie trzeba. Wracaj do domu – rzuciła dziewczyna.

Bożena dawno już nie czuła się tak niepotrzebna.

– Chce mi zabrać córkę – powtarzała półgłosem. – Gerard zabierze mi Malwinę.

Przypomniała sobie, że powinna zostawić dla niego paczkę u matki. Nie miała najmniejszej ochoty widzieć byłego męża. „Zapewne zamordowałabym go bez zbędnych tłumaczeń” – pomyślała. Wysiadła z samochodu, zaniósła do mieszkania matki niewielką siatkę i szybko wróciła do auta. Wściekłość wciąż w niej buzowała, przestała już jednak trząść się jak wiotka trzcinka nad Jamnem w wietrzny dzień.

Gerard miał następnego dnia załatwić sprawę długu Malwiny. Uzgodnili szczegóły, Bożena udostępniła mu służbowy sprzęt. W tym akurat byli zgodni, zwrot długu chcieli mieć udokumentowany. Choć właściwie jak mieliby to kiedykolwiek wykorzystać? Panowie od długu w sytuacjach konfliktowych raczej nie bywali zainteresowani dowodami, używali innych argumentów. A policja? Potrzebowałyby informacji, skąd się wziął dług... A jednak obydwójce uznali, że dobrze mieć nagranie.

A potem ojciec Malwiny zabierze młodą na drugi koniec Polski. Co gorsza, razem z czule otwierającą ramiona Otylią, o czym dowiedziała się od córki. Ta myśl znów wywołała u Bożeny dreszcz wściekłości. „Ale może przez kilka miesięcy te gnojki od maryśki zapomną o Malwinie” – westchnęła, próbując się uspokoić.

Zacisnęła wargi, wciąż w złości. Zobaczyła przed sobą czerwone światło, zatrzymała się za stojącym już przed skrzyżowaniem autem. Niebieski ford focus, poprzedni model. Tyle zauważyła.

Rozbłysło zielone, ford nie ruszał. Bożena lekko zatrąbiła. Była zmęczona i zła, nie miała ochoty czekać. Zamierzała właśnie bardziej zdecydowanie nacisnąć klakson, gdy drzwi forda się otworzyły. Wysiadł z niego starszy pan w czapce nasuniętej głęboko na czoło. Niewysoki, w skórzanej kurtce eksponującej wystający brzuch. Machnął do niej przepraszająco i podszedł do bagażnika.

Bożena zmeła przekleństwo.

– Przeczekam – powiedziała, stukając palcami w kierownicę.

Gdy jednak zapaliło się ponownie czerwone, zgasło kolejne zielone, a starszy pan wciąż grzebał w bagażniku, Bożena wysiadła ze swojego auta. „Pewnie powinnam go wyprzedzić i pojechać dalej” – pomyślała. „Ale może staruszek potrzebuje pomocy. Zapytam, sprawdzę...”

Otworzyła drzwi auta i wystawiła stopy na zewnątrz. „Pieprzona pogoda” – pomyślała, bo już po pierwszych trzech krokach poczuła wilgoć w butach.

– Czy potrzebuje pan pomocy? – zapytała i było to ostatnie, co zapamiętała.

Rozdział 18

Dzień był długi. Odczuwała zmęczenie większe niż ogromne, nie mogła sobie jednak pozwolić na odpocznik. Musiała biec, zdecydowanie szybciej niż na szkolnych zawodach lekkoatletycznych. Tam laur zwycięstwa bez żalu oddała ówczesnej – chwilowej – przyjaciółce, która potrafiła wyłącznie biegać. Zresztą, był to gest całkowicie niepotrzebny – relacja i tak nie przetrwała. Koleżanka rok później przeprowadziła się do innej części miasta, znajomość umarła.

Teraz jednak nagrodą nie miał być plastikowy puchar, z którego jeszcze przed wręczeniem odchodziła pozłotka. W tej chwili Bożena walczyła o życie.

Uciekała z domu, w którym młody Fabiański chwilę wcześniej sięgnął po nóż. Bożena dostrzegła w jego oczach szaleństwo, ten błysk pozbawiony refleksji, upodabniający człowieka do zombie. Podczas rozmowy praktycznie się nie odzywał, słuchał tylko dyskusji Bożeny ze Stefanem Fabiańskim. Senior próbował wykpić oskarżenia Bożeny, jawnie wyśmiewając jej teorię, Artur stał za krzesłem ojca z opuszczonymi oczami. Rękami błądził po oparciu mebla, jakby gładzeniem pieścił drewno.

A gdy w końcu wydał z siebie jakiś dźwięk, było to syczenie. Jakby odezwał się Voldemort.

– Neeee będzieszszz mnieee przecieźźz oskarżaaa, prawdaaa?

Mówiąc to, młodszy z Fabiańskich uniósł jednocześnie oczy i właśnie wtedy Bożena zrozumiała, że musi natychmiast uciekać. Artur jej nie gonił, choć było oczywiste, że nie pozwoli jej odejść w spokoju. Po prostu ruszył w stronę kuchni, po nóż najostrzejszy z ostrych.

I już chwilę później Bożena, uciekająca po idealnie przystrzyżonym trawniku, z sandałkami na obcasie w ręce, bardziej poczuła, niż usłyszała jego oddech za sobą.

Krzyknęła i usiadła spocona na łóżku.

– Powinam wiedzieć, że to tylko głupia senna mara – powiedziała półgłosem. – Miałam na sobie krótki kożuszek, nie założyłabym do niego sandałków. A już na pewno nie tych z brylancikami.

Wzięła oddech i zgięła się z bólu. Rozejrzała się, nie poznając otoczenia. Oślepiło ją światło.

„No bez jaj” – pomyślała. „Serio? Już jestem po drugiej stronie?”

Skupiła się.

– Oddycham. I boli mnie całe ciało. Czyli pewnie żyję. Co tu się, do licha, dzieje? – Wydawało jej się, że to pomyślała, ale chyba powiedziała na głos.

– Odpoczywaj. – Usłyszała męski głos. Ten, który bardzo chciałaby w tej chwili usłyszeć.

Zamrugła i spojrzała wprost na byłego męża. Pochylił się przy jej szpitalnym łóżku. Z drugiej strony siedziała matka, a pod ścianą Malwina. Głowa tej ostatniej, pochylona, wisiała nisko nad komórką.

– Bogu dzięki! – wykrzyknęła matka.

– Miałś sporo szczęścia – dodał Gerard.

– Co się stało?

– Wypadek. Ktoś na ciebie wjechał. Pamiętasz coś?

Bożena pokręciła głową.

– Pewnie zaraz przyjedzie policja. Musisz wszystko opowiedzieć.

Nagle wróciło wspomnienia niebieskiego forda, błysk czerwonego lakieru w kącie oka. Obraz i mrok, uderzenie, upadek.

– Ktoś mnie potracił – powiedziała.

Gerard dotknął delikatnie jej ręki. Poczuła dreszcz, którego się nie spodziewała.

- Strasznie buczy ta jarzeniówka - powiedziała skrzepowana.
Jej były mąż natychmiast zabrał rękę. Niezręczny moment przerwało wejście policjanta.
- Pójdziemy już - powiedział Gerard. A po chwili pochylił się nad nią i wyszeptał wprost do ucha byłej żony: - Załatwiłem sprawę, spłaciłem gnoi. Mam nagranie. Sprzęt włożyłem do twojej torby.
Odprowadziła wzrokiem rodzinę, zastanawiając się, co właśnie się wydarzyło.
Opowiedziała policji wszystko, co pamiętała. Nie było tego wiele. A gdy skończyła i policjant pożegnał się służbiście, pomyślała: „Czas wychodzić z tego bajzlu”.
Usiadła, lekko zakręciło jej się w głowie. Skrzywiła się, dotkliwie zakłuło ją w boku.
- Co pani wyprawia? - Usłyszała od drzwi.
W pierwszym odruchu Bożena chciała zaprotestować. Pielęgniarka nie zapukała. Szpital to jednak nie miejsce na dworskie maniery. Opuściła.
- Wstaję - odpowiedziała spokojnie.
- Proszę się położyć! - rozkazała pielęgniarka. - Zawołam lekarza.
Już po kilku minutach nad Bożeną pochylało się kilka twarzy.
- Obudziliśmy się? Wspaniale - powiedziała jedna z lekarek.
„Tak, my, królowa angielska, obudziliśmy się z jakiejś pieprzonej popołudniowej drzemki” - pomyślała Bożena. Nic jednak nie powiedziała.
- Musi pani teraz leżeć i odpoczywać - powiedział lekarz.
„Przynajmniej nie mówi do mnie per wy” - pomyślała Bożena.
- Jak długo tu leżę? - zapytała.
- Wczoraj panią przywieźli.
- Trochę więcej niż drzemka - odpowiedziała.
- Słucham?
- Tak mi się wyrwało. Chciałabym dostać moje rzeczy i proszę o zamówienie taksówki.
- Miała pani dużo szczęścia - powiedział lekarz. - Lekki wstrząs mózgu i dwa pęknięte żebra. Odskończyła pani w ostatniej chwili spod kół nadjeżdżającego samochodu. Jednak musi pani się oszczędzać. Nie wolno pani nadwierać lewej ręki. Pęknięte żebro nie wymaga gipsu, ale może być groźne. Poza tym...
- Wypisuję się na własne żądanie - powiedziała Bożena.
- Zaraz tu będzie pani mąż - wtrąciła pielęgniarka.
- Były mąż, ale świetnie. Zaoszczędziłabym na taksówce, gdyby nie fakt, że właśnie stąd wyszedł.
- Nie może pani...
- Nikt chyba nie oczekuje, że będę spokojnie leżeć w szpitalu, kiedy morderca grasuje na wolności.
- Morderca? - Pielęgniarka spojrzała z niedowierzaniem.
- Od łapania złoczyńców jest policja - łagodziała lekarka.
- A ja proszę o wypisanie mnie ze szpitala. Natychmiast.
- Niech pani wstanie - zaordynował lekarz.
Bożena spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi. Pielęgniarka wyjęła kropłówkę, Bożena stanęła na nogach.
- Kręci się pani w głowie? - zapytał lekarz.
- Nie - odpowiedziała niepewnie.
- Ale będzie - stwierdził lekarz. - Jeśli pani wyjdzie, zawroty głowy mogą pani przeszkadzać w codziennym funkcjonowaniu. Może pani upaść, doznać urazu głowy. W tym wypadku miała pani szczęście, czy będzie pani dalej towarzyszyć?
- Dzień dobry! - Bożena usłyszała głos Gerarda.
- A pan to? - zapytała pielęgniarka.

- Jestem mężem tej pani - powiedział Gerard.
- Byłem mężem - uzupełniła Bożena. - I właśnie wyszedłeś.
- To proszę przemówić żonie do rozsądku - stwierdził lekarz. - Doznała wstrząśnienia mózgu, ma też dwa pęknięte żebra z lewej strony. Powinna zostać na obserwacji co najmniej kilka dni.

- Jeśli moja żona zdecydowała inaczej, to musi być tak, jak ona chce.
- Pan także oszalał? - uprzejmie wyraził swoje zdanie lekarz.
- Właśnie - oznajmił Gerard z uśmiechem. - Pomogę ci - zwrócił się do Bożeny.
Lekarz pokręcił głową, w końcu wzruszył ramionami. Dezaprobata wisiała nad korytarzem niczym smród pod sufitem obory.

Bożena ubierała się powoli, Gerard pomógł jej spakować kilka osobistych rzeczy.
- Zawiozę cię do domu - powiedział już w samochodzie.
- Nie - zaprotestowała. - Zawieź mnie do Fabiańskich, na Rokosowo.
- Jesteś pewna? Ta cała sprawa...
- W malignie byłam w domu Fabiańskich. Przekonywałam Stefana, że Malenę otruto, on na mnie krzy-
czał, a potem Artur gonił mnie z nożem.

- I chcesz sprawdzić, czy w realu to będzie ostry nóż? - zakpił Gerard.
Spojrzała na niego z wyrzutem.
- To głupie - upierał się. - Potrzebujesz odpoczynku.
- To zawieź mnie do domu - odpowiedziała.
- Nie mamy nic do omówienia? - zagał w końcu Gerard.

Wzruszyła ramionami.
- Jest szansa, że mój kontrakt będzie trwał dłużej niż trzy miesiące. Rozumiem, że pomimo tego zga-
dzasz się na wyjazd Malwiny.

- A mam wyjście?
- Jesteś jej matką.
- Właśnie. Świadomą własnej nieudolności. Na Śląsku Malwina będzie bezpieczniejsza. Choć gdy
pomyślę, że śniadania będzie jej robiła ta oślizgła... - Bożena przełknęła rzeczownik.
- Otylia zaopiekuje się nią z całą serdecznością.
- Nie wątpię - odpowiedziała z sarkazmem.
- Tak będzie lepiej.
- Wiem - odpowiedziała. - Niestety, wiem.

Nie rozmawiali więcej. Bożena miała ochotę wykrzyknąć mnóstwo słów, odpuściła jednak.
W mieszkaniu zerknęła w stronę komputera, wzruszyła ramionami. Przeszła do pokoju Malwiny,
odczuła skurcz na widok równo zaścielonego łóżka.

- Przecież wiedziałam, że jej nie ma - powiedziała do siebie całkiem donośnie. Głos zabrzmiał absur-
dalnie w pustej przestrzeni.

Potem Bożena przewracała się w swoim łóżku przez dwie godziny. Próbowwała zasnąć.

O czwartej rano wstała i włączyła komputer. Pracą starała się zająć myśli, ale nie mogła zapomnieć
o Arturze Fabiańskim goniącym ją z długim nożem w ręce.

Przed siódmą rano była w redakcji. Zamieniła kilka słów z ochroniarzem, lubiła pragmatyczne spojrze-
nie na świat pana Bolka. Zaczął dyżur niecałą godzinę temu i cieszył się na cały dzień. Tak, wierzyła w jego
radość - mężczyźnie zostało do emerytury zaledwie kilka lat, radio było nie tylko jego pracą, przede
wszystkim stanowiło rozrywkę.

Za jakąś godzinę biura i studia miały się zapełnić pulsującym, równomiernym szumem. Nikt nie krzy-
czał, nikt nie biegał, a jednak dawało się wyczuć falujący gwar, chociaż przyczajony za szklanymi

drzwiami, skulony w czerwonych światełkach *On air*. Niewidoczny, a wyczuwalny.

Bożena zrobiła pierwszą tego dnia kawę w redakcyjnej kuchni. Przymknęła oczy, wciągnęła zapach. „Są rzeczy, które trzymają dzień w pionie. Na przykład kawa” – pomyślała.

Podskoczyła, gdy poczuła dotknięcie w prawe ramię. Odwróciła się gwałtownie, rozpryskując kilka kropel kawy na spódnicę.

– Noż cholera! – warknęła i dopiero spojrzała na przybyłą. Dorota nie wyglądała na skruszoną.

– Na szczęście masz dzisiaj sraczkowatą mini – skwitowała. – Jesteś pewna, że powinnaś już być w pracy?

– Słucham? – Bożena odstawiła filiżankę w obawie, że rozleje więcej czarnego płynu.

– Nie będzie widać plamy. Przesuń się, ja też chcę kawy.

– Moją rozlałaś – ponuro odpowiedziała Bożena. – Oszalałabym w domu. Choć wołałabym, by nikt mnie nie trącał w ramię. Od tyłu.

– E tam, kilka kropli, nie histeryzuj. Choć rzeczywiście, wyglądasz zupełnie, jakbyś wyszła ze szpitala na własne żądanie. Może jednak zwolnij? – W głosie koleżanki zabrzmiała troska.

Bożena wzruszyła ramionami.

– Młoda wyjeżdża z Gerardem na Śląsk.

Dorota nie zdążyła zareagować.

– Co tam, drogie panie? – Do kuchni wszedł kolega z redakcji sportowej. Nie lubiły go. Chodził cicho, mówił głośno, plotkował ciągle.

– Pogoda do kitu, a u nas słońce w sercach – zaświergotała Dorota. – Kawka na dzień dobry, jedna i druga, dla szanownego kolegi też ekspresik zaraz wykwęka.

– No jak wy coś wymyślicie, to mucha nie siada – mruknął.

– Ale pięknie się zaczął dzień – wtrąciła Bożena. – Czuję się jak królowa angielska.

– Co?

– Przed pierwszą kawą trudno o inteligencję, rozumiem. – Bożena przybrała współczujący ton. – Mówisz do Doroty per „wy”. Jak do jej królewskiej mości. Podłączyłam się pod to uczucie i też się czuję cesarzową. Niech będzie, że na jeden dzień, ale za to do wieczora.

– Fakt, jesteś dzentelmenem. Tak nam zrobić dzień! – poparła ją Dorota.

Szeroko uśmiechnięte wyszły z kuchni.

– Właściwie dlaczego go tak zgnoiliśmy? – zainteresowała się Dorota już w ich pokoju.

– Parszywy plotkarz – stwierdziła kwaśno Bożena.

– Coś ci zrobił?

Bożena pokręciła głową.

– Jeszcze nie.

Dorota nie powstrzymała się i parsknęła.

– Zadławię się przez ciebie. Mów o młodej.

Bożena opowiedziała w kilku zdaniach.

– I czuję się... przegrana. I do tego ta flama Gerarda. Wrrr.

– A on nie powinien być ci już obojętny?

Bożena wzruszyła ramionami, pokręciła głową i na zakończenie pokazała Dorocie język.

– Poważna sprawa. – Dorota pokiwała głową. – Zupełnie dorosła reakcja, charakterystyczna dla osób o wysoce ukształtowanej psychice, pomagająca racjonalnie zaplanować działania w sytuacji stresowej.

Bożena skrzywiła się i popatrzyła na Dorotę wilkiem.

– Skoro twoja córka interesuje cię najbardziej, co zupełnie mnie nie dziwi – kontynuowała Dorota – to musisz schować dumę głęboko do kieszeni, albo gdzie tam chcesz. Możesz nawet i między nogi, bez zna-

czenia. Musisz po prostu zająć się jej dobrem. A wyjazd z ojcem to dla Malwiny najsensowniejsza opcja. Bez względu na twoje uprzedzenia.

– Moje uprzedzenia? – Bożena puściła parę nosem. – Ja...

– Nie jajuj mi tu. Po prostu schowaj ego i pochyl się nad córką.

Bożena popatrzyła na przyjaciółkę wrogo, Dorota jednak nic sobie z tego nie robiła.

– Nie lubię cię – skwitowała.

Dorota spojrzała na nią ironicznie i nie odpowiedziała. Usiadła na obrotowym krześle i włączyła komputer.

Pracowały przez blisko dwie godziny, praktycznie się nie odzywając. Do siebie w ogóle, a gdy potrzebowały porozmawiać przez telefon, wychodziły z pokoju. W końcu ciszę przerwała Bożena.

– Pojadę do Fabiańskich – stwierdziła.

– Jesteś umówiona? Nie powinnaś zwolnić? Siedzisz w pracy, a masz wskazanie do leżenia, i to w szpitalu. Fajnie, że nie stało się nic poważnego, ale...

– Nie daje mi spokoju pewna myśl. Dlaczego we śnie Artur Fabiański gonił mnie z nożem? Muszę się śpieszyć. Rodzinka pozamyka sprawy testamentu i się rozjedzie po świecie.

– Po co tam chcesz jechać?

– Właśnie nie wiem. Coś mnie tam gna.

– W ten sposób dowiedziałam się, co planuje najgroźniejsza dziennikarka śledcza w Koszalinie – powiedziała Dorota.

Bożena pokręciła głową i zamówiła taksówkę.

Wysiadła pod bramą posesji Fabiańskich i czekała chwilę, nic się jednak nie wydarzyło. Wrota pozostały zamknięte. W końcu otworzyła się furtka, ochroniarz nie przypominał terminatora. Niewysoki, choć zapewne muskularny, pewnie wyćwiczony, ale niewyglądający groźnie. Bez słowa wpatrywał się w nią bładniebieskimi oczami.

– Do pana Fabiańskiego – powiedziała Bożena. – Jeśli pan powie, że z „Wiadomości Koszalińskich”, na pewno mnie przyjmie. – Pokazała mu przy tym prasowy identyfikator.

Kiwnął głową i znikł za furtką. Dokładnie po siedmiu minutach, które doprowadziły Bożenę na skraj wybuchu nerwowego – bo było zimno, bo nie chciało jej się czekać, bo była w fatalnym humorze – brama się otworzyła.

Tym razem na posesji panował tłok. Sam podjazd był pusty, za to z boku samochodu stały w dwóch rzędach. Różne. Dwie czarne limuzyny obok szarego granatowego miejskiego modelu z nalepką wypożyczalni samochodów i trzech kolorowych miejskich maluchów. Żadnych ekstrawaganckich, szpanerskich gablot. „Czyżby Artura nie było w domu?” – przemknęło Bożenie przez głowę.

Nie zapukała. Zaledwie dotknęła klamki, wejście stanęło otworem niczym wrota sezamu.

Usłyszała głosy po prawej, w jadalni. Ruszyła w tę stronę, miękki dywan tłumiał kroki, weszła zatem niemal niepostrzeżenie. Tylko Stefan Fabiański zarejestrował jej przybycie, siedział na wprost wejścia. Wszyscy pozostali w napięciu albo zaciskali pięści, albo usta. Mówili wprawdzie po kolei, jak przystało na teoretycznie dobrze wychowanych ludzi, a jednak jakby krzyczeli na siebie.

– Nie tego się spodziewałem! – krzyczał Artur.

Fabiański popatrzył w oczy Bożenie i zanim zdążył się odezwać, głos zabrała jego siostra.

– Czegoś żałujesz? Nie gorączkuj się tak. Pojutrze wyjedziemy, będziesz miał nas wszystkich z głowy. Nic się nie martw, tatuś zapewni ci dobrą zabawę przez najbliższe lata. Niewiele tracisz. – Jej głos ociekał ironią.

– Niewiele? – Artur Fabiański wyglądał jak Smok Wawelski przed wypiciem beczki wody.

– Dostałeś za dużo – stwierdził Władysław. – Nic nie wniosłeś do tej rodziny, a dostajesz wszystko! Powinien wejść w życie ten zapis o ciągłości rodziny, o twoim potomstwie, ty beżużyteczny gnojku!

- Ja beużyteczny? A co ty zrobiłeś dla tej rodziny, co? Wujaszku?
- Nie masz pojęcia, co znośm od twojej babki, gówniarzu - zasyczał Władek.
- Uciszymy się - odezwał się w końcu stanowczo Stefan Fabiański. - Mam gościa.

Bożena pożałowała, że przzerwali. Bardzo ją zaciekawiło to, co usłyszała.

- Zjedzcie spokojnie obiad, o ile pozwolą wam na to rozbuchane emocje. Ja porozmawiam z naszym gościem.

Wstał i w absolutnej ciszy podszedł do Bożeny. Chwycił ją za ramię poufałym ruchem, syknęła i wzdygnęła się.

- Mam uszkodzone dwa żebra - wyjaśniła, patrząc na niego chłodno.

„Poza tym nie jestem kurą, którą można prostym gestem zagonić na grzędę” - pomyślała i z trudem pohamowała się przed wypowiedzeniem tych słów głośno.

Przeszli do gabinetu, skąd Fabiański zadzwonił mosiężnym dzwonkiem, niczym dziewiętnastowieczny hrabia. Po chwili pojawiła się dziewczyna z tacą, na której stały dwie szklanki z wodą i dzbanek z kawą. Służąca spojrziała na Bożenę i opuściła szybko wzrok. „Jeszcze cię nie zwolnili, dziewczyno?” - pomyślała Bożena.

- Wodę poproszę - powiedziała Bożena niepytana.

- A ja kawę z mlekiem. - Fabiański nie mrugnął nawet okiem na jej impertynencję.

- Ja kawę piję wyłącznie smolistoczną. Diaboliczne espresso. - Miała potrzebę prowokować, była zła, rozżalona i...

I co jeszcze?

„Boję się. Po prostu się boję” - pomyślała znów.

Fabiański na szczęście nie słyszał jej myśli, dlatego chłodno powiedział:

- W takim razie poprosimy o dwa smolście czarne espresso.

Zanim dziewczyna wyszła, Bożenie zadrżała ręka. Szklanka wysunęła jej się z dłoni, woda oblała bluzkę i kanapę.

- Przepraszam! - Bożena spojrziała na siebie skrzywiona. - Czy może mi pani pomóc to wytrzeć? - zwróciła się do dziewczyny.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Zaraz przyniosę...

- Pójdę z panią. - Bożena podniosła się i stanowczo ruszyła do drzwi. - Obiecuję, nigdzie nie będę zaglądać - powiedziała do Fabiańskiego.

Skrzywił się.

Służąca bez słowa skierowała się do łazienki. Tam wyciągnęła z szafki czysty ręcznik, który jednak nie zainteresował Bożeny.

- Muszę się z panią spotkać. Na osobności - wyszeptwała.

Służąca drgnęła.

- Nie będziemy tu rozmawiać - szepiała dalej Bożena. - Niech pani powie gdzie i kiedy.

- Jutro zaczynam później. Mogę się spotkać o ósmej w Mondo przy rynku - odpowiedziała dziewczyna równie cicho.

Bożena wyciągnęła z kieszeni wizytówkę.

- W razie czego proszę dzwonić - wyszeptwała. Głośno zaś oznajmiła: - Dziękuję pani bardzo. - Tarła ręcznikiem bluzkę. - Po tym wypadku boli mnie głowa i trzęsą mi się ręce. Przepraszam za kłopot.

- Nic się nie stało, proszę pani - stwierdziła równie głośno dziewczyna.

W milczeniu odprowadziła Bożenę do gabinetu Fabiańskiego. Dziennikarka ze skruszoną miną usiadła na fotelu i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Mam wrażenie, że to nie jest najlepszy moment na rozmowę – zagał w końcu Fabiański. – Jak pani widziała, mamy rodzinne zebranie.

– Widzę. Zapisy testamentu, jak się zdaje, wciąż wzbudzają emocje, choć wydawałoby się, że mieliście czas, by je przedyskutować.

Fabiański westchnął.

– Moja świętej pamięci matka, choć wiele spraw przekazała mnie, przede wszystkim prowadzenie bieżących interesów, pozostawała jednak ich formalną właścicielką. Miała swoją wizję świata i nie omieszkała jej wyrazić. O czym chciała pani rozmawiać? Mamy uzupełnić coś w artykule dotyczącym mojej firmy? Planuje pani kolejny odcinek? A może węszy pani tanią sensacją związaną z testamentem? Słyszałem pani żenującą wypowiedź u notariusza. Poza tym przykro mi z powodu pani wypadku. – Fabiański powiedział to twardo, niechętnie patrząc Bożenie w oczy.

– Testament to znakomity temat do dyskusji – odparła.

– Wszystko jest już jasne.

– Zapisy tak. Emocje rodzinne jeszcze nie.

– Proszę pozostawić nas w spokoju.

– Wszystkich, przede wszystkim słuchaczy i czytelników, interesuje ten testament, który nie został podpisany.

– To sprawa rodzinna. Skoro coś nie weszło w życie, nie jest istotne.

Bożena zamilkła. Powinna się przecież tego spodziewać. Kto chciałby wywlekać rodzinne brudy? A jednak była dziennikarką, bardzo ciekawską, choć obolałą i niedysponowaną. Wierzyła, że poradzi sobie z wyciągnięciem informacji.

– Obawiam się, że wszystko ma znaczenie dla naszych czytelników. Interesują się sprawami tak znaczącej dla miasta rodziny.

– Myślę, że spotkamy się jeszcze nie raz i zdołam odpowiedzieć na wszystkie pani pytania. W odpowiednim czasie. A teraz, proszę wybaczyć, zaprosiłbym panią na obiad, jednak...

– Nie zamierzam stołować się na pana koszt, choć wierzę, że miejsca w pana jadalni nie zabraknie. Uważam jednak, że śmierć pana matki wzbudza pewne wątpliwości.

– Co wzbudza, przepraszam? Jak pani śmie? Moja matka leży na koszałińskim cmentarzu, w rodzinnym grobowcu. Nie wydaje mi się, żeby mogły pojawić się jakiegokolwiek wątpliwości z tym związane.

– Cóż, nie będziemy podważać niepodważalnego, prawda? – Głos Bożeny ociekał sarkazmem. – Jednak śmierć pani Maleny z punktu widzenia kilku osób miała miejsce w wyjątkowo adekwatnym czasie, prawda?

– Słucham? – Fabiański był wyraźnie wkurzony.

– Śmierć pana matki...

– Zrozumiałem, co pani powiedziała – przerwał jej znowu, tym razem obcesowo i z irytacją. – Tak w kancelarii, jak i tutaj, zresztą dzisiaj już dwukrotnie. Moja matka była leciwą kobietą. Dobięła swych dni w spokoju, otoczona opieką i miłością rodziny. Jesteśmy w żałobie, proszę to uszanować – stwierdził chłodno, wstając.

Niemal równocześnie z nim do gabinetu wsunęła się służąca. W rękach dzierżyła tacę, na niej dwie filiżanki i cukiernicę.

– Nie będziemy jednak pili kawy – stwierdził spokojnie Fabiański. – Pani już wychodzi.

– To w sumie dobrze, bo jednak bym się bała. W domu, w którym istnieje spore prawdopodobieństwo, że ktoś kogoś zamordował, lepiej niczego nie jeść ani nie pić.

Służąca drgnęła, filiżanki zadźwięczały śpiewnie. Dziewczyna błyskawicznie schyliła głowę i dygnęła. Natychmiast odwróciła się i wyszła, a Fabiański patrzył na Bożenę tak, jakby właśnie zamierzał dokonać mordu.

– Pójdę już, żeby obiad panu nie wystygł – powiedziała z uśmiechem.

Wyszli z gabinetu, z jadalni wciąż dochodziły podniesione głosy. Bożena pomyślała, że nawet najpiękniejsze szpilki miewają swoje wady. Brak im sznurówek, a te niekiedy bywają dobrym pretekstem do zatrzymania. Podeszła zatem do zabytkowej konsoli, odstawiła na nią torebkę, jedną ręką wsparła się o ścianę i bez zażenowania zdjęła ze stopy szpilkę. Udając, że wysypuje nieistniejące ziarno piasku, łowiła każde słowo zażartej kłótni.

Fabiański stał nad nią niczym ochroniarz pilnujący księżnej Di. „Jej się to na nic zdało, mnie nie przeszkodzi” – pomyślała Bożena lekko nielogicznie.

– Ten pieprzony testament został podmieniony! – To był głos siostry Fabiańskiego.

– Wszystko jest w najlepszym porządku! – Ten głos Bożena rozpoznałaby już teraz nawet w zupełnie niesprzyjających okolicznościach. Wzbudzał w niej dwa skojarzenia: nadmorskiej popijawy i soczystego cmoknięcia. Obydwa nie były jej miłe. – To oczywiście, że powinienem dziedziczyć wszystko. Wszystko! I tak dostaliście za dużo. Jestem, i powinienem być, dziedzicem. Tylko dzięki mnie nazwisko ma szansę przetrwać!

– Pierniczysz głupoty! – zirytowała się Agnieszka. – Moje dzieci też noszą nasze nazwisko!

– To tylko adoptowane bękarty. – Artur wyraźnie kpił z ciotki.

– Ty pieprzony dupku – wysyczała Agnieszka.

– Babka jasno to określiła. Liczy się tylko krew z krwi.

– Dzieci to dzieci. Mają takie same prawa i obowiązki jak my. Wszystkie dzieci!

– No jasne. Nadałaś im nawet nasze nazwisko, żeby dziedziczyły.

– Nadałam im dwa nazwiska. Moje i męża. A po rozwodzie wszyscy wróciliśmy do mojego. To naturalne. Mój kolejny ślub tego nie zmienił.

– Super. Babka była zachwycona. Nie dość, że na drugim końcu świata, nie dość że bezdietna, to jeszcze rozwódka. Zakąła rodziny.

– A ty? Gnojku, popaprańcu jeden. Ty...

– Myślę, że usypała już pani w moim hallu plażę z nieistniejącego piasku. – Fabiański stanowczo przerwał Bożenie podsłuchiwanie.

Znów wystawił rękę, wykonując gest chwycenia jej za łokieć. Uchyliła się i syknęła. Gwałtowny ruch zdecydowanie jej nie służył.

– Już wychodzę. Przepraszam bardzo. – Uśmiechnęła się nieszczerze. – Mam stopy bardzo wrażliwe na każdą, najmniejszą nawet nierówność. Ale już nie zakłócam państwa spokoju.

Odwróciła się i zdecydowanie wyszła z domostwa.

Wyjęła komórkę z zamiarem zamówienia taksówki. Zanim jednak aplikacja zadziałała, doszła do bramy, która uchyliła się przed nią niczym wrota supermarketu. Nawet ochroniarza nie widziała nigdzie w pobliżu. Za to zaraz za rogiem natknęła się na radiowóz, z którego wyskoczył Dariusz. Przypominał wkurzonego Shreka po najeździe magicznych stworzeń na jego bagno.

– Czy ciebie zupełnie pogięto?! – zaczął od wrzasku.

Bożena uniosła zdumiona brwi.

– Nie żeby mi to przeszkadzało, możemy mówić sobie na ty. Spoko. Będzie łatwiej, kiedy spotkamy się u Doroty.

– Powinnaś leżeć w szpitalu.

– Te przybytki są przereklamowane – odparła.

– Masz złamane dwa żebra i wstrząśnienie mózgu.

– Jesteś świetnie poinformowany, ale żebra są zaledwie pęknięte. Z tym da się żyć. A z mózgiem już wszystko w porządku. Od dawna nie czułam takiego połączenia między moimi wszystkimi neuronami i... – Przerwała, widząc minę Darka.

- Wszystko jest w porządku – powiedziała już bez ironii.
- Nie jest – odpowiedział. – Ktoś próbował cię zabić. To nie są żarty. Wsiadaj.
- Miałam zamówić taksówkę. – Popatrzyła na aplikację, która właśnie zadziałała.
- No to podjechała. Wsiadaj.

Bożena poczuła się bardzo zmęczona. Przez chwilę przemknęło jej przez myśl, że w szpitalu byłoby spokojniej.

Darek usiadł koło niej w radiowozie.

- Zadzwoń do mnie Dorota. To był idiotyczny pomysł – stwierdził.
- Który? – szczerze zdziwiła się Bożena.
- Właściwie każdy. A już na pewno wizyta u Fabiańskich.
- Policja nic nie robi – odpowiedziała ze złośliwym uśmiechem – to musiałam sama zadziałać.
- To naprawdę nie są żarty. Na kamerze z rogu Traugutta i Piłsudskiego widać całe zajście. Ktoś świadomie i z premedytacją na ciebie najechał. Samochód z wypożyczalni.
- Czyli łatwo ustalić kierowcę – stwierdziła Bożena.
- Nie do końca. Pracujemy nad tym. Niemniej... – Darek westchnął. – Udało mi się przekonać komendanta, a jemu prokuratora. Będzie ekshumacja.

Bożena aż podskoczyła, po czym syknęła.

- Powinnaś leżeć w szpitalu.
- Może i tak. Gdybym wiedziała, że policja coś wreszcie zacznie robić, może i bym tam została. Mam dla ciebie jednak kilka informacji.

Przekazała mu wszystko, co usłyszała w ostatnim czasie.

- Co za rodzinka. – Aspirant westchnął.
 - Patologiczna – zgodziła się Bożena.
- Darek przygryzł wargę.
- Odwieziemy cię do domu.
 - Z szykiem zajadę, radiowozem jak uberem. Będzie osiedlowa sensacja.
 - Bożena, nie żartuj. Nic mi do tego, ale nie pakuj się w kłopoty. To niebezpieczne.
 - Jest tak naprawdę jedna rzecz, którą musicie zrobić. – Bożena udała, że wypowiedź policjanta nie zrobiła na niej wrażenia. – Sprawdźcie, co było w tym drugim testamencie. Kto dziedziczy teraz, a kto dziedziczyłby, gdyby stara Fabiańska go podpisała. Mnie notariusz tego nie powie, wkurzył się na mnie za ostatnią akcję. Tam będzie odpowiedź, choć ja już ją znam.

- Pani przemądrzała, kto zatem próbował cię przejechać?

- Artur Fabiański, oczywiście. To dziwny typ. Babka próbowała na nim wymusić małżeństwo, zmuszała do poczęcia wnuka. W kolejnym testamencie miał być głównym beneficjentem pod warunkiem spłodzenia dziedzica. A Artur jest gejem, choć dobrze się z tym ukrywa, i na żadnego dzieciaka nie ma ochoty. Był bardzo zainteresowany, żeby ten testament nie wszedł w życie, wszyscy pozostali raczej by na nim zyskali. Poza tym miał możliwości, żeby babkę systematycznie podtruwać, bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. Motyw, możliwość, czego chcesz więcej? Zabójca jak na dłoni.

Dariusz słuchał jej z uwagą, nie komentował jednak.

- Czy mogłabyś odtworzyć sytuację, w której mówiłaś o zabiciu Maleny Fabiańskiej? Tę z kancelarii. Kto słyszał, co powiedziałaś? Jak zareagował?

Bożena się zamyśliła.

- Obawiam się, że słyszeli wszyscy. Stefan Fabiański na pewno. Agnieszka też. Władek stał dalej, ale jestem przekonana, że albo słyszał, co powiedziałam, albo zainteresował się poruszeniem, jakie wywoła-

łam. Wprost zareagował stary Fabiański, Artur nic nie powiedział, ale stał zaraz za ojcem, na pewno sły-
szał.

– Czyli wszyscy.

– I Mietek.

Darek uniósł pytająco brwi.

– Notariusz. Strasznie był na mnie zły. To mój kolega ze szkoły, przyjaźnię się z jego żoną. Choć chyba bardziej przyjaźniłam. Kontakty się rozluźniły przez lata, a teraz to pewnie i ona się na mnie wkurzy. Musicie dokładnie prześwietlić Artura. Zabójcę macie na tacy, zbierzcie tylko dowody.

– Na razie nie mamy nawet potwierdzenia, że to było morderstwo.

Bożena znów podskoczyła, i znów syknęła. Tym razem policjant nie skomentował.

– A ekshumacja? To nic?

– To tylko podejrzenie. Daleka jeszcze droga. Prokurator poszedł nam na rękę, bo rodzinka może się rozjechać i tyle będziemy ich widzieli. Dlatego kopiemy już jutro. Choć to skrót myślowy, bo grób jest murowany. Ale autopsja zwykle trwa do pół roku.

– Ile?

– Właśnie tyle – odparł Darek. – Choć my wiemy, czego szukamy. Uczulę anatomopatologa, że prawdopodobnie to ofiara zatrucia, ukierunkowane poszukiwania są szybsze. Pewnie pierwsze ustalenia będą po kilku dniach. Wstępne.

– O której kopiecie?

– Nie przyjedziesz na cmentarz – powiedział Darek. – Nie potrzebujemy widowni. Dlatego robimy to w sobotę, kiedy nie ma pogrzebów.

„Nie tobie o tym decydować” – pomyślała Bożena, nie odezwała się jednak.

Pożegnała się uprzejmie zarówno z Darkiem, jak i z drugim policjantem. W mieszkaniu zamierzała przede wszystkim sprawdzić godzinę ekshumacji – w końcu była koszalinianką. Tutaj mnóstwo rzeczy można było się dowiedzieć, znając odpowiednich ludzi. Poczula się jednak tak zmęczona, że postanowiła na chwilę tylko się położyć. Zmiana pozycji spowodowała okropny ból w klatce piersiowej, musiała sięgnąć po tabletki ze szpitala. Łyknęła dwie, popiła wodą, po czym zapadła w kamienny sen.

Rozdział 19

Wydawało się, że po prochach będzie spała do rana, obudziła się jednak o trzeciej piętnaście. Po raz kolejny sięgnęła po tabletki przeciwbólowe, zasnęła płytkim snem około czwartej. Spała zaledwie półtorej godziny.

– Muszę pójść do lekarza. Potrzebne mi piguły na sen, przeciwbólowe nie działają na gonitwę myśli.

Już o szóstej dwadzieścia była w osiedlowym sklepiku, dziesięć minut później wychodziła z papierową torbą pełną croissantów, kajerek i rogalików z makiem.

Koszalin to niewielkie miasto. Droga na jej rodzinne osiedle zajęła jej kolejne dziesięć minut.

Zaparkowała pod blokiem i wyłączyła silnik.

– Teraz czas na nostalgiczną muzykę i czterdzieści sekund filmowej dłużyzny – wyszeptła. – Bohalterka powinna wspominać swoje dzieciństwo. Okutana w jasny kożuszek, zasłonięta kapturem, drobi obok ojca, który trzyma ją za mikroskopijną rączkę odzianą w wełnianą rękawiczkę z jednym palcem. Przebitka na trawnik z drugiej strony bloku. Mała leży na śniegu i robi anioła. Rozkłada ręce i nogi, zaśmiewając się razem z ojcem. Na balkonie stoi matka i krzyczy, by wracali. Kolejne pastelowe przejście. Stokrotki na trawniku, na nim huśtawka. Hałas dziecięcych głosów, na tym tle kłótnia. O co? Przedmiot dziecięcego sporu, huśtawka. Dziewczynka się buja, chłopiec próbuje ją przegonić. Chce się pobawić, natychmiast, już. Ona zamierzała już wracać do domu, świetnie się jednak bawi, widząc minę chłopaka. Macha nogami wysoko i kładzie na płasko, wyżej, i jeszcze, aż furkocze plisowana spódniczka. Chłopak ze złości rzuca kamieniem. Krew, łzy, płacz. Naprawdę chodziło tylko o huśtawkę? A może bardziej o nią samą? Chyba podobała się sąsiadowi.

Bożena dotknęła blizny nad wargą.

Jak on miał na imię? W żaden sposób nie potrafiła sobie przypomnieć jego twarzy. Był dla niej... nikim? Może już wtedy o tym wiedział i dlatego pozostawił po sobie pamiątkę. Bliznę.

– Dość rozczulania się. Ckliwe historyjki na ekranie mają się nijak do ponurego poranka. Tyle dobrego, że pachnącego croissantami – powiedziała do siebie Bożena.

Wyszła z samochodu i przeszła pod blok. Spojrzała na zegarek i zastęła.

– To był Artur – uświadomiła sobie głośno. – Nie syn sąsiadów, tylko Artur Fabiański! Chciał rządzić podwórkiem. Starszy od niej syn bogacza uważał, że wszystko mu się należy. Także osiedlowa huśtawka, choć przecież tutaj nie mieszkał. Śmiał się potem! Mnie leciała krew z wargi, ruszał mi się ząb, płakałam – przypomniawszy sobie Bożena. – Pobiegłam do domu, a on usiadł na huśtawce...

Potrząsnęła głową, odganiając wspomnienie.

– To zawsze był zły chłopak – stwierdziła półgłosem. – Poza tym jest za piętnaście siódma. Malwina jeszcze śpi, matka też. Obudzę je zapachem kawy.

Otworzyła drzwi kluczem, który wciąż nosiła w torebce na smyczy już tak brudnej, że wzorek w czerwone kokardki pozostawał nieczytelny. Na nim wciąż wisiał trzycentymetrowy miś. Nigdy nie pomyślała, by wymienić breloczek. Za dużo wspomnień.

Tak jak matka nigdy nie wpadła na pomysł, by wymienić zamki.

Weszła po cichu do mieszkania, panował w nim spokój, bezruch. W kuchni pstryknęła elektrycznym czajnikiem, rozkroiła bułki, rozłożyła wypieki w koszyku. Na talerzu ułożyła ser, wędliny, trochę twarogu. „Śniadanie mistrzów” – pomyślała.

Po cichu przeszła do pokoju, który niegdyś był jej. Wzory na nowej zasłonce rozpraszały przefiltrowane światło latarni, rozkładając cienie na ścianach. Kiedyś ta żółta tapeta była jej dumą, wytłaczana w grube kropki, ozdobiona czerwono-niebieskimi kwiatkami. Gust szybko jej się zmienił, tapeta pozostała. Matka twierdziła, że nie stać jej na remont co trzy lata. „A to było już kilkanaście lat temu” – pomyślała Bożena.

Malwina oddychała spokojnie. Podeszła do córki i wyciągnęła rękę. Powstrzymała jednak odruch pogłaskania dziewczyny po głowie. „Obudziłabym ją” – usprawiedliwiła się w myślach. Uśmiechnęła się szeroko, gdy zdała sobie sprawę, że Malwina trzyma w objęciach jej lalkę.

Złotowłosa, osiemdziesięciocentymetrowa piękność była kiedyś dumą Bożeny. Czesła ją i przebierała, a potem o niej zapomniała. Do życia przywróciła ją Malwina.

Taka chyba kolej rzeczy. My zapominamy, to starość. A dzieci przywracają pamięć, to młodość. A potem one też się zestarzeją.

„Nawet nie wiedziałam, że mama zachowała tę lalkę” – pomyślała Bożena. „W jakiś sposób za nią tęskniłam, skoro ostatnio kupiłam podobną. Wniosłam do mieszkania i wepchnęłam na szafę. Może powinna trafić w odpowiednie ręce. Może właśnie po to kupiłam tę lalkę, by Malwina zabrała ją ze sobą na Śląsk” – uznała.

Wyszła po cichu. Gdy wróciła do kuchni, kręciła się tam już matka.

– Malwina chyba musi odespać – powiedziała starsza z kobiet. – Zjedźmy razem.

– W kuchni?

– Po dawnemu – odparła matka.

Bożena uśmiechnęła się lekko.

Obydwie napiły się kawy. Kapsułkowy ekspres szumiał, syczał, dzwonił, nic nie obudziło Malwiny.

– Do twarogu dam jeszcze miód – powiedziała matka, stawiając słój z nalepką pasieki z okolic Sianowa.

Od lat kupowała miód u tego samego gospodarza, co roku kilkanaście słoików, a Bożena zastanawiała się, czy to na pewno dlatego, że sama lubiła miód. Podejrzewała, że raczej ze względu na upodobanie ojca. On potrafił zjeść trzy wielkie łychy miodu do jednej kanapki... „To było kiedyś” – zganiła się.

Rozmawiały o niczym, obserwując wstający dzień. Wokół było coraz głośniejsze, na klatce schodowej od czasu do czasu tupały nogi. Na wyższym piętrze komuś coś spadło, rezonując u nich w kuchni niczym gong teatralny przed spektaklem. Ktoś przechodził pod oknem, strzępy rozmowy nie pozwoliły rozpoznać tematu, dawały jednak świadectwo, że świat istnieje.

– Jestem umówiona na ósmą – powiedziała Bożena. – Chciałam się zobaczyć z Malwiną, skoro jednak śpi... Czy Gerard ci mówił, o której w poniedziałek planują wyjechać?

– Nie, ale pewnie z samego rana.

– Chciałabym... Malwina śpi z moją starą lalką. Kupiłam jej nową. Taką samą. Jest śliczna i... może zechce wziąć ją ze sobą.

– Przywieź.

– Przyjechałam, bo... nie mogłam spać – powiedziała Bożena.

Matka pokiwała głową.

– Mnie też będzie jej brakować. Tak samo jak tęsknię za tobą.

– Pójdę już – stwierdziła w końcu Bożena. – Malwina niech odespi. Nie będziemy jej budzić.

Pożegnały się bez uścisków, zwyczajnie, machnięciem ręki.

„Jak w dobrej rodzinie” – pomyślała Bożena, wsiadając do samochodu.

Kwadrans później była w Mondo. Siedziała przy stoliku przez blisko godzinę, coraz bardziej wkurzona. „Po tojechałam przez pół miasta, potłuczona ofiara wypadku, żeby mnie gówniara do wiatru wystawiła!” – złościła się na służącą Fabiańskich.

Przed dziewczątą pojawiła się w radiu. Dorota właśnie rozpakowywała swoje bambetle. Wyłożyła już na stół notes, obok niego wysypała zawartość całej torebki.

– Miałam tu, cholera, materiały do dzisiejszego wywiadu – powiedziała zdenerwowana.

– Sama je przygotowałaś? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Bożena.

Dorota spojrzała na nią z politowaniem.

– Nie, przysłał mi je święty z Rovaniemi.

– To wiesz, co tam było. Nie potrzebujesz papieru, masz wszystko w głowie. Siadaj i napij się kawy.

Dorota bez przekonania klapnęła na swoje biurowe krzesło. Upiła dwa łyki i się rozpromieniła.

– Masz rację, wiesz?

– Zawsze mam rację. A w czym tym razem?

– Że dobrze jest przysiąc na chwilę. Materiały mam w kalendarzu, patrzę na nie cały czas, tylko zapomniałam, że je tam upchnęłam, złożone na czworo. A poza tym wszystko pamiętam.

– No i widzisz? Zawsze mam rację.

– A tak w ogóle dzwoniła do ciebie jakaś dziewczyna. Powiedziała, że nie da rady dzisiaj przyjechać. Przesunęła spotkanie na pojutrze. To ważne?

– Zaczepicie – powiedziała. – Trzeba było tak od razu.

– Fakt, wyglądałaś na wkurzoną od samego wejścia, ale notatki były dla mnie ważniejsze.

Uśmiechnęła się, chwyciła kalendarz i już jej nie było. Bożena skupiła się na pracy.

Zadzwoiła w kilka miejsc. Już pół godziny później znalazła godzinę ekshumacji. Wtedy dopiero zorientowała się, że dzwoniła matka. Łatwo byłoby wytłumaczyć ten telefon, ale... osiem razy?

Bożena zerknęła jeszcze w esemesy.

„Przyjedź szybko”. „Odezwij się”. „Nie wiem, co robić”.

Bożenie zadrżały ręce. Chwyciła torebkę, niefortunnie, oczywiście. Wyspały się z niej przedmioty, których przeznaczenia trudno było w takiej chwili dociękać. „Kolczyki z hematytem?” – przemknęło jej przez głowę. „Podobno dobre na bezsenność, przydadzą się”. Szukała ich kilka miesięcy temu, wtedy pasowały jej do obcistej grafitowej sukienki.

Wypadła z radia, ledwie machnąwszy portierowi. Odpaliła silnik, równocześnie zapinając pas. Na Waryńskiego wybrała numer. Matka nie odebrała. Dziesięć minut później Bożena wstukowała kod do domofonu, w końcu i tak otworzyła jej wychodzącą sąsiadka.

– Dzień dobry – powiedziała nieuważnie Bożena i przepchnęła się przed starszą panią, która toczyła boje ze wszystkimi lokatorami o wszystko.

– Dzień dobry, dzień dobry – odpowiedziała. – Niewychowane to, jak zawsze. Prostaki zostaną ordynusami bez względu na ubranie.

Bożena tego nie słyszała, i dobrze. Zapewne skorzystałaby z okazji i wypowiedziała kilka słów, a każde to byłoby zbyt wiele.

Zadzwoiła do mieszkania, choć przecież miała klucze, matka otworzyła po drugim dzwonku.

– Jesteś nareszcie – powiedziała cicho.

Matka wciąż miała na sobie podomkę, jak przy śniadaniu. „Nie ubrała się od rana?” – przemknęło przez myśl Bożenie, nie miała jednak chęci się nad tym zastanawiać.

– Co się stało z Malwiną? – zadała jedyne istotne dla niej w tej chwili pytanie.

– Zobacz – odpowiedziała matka. Zaprowadziła ją do łazienki. – Znalazłam w pojemniku na brudy. Chciałam wstawić pranie po twoim wyjściu i...

W rękach trzymała podarte majtki. Zakrwawione. Bez wątplenia Malwiny.

Bożena wzięła gwałtowny oddech. Myśli galopowały jej szybciej, niż Usain Bolt pokonuje sto metrów.

– Co mówi Malwina? – zapytała w końcu.

– Nic. Właśnie nic nie mówi. Jest u siebie w pokoju. To znaczy w twoim pokoju.

– Pozwoliłaś jej wyjść wieczorem z domu – bardziej stwierdziła, niż zapytała Bożena.

Matka tylko kiwnęła głową.

– Nie mogę więzić nastolatki.

Bożena przelknęła to, co bardzo chciała teraz wypowiedzieć. Przyjdzie na to czas. Teraz co innego było ważne. Przeszła tam, gdzie jeszcze kilka godzin temu z czułością oglądała poczochną i spoconą główkę córki, zaplątaną w rozgrzanej nocą pościeli. Otworzyła delikatnie drzwi. Malwina leżała w łóżku, skrołując telefon.

Uniosła głowę i spojrzała na matkę, po czym opadła na poduszkę, sprawiając wrażenie zupełnie niezainteresowanej obecnością rodzicielki.

– Malwinko, chcesz porozmawiać? – zapytała Bożena.

Młoda wzruszyła ramionami.

– Cokolwiek się wydarzyło, jestem z tobą, pamiętaj.

– Co się miało wydarzyć? Od dwustu lat nie powiedziałaś do mnie „Malwinko”. Oszczędź sobie, i tak nie dam się nabrać. Jesteś beznadziejną matką. Praca była i jest ważniejsza niż ja.

– Rozumiem – odpowiedziała Bożena, czując, że krew zalewa jej mózg. – Tak się może wydawać. Gonię za banalną codziennością. Nikt jednak nie jest dla mnie ważniejszy niż ty, nawet jeśli nie umiem tego wyrazić.

Młoda prychnęła.

– Opowiesz, co się stało wczoraj wieczorem?

Pogardliwe wydęcie ust niewiele Bożenie powiedziało.

– Jeśli potrzebowałabyś jakiegokolwiek pomocy...

– Muszę po prostu wytrzeźwieć – odpowiedziała w końcu młoda.

– Piłaś alkohol? – Bożena wzięła głęboki oddech.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Czy... czy ktoś ci coś zrobił?

– Pytasz, czy ktoś mi kupił wódkę? Pewnie, mnie by nie sprzedali. Piwo z wódką, czystą bym się tak nie zatławiła. Jestem na kacu, mam, daj mi spokój.

– Kochanie. – Bożena wciąż trzymała nerwy na wodzy. – Znalazłyśmy z babcią... znalazłyśmy twoją zakrwawioną bieliznę.

Wzruszenie ramion. Międzynarodowy gest braku porozumienia międzypokoleniowego.

– Chciałabym ci jakoś pomóc...

– Daj mi spokój. Muszę ochłoniąć. Brudne gacie zwykle wrzucam do pojemnika, chyba tak lepiej niż zostawiać je na środku pokoju, nie? Tyle zdołałaś mnie nauczyć.

– Malwinko – Bożena skarciła się w myślach za ponowne zdrobnienie – jeśli ktokolwiek zrobił ci jakąś krzywdę... Pewnie jestem złą matką, ale nie odpuszczę komuś, kto cię skrzywdził. Powiedz tylko, kto ci to zrobił.

– Co mi zrobił? – Młoda w końcu przejawiała jakieś zainteresowanie.

– Podarta bielizna, krew... nie odpuszczę gnojowi.

Malwina zaczęła się śmiać. Niepohamowanie, serdecznie i gwałtownie. Bożena chciałyby wierzyć, że tak śmieją się beztrioskie dzieci, szybko jednak do niej dotarło, że to sardoniczny śmiech zgorzkniałej dziewczyny, która dawno już przestała być dziewczynką.

– Podarłam gacie, bo byłam pijana i przewracałam się przy ich zdejmowaniu. A są zakrwawione, bo dostałam ciotki. Okres, znasz takie słowo? A może już zapomniałaś? Jesteś tak stara, że nie pamiętasz?

Rozdział 20

Bożena wypadła z mieszkania matki, jakby Tom Cruise ścigał się w *Top Gun* z Icemanem. Jechała przez ulice miasta niczym Hołowczyc po Saharze. Kilka razy ją otrąbiono, dwa razy wymusiła pierwszeństwo, na koniec zaparkowała na cmentarnym parkingu.

Chciałaby porozmawiać z mężem, byłym, była jednak zbyt wkurzona.

– Już po – powiedział Dariusz. Spotkała go wychodzącego z cmentarza.

– Skończyliście? – warknęła Bożena.

Darek wzruszył ramionami.

– Spóźniłaś się – powiedział.

– Nie będzie wspaniałego artykułu dla czytelników najpoczytniejszej koszalińskiej gazety?

– Pewnie nie będzie – odpowiedział spokojnie Darek. – Pocieszę cię, że zza parawanu i tak niewiele widać. A bliżej nikt by cię nie dopuścił.

Bożena wahała się między wściekłością a ulgą. Z jednej strony zżerała ją ciekawość, jak przebiega taki proces, z drugiej – bała się tego widoku.

W rezultacie wyszła z cmentarza całkowicie nieusatisfakcjonowana. Przeklinała za kierownicą jak żul spod meliny. I w żaden sposób jej to nie uspokoiło. Wpadła do swojego mieszkania, ciągle w myślach przeklinając. Nalała sobie whisky, po czym wylała je do zlewu. Wybrała numer Gerarda.

– O której w poniedziałek wyjeżdżacie? – zapytała bez wstępu.

– Miło cię słyszeć – odpowiedział. I zanim Bożena zdołała cisnąć ripostą, kontynuował: – Rozumiem, że tak bardzo chcesz się pozbyć naszej córki?

– Ja nawalam – powiedziała wbrew sobie.

– Wiem. – Gerard zdążył wcisnąć wypowiedź pomiędzy zdania Bożeny.

– Dlatego ulokowałam naszą grzeczną, słodką córeczkę u mojej matki. Która pozwoliła jej wczoraj wyjść na koleżeńskie spotkanie.

– No i? Młoda nie jest w więzieniu.

– Z którego to spotkania Malwina wróciła pijana w sztok. I to do tego stopnia, że nie była w stanie samodzielnie się rozebrać. Teraz milczysz? – Bożena odezwała się po dłuższej przerwie i w jej głosie brzmiała satysfakcja. – Prawie umarłam.

– Nie przesadzaj – odparł Gerard.

Zadrżała jej broda, zacisnęły się szczęki. Były mąż nie był w stanie tego zobaczyć, usłyszał jednak jad w jej głosie.

– Znalazłam porwane majtki Malwiny w pojemniku na brudy. Zakrwawione. Co byś pomyślał?

– Zamorduję skurwiela – odpowiedział Gerard bez namysłu.

– No właśnie. Tymczasem Malwina wróciła ze spotkania z koleżanką o czwartej nad ranem. Zatoczyła się, kiedy ściągała gacie. I dostała okres. Ot, taki nastoletni banał. Więc ja nawalam, to fakt. Moja matka też nie daje rady. To gdzie jesteś ty w tej układance?

Gerard rozłączył się bez pożegnania. Bożena rzuciła telefonem. Kiedyś już wykonała taki gest. Kosztował ją cały dzień bez telefonu, tłumaczenie przed szefem i jedną czwartą pensji na nowy aparat. Dlatego teraz asekuracyjnie walnęła aparat na łóżko.

Chodziła po mieszkaniu przez kilkanaście minut, a potem otworzyła szafę. Wyciągnęła z niej kieckę, którą kupiła kiedyś na sylwestra. Mieli spędzać go razem z Gerardem, w ich najlepszych czasach. W ostat-

niej chwili jednak uznała ją za zbyt wyzywającą.

Teraz popatrzyła z uwagą na cekinową szmatkę szerokości czterdziestu pięciu centymetrów z dwoma cienkimi sznureczkami. Ledwie zakrywała półdupki, za to świeciła jak Święty Piotr w bramie niebieskiej.

Przymierzony gałganek wciąż leżał idealnie. Obejrzała się w lustrze krytycznie. Wciągnęła brzuch, choć nie było to konieczne. Zmieniła rajstopy na cieniutkie jak mgiełka i wybrała z szafy dwunastocentymetrowe lakierki.

Zamówiła ubera i wyszła przed blok. Gdy dotarła do klubu, dochodziła dziesiąta, impreza się rozkręcała. Podeszła do baru i zamówiła drinka.

Barman miał chwilę, oparł łokcie o blat i zagaił.

– Lubisz dinozaury? – odpowiedziała Bożena.

– Lubię kobiety świadome własnych atutów – odpowiedział.

– Dzisiaj będziesz miał tu pełno takich. Młodszych i równie rozebranych.

– Dzień jak co dzień – odparł. – W gówniarach nie gustuję. Poza tym w nocy mam pełne ręce roboty. A ty tu wcześniej nie bywałaś.

Uśmiechnęła się. Odeszła do stolika, o tej porze sporo było wolnych. Wypiła drinka i ruszyła na parkiet. Sprawiało jej przyjemność oblepiające spojrzenie barmana. Poruszała biodrami powoli, bawiąc się wspomnieniem o podobnym tańcu. To nie był klub, zaledwie mieszkanie kolegi. Kawalerka z wytartym dywanem i meblóścianką z porysowanym fornirem, rozbierała się przed Gerardem w takt *You're Beautiful* Jamesa Blunta. Kochali się potem na tym dywanie, lekceważąc fakt, że od wielu tygodni nie był odkurzany.

Teraz *As It Was* Harry'ego Stylesa Bożenie świetnie pasowało. Kołysała się, obejmowała dłońmi, przesuwała nimi po tułowi. Barman śledził każdy jej ruch, ale tylko przez kilka minut. Potem klub się zapełnił, więc facet zerkał jedynie pomiędzy klientami. Muzyka dudniła, tłum schował Bożenę przed wzrokiem barmana. Trochę tego żałowała. Pod jego spojrzeniem czuła się piękna, seksowna, młodsza. A przede wszystkim pozbawiona bagażu, który poza klubem przygniatał ją do ziemi niczym kontener pełen nielegalnej amunicji.

Dreptała po parkiecie, popijając zbyt często drinka. Kręciło jej się w głowie, miała ochotę na szybki podryw. Na parkiecie mogła się pociierać, pouśmiechać, na rozmowę nie było szansy. Weszła w korytarz przekonana, że tutaj uda się zamienić choć kilka słów. Jak już zaliczyć szybki numer, to z kimś chociaż stopień wyżej niż troglodyta.

Problem polegał na tym, że klub wypełniony był młodzieżą. Osiemnastki, dwudziestki w obu wersjach płciowych. Tylko bramkarze wyglądali na starszych, ale pracowali pewnie do szóstej, a na tak długie czekanie Bożena nie miała ochoty. Ze wszystkich przedstawicieli gorszej płci tylko barman ją zainteresował, on też jednak był niedostępny. Status: w pracy.

Lekko zachwiała się na swoich szpilkach, potrącona przez dziewczynę niewiele starszą od Malwiny. „Może tutaj wczoraj bawiła się moja córka?” – przemknęło przez myśl Bożenie. Teoretycznie klub był dla pełnoletnich, chyba jednak nie grzeszono tu skrupulatnością. Bożena ani razu nie widziała scenki: poproszę o dowód.

– Ale zajebiste buty! – Usłyszała dziewczęcy głos.

Gdy się odwróciła, dziewczyna właśnie pochylała się nad podłogą. Bożena w ostatniej chwili odskoczyła, unikając fontanny rzygowin.

„Czas na mnie” – pomyślała.

Skierowała się do szatni, gdy dostrzegła w tłumie znajomą postać. Ruszyła w głąb klubu. Obserwowała Artura Fabiańskiego, który – podobnie jak ona – odstawał wiekiem od większości bawiących się. Zdawał się zadomowiony. Machnął do barmana, drink został przygotowany bez słów i zapłaty. „Ma tu udział czy co?” – zastanowiła się Bożena.

Usiadła przy stoliku, przy którym parka obściskowała się bez skrępowania. Dziewczyna siedziała na chłopaku okrakiem, Bożena nie była pewna, czy laska ma majtki, a chłopak zapięty rozporek. Nic jej to nie obchodziło, ważne było tylko to, że gorąca laska nie potrzebowała krzesła.

Fabiański witał się serdecznie ze stałymi bywalcami. W końcu podszedł do baru, wykonał jakiś bliżej niesprecyzowany gest, a po chwili trzymał w ręce... coś.

Woreczek?

Prochy?

Tłumek przysłał Bożenie widok, dostrzegła jednak, że Fabiański coś łyknął, zapewne tabletkę, popił drinkiem i wyszedł na parkiet. Dziennikarka opuściła zatem gorącą parę i znów poszła potańczyć. Wtopiła się w tłum, przesuając coraz bliżej Artura. Otarła się o niego biodrem raz i drugi. Zdziwiła się, gdy chwycił ją w pasie. Stała zakleszczona tyłem do niego i było jej z tym całkiem dobrze.

– Fajna jesteś. – Usłyszała słowa wypowiedziane przy samym uchu.

Poczuła gorąco. Nieważne, kto to mówił. Ważne, że nie słyszała takich słów od... bardzo dawna.

Odwróciła się do Fabiańskiego przodem.

– Ty też niczego sobie – odpowiedziała.

Zrozumiał raczej, niż usłyszał, kiwnął głową i obrócił Bożeną kilka razy. Potem pociągnął ją w korytarz, tam było ciut ciszej, można było prowadzić namiastkę rozmowy.

– Ja cię znam – powiedział. – Byłaś u nas.

Kiwnęła głową.

– Jesteś dziennikarką – stwierdził. – I pisałaś artykuł o ojcu. Laurkę.

– Przysłużył się miastu – powiedziała asekuracyjnie.

– Jasne. – Teraz Artur Fabiański wyraźnie kpił. – Pojedziemy do mnie?

Bożena bardzo potrzebowała bliskości. Fabiański wcale nie był taki zły. Przystojny, zadbany... Siłą woli jednak pokręciła głową. To był morderca!

– Chciałbyś się bzykać z dziennikarką? Nigdy nie wiadomo, co taka wymyśli – zakpiła. Przestraszyła się. Przecież on był gejem! Dlaczego zatem ją podrywał? Kobiety bez wątplenia? Może jednak bi?

– Spoko, zawsze warto spróbować. A chciałabyś coś na polepszenie nastroju?

Pokręciła głową, albo tylko tak jej się zdawało, bo już po chwili dostrzegła na ręce Fabiańskiego niewielką białą tabletkę. Jej ręka sięgnęła po nią zupełnie bezwolnie. Usta otworzyły się, przyjęty biały owal, w ręce zmaterializował się kieliszek, popiła. Całą sobą krzyczała: „Nie rób tego!”. Chyba jednak w otaczającym huku nie słyszała własnego głosu. A może potraktowała pigułkę jak dziennikarskie wyzwanie? Nigdy nie próbowała żadnych halucynogenów. A może chciała podążyć za córką? By lepiej ją zrozumieć? Sama nie do końca pojmowała własną motywację. Ale zapamiętała... Czy dobrze...? Artur powiedział...

– Nie grzeb w naszych sprawach. Rodzina jest siłą, wiesz o tym? A jeśli nie wiesz, to się naucz. Zostaw nas w spokoju.

Naprawdę to powiedział? Czy tylko jej się śniło?

Bawiła się na parkiecie aż do zamknięcia klubu. Nie straciła przytomności, nie odpłynęła w niebyt, miała zaledwie kilka zawrotów głowy i cudowny nastrój. Nie bolało jej ramię, żebra, nic. Widziała świat dobrym, otaczali ją najlepsi tancerze. Wszyscy faceci byli Adonisami i wpatrywali się w nią jak w Afrodytę. Wenus parkietu, oto ona. O szóstej rano uśmiechnęła się do barmana i podeszła do lady. Zaprezentował garnitur równych zębów, choć Bożena była przekonana, że ona uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Jak się masz? – zapytał.

– Szampańsko.

– Widzę. Nie zaszкодziło ci?

Uniosła brwi w niemym pytaniu.

– Artur zażywa regularnie, ale ty chyba pierwszy raz?

- Aż tak to widać? - Szczerze się zdziwiła.

- Nad ranem widywałem wiele rzeczy. Gołe cycki i tyłki też. Ale ty wachlowałaś swoją krótką kiecką w górę i w dół, a te cekinki świeciły niczym latarnie. Swoją drogą, idealnie ci w stringach.

- Co robiłam? - Bożena trochę bała się odpowiedzi.

Barman się uśmiechnął.

- Tańczyłaś na stole, nikomu to tutaj nie przeszkadza, poza jednym gościem, którego zdzieliłaś obcasem w czoło. Zalał się juchą, ale spoko, sam był narąbany, więc po prostu wynieśliśmy go na zaplecze. Będzie pamiętał, że się przewrócił. Co tam jeszcze... A! - Podniósł palec wskazujący niczym belfer przy tablicy. - Przechodziłaś po barze pomiędzy szklankami, przyznać muszę, że ruszasz się niezmiernie. W tych szpilkach nie potrafiłaś żadnej szklanki! No i ta fantazja... Zadzierałaś nogę nad głowę każdego niemal faceta, przy barze szybko zrobił się tłok. Utarg tygodnia w godzinę. Co się napatrzyli, to ich.

Bożena przełknęła ślinę. Poczowała, że żołądek przewraca jej się na drugą stronę.

- Tylko się nie zrzygaj. Wrabiam cię - powiedział barman.

Długą chwilę ćwiczyła głęboki oddech według mistrzów jogi. W końcu opanowała mdłości i spojrzała wściekle na barmana. Zanim jednak bluznęła na niego, odezwał się ze stoickim spokojem.

- Wkręcałem cię tylko trochę. Rzeczywiście wachlowałaś kiecką na parkiecie. Wprawdzie cycków nie odsłaniałaś, ale skąpe gatki jak najbardziej. Tańczyłaś na stoliku i walnęłaś gościa obcasem w czoło. Na bar jednak nie wlazłaś, potknęłaś się, więc posadziłem cię w kąciaku i dałem ci chwilę zdrzemnąć. Po obudzeniu zdawałaś się całkiem przytomna. Nie bierz więcej tego świństwa. - Ostatnie zdanie powiedział bardzo poważnie.

- Sam to sprzedajesz - stwierdziła oskarżycielsko.

- Robię, co muszę. - Wrzucił ramionami. - To część pracy. Jesteś zielona i nawet nie sprawdziłaś, co bierzesz. Fabiol miewa dziwne pomysły. Miesza dropy jak przedszkolaki m&m'sy na urodzinowym przyjęciu. Niektóre są groźne.

Bożena poczuła gęsią skórę na ramionach.

- Jak bardzo?

- Całkowicie groźne. Tak na kompletne do widzenia.

- Artur może. - Bożena zrobiła minę skrzywdzonej pięciolatki.

- Ja tam nie wiem, co on może. Wiem, co czasem robi. Daj sobie z nim spokój.

Bożena przejechała barmanowi palcem po dłoni. Zabrał rękę i powiedział:

- Przede mną jeszcze dużo roboty. A ty jesteś zrobiona i masz całkowicie dość.

- Jestem dla ciebie za stara - odpowiedziała całkiem przytomnie.

Pokręcił głową z dezaprobatą.

- Łatwych panienek mam tu na kilogramy. Jeślibym czegoś chciał, to nie tutaj. I nie tak. Szkoda czasu na bylejakość. Jedź do domu.

Wyszła przed klub, wypatrując ubera. Gdy wsiadała do samochodu, dostrzegła wychodzącego barmana. Żałowała, że nie siedzi w taksówce obok niej.

Rozdział 21

Nie kładła się już. Tabletki chyba nadal działały, Bożenę przepelniały wigor i chęć do życia. Idealny stan do pracy – na szczęście, bo tej niedzieli obie z Dorotą miały redakcyjny dyżur. Przebrała się, odpuściła śniadanie, bo jej żołądek przejawiał wciąż skomplikowane uczucia do zażytego specyfiku, i wyszła z domu. Postanowiła zostawić samochód na parkingu, na wszelki wypadek. Czuła się wprawdzie znakomicie, gdzieś na skraju świadomości jednak pulsowało ostrzeżenie, że aż nazbyt świetnie. Założyła zatem buty do biegania, które kupiła kiedyś w przypiływie optymistycznego i naiwnego planu na dbanie o siebie. „To jest trzecia para moich płaskich butów!” – uświadomiła sobie. „Tak rzadko ich używam, że ledwo o nich pamiętam”. Przed wejściem na kilka schodków prowadzących do budynku zmieniła buty. W adidasach w pracy? W życiu. Choć w niedzielę nie spodziewała się w redakcji tłumów, nie zamierzała rezygnować ze swoich standardów.

Przywitała się z panem Bolkiem, choć przemknęło jej przez myśl, że był tu także wczoraj.

– Pan tu chyba zamieszkał? – zagadnęła. – Piątek, świętek i niedziela, pan na posterunku?

– Zawsze lepiej, jak człowiek jest potrzebny – odparł. – Zastępstwo mam, kolega się pochorował.

– To siły życzę, panie Bolku, siły! – rzuciła, wsiadając do windy. – Kawy. Kawy. Kawy – powtarzała sobie, przemierzając korytarz, który tego dnia był wyjątkowo długi i kręty. Wciąż było jeszcze wczesnie, w niedzielę redakcja i tak zwykle świeciła pustkami, popełniła więc szaleństwo. Zdjęła buty i na bosaka pobiegła do kuchni. Wróciła z dwiema kawami, zdążyła założyć buty i rozsiaść się przy biurku, gdy do biura weszła Dorota.

– Coś z ciebie ostatnio ranny ptaszek – powiedziała przyjaciółka. – Dzięki za kawę.

„Obydwie miały być dla mnie” – pomyślała Bożena, zachowała to jednak dla siebie.

– Mam huk roboty – powiedziała zamiast tego.

– Jesteś podjarana jak fretka w rui.

– Już to kiedyś słyszałam – odpowiedziała Bożena, zastanawiając się, jak Dorota to dostrzegła.

– Bo kiedyś już byłeś w tym stanie. O co biega?

Bożena wzruszyła ramionami. Nie zamierzała dzielić się wrażeniami z nocnych przygód. Choć o Malwinie owszem, mogła opowiedzieć. A nawet powinna. Chciała. Potrzebowała.

Dorota słuchała w milczeniu.

– Skurwiel – powiedziała na koniec.

– Słucham?

– Skąd Malwina miała pieniądze na zabawę? – uświadomiła jej przyjaciółka.

– Przecież nie od matki... – Bożena sprawiała wrażenie, jakby ktoś ją właśnie walnął obuchem. – Gnój realizuje ojcowską misję nieuzgodnionymi ze mną przelewami, ale to ja jestem złą matką.

Dorota przezornie milczała.

– Nie jestem matką roku, ale przynajmniej jestem na miejscu. Ja mu pokażę...

– Niby co? Zabiera Malwinę do siebie, dobrze zrozumiałam? Więc nic mu nie pokazuj. Wykorzystaj to tylko w waszych słownych przepychankach, bo nie mam złudzeń, że będziecie się tłuc słowami niczym Anakin z Obi-Wanem.

Bożena uniosła ramiona w obronnym geście.

Zamilkły, zajmując się pracą.

– Wiesz, co mnie jeszcze frapuje? – odezwała się Bożena po prawie godzinie.

Dorota nie odpowiedziała, uniosła tylko wzrok ponad monitor.

– Że Fabiański się do mnie przystawiał. Niby gej, to po co mu babka?

– Co robił? – zdziwiła się Dorota.

Bożena przygryzła wargę.

„Idiotka!” – zmitygowała się w myślach. „Miałam nikomu nie mówić o nocnym klubie. Nie dość, że popiłam i zażyłam, to jeszcze byłam tam sama, i do tego po wypadku. Rozsądek level hard”.

Nie miała już wyjścia. Opowiedziała Dorocie o upojnej nocy.

– On musi być bi. Babka raiła mu dziewczyny, może nie tylko w celach prokreacyjnych.

Zamyśliły się. Nie doszedłszy do żadnych wniosków, poświęciły uwagę pracy. Słowa sprawiały Bożenie trudność. Nie chciały się sklejać w zdania, a czas oddania materiału się zbliżał.

„Mam nadzieję, że przez kilkadziesiąt najbliższych lat nie napiszę nic równie gównianego” – pomyślała, szcztując tekst. „Może dlatego, że wciąż jestem na haju”.

– O czternastej jestem umówiona z Darkiem – powiedziała, gdy wysłała tekst.

– Robię się zazdrosna – skwitowała Dorota.

– Fajny jest, ale to twoje poletko. Ja nie lubię żonatych.

– Ty nie lubisz żadnych – odszczeknęła Dorota. – I widocznie nigdy jeszcze się nie zakochałaś. Tak naprawdę.

Bożena wzruszyła ramionami. Zamówiła ubera i dwadzieścia minut później wchodziła na komisariat.

– Nie mogłaś mi po prostu powiedzieć, że chcesz porozmawiać ze służącą? – Darek westchnął.

– Naskoczyłeś na mnie. Zresztą, nie byłam w formie. Porozmawiam z nią jutro. A o ekshumację jestem na ciebie zła.

– Ominęła cię atrakcja? – zakpił Darek.

– Czytelnicy na pewno byliby zainteresowani – odparła z godnością.

– To nie jest temat dla prasy. Nie zniżaj lotów. Przedstawiciele rodziny byli obecni, choć oburzeni. Dobrze, że nie zdążyłaś.

Bożena się skrzywiła.

– Czy dokładnie sprawdziliście zapisy testamentu?

Darek wzruszył ramionami.

– Oczywiście.

– Masz kopię?

Kiwnął głową. Grzebał chwilę w stercie papierów, w końcu wyciągnął kilka spiętych kartek. – Czytałem to wiele, wiele razy. Podział wydaje się dość sprawiedliwy. Nie ma o co się spierać.

– A jednak są niezadowoleni.

Policjant kiwnął głową.

– Wszystko wskazuje na Artura Fabiańskiego. To zawsze był rozkapryszony dzieciak, który chciał mieć wszystko dla siebie.

Opowiedziała mu o incydencie z huśtawką. O wizycie w klubie.

– Jesteś nienormalna – skwitował. – Po wypadku poszłaś imprezować?

Wzruszyła ramionami.

– Fabiański to gnojek – skwitowała. – Chce mieć wszystko, a testament... – Zamilkła, wpatrując się uważnie w Darka.

– Wydusisz to z siebie? – przerwał w końcu milczenie.

Potrząsnęła głową.

– Czy ktoś przeczytał uważnie zapisy drugiego testamentu?

– Tego niepodpisanego? – Darek się zastanowił. – Nie jestem pewien. Ja nie. Jeszcze nie zdążyłem.

– Malena Fabiańska nie była miłą starszą panią. Raczej staruchą, która odczuwała satysfakcję, wkurzając innych. Miała też obsesyjną potrzebę kontroli. Sądzę, że wymyśliła jakiś podły plan, by zamieszać w rodzinie. Chciała wrednie chichotać także w zaświatach. Trzeba przeczytać ten projekt, dowiemy się wtedy, kto tak naprawdę był zainteresowany...

– Dzwonię do notariusza – przerwał jej Darek. – Swoją drogą, chyba dobrze znałaś Malenę Fabiańską.

– Znam się na ludziach – odparła Bożena, trzymając nerwy na wodzy.

Policjant milczał chwilę.

– Mówiłem ci, że sekcja ekshumowanego ciała trwa zwykle około pół roku?

Kiwnęła głową.

– Ale patomorfolog też jest ciekawy. I kiedy dostał ode mnie wskazówki...

– To było otrucie, prawda? – Bożena podskoczyła na krześle i od razu syknęła.

– Było siedzieć w szpitalu – mruknął Darek. – Teraz by nie bolało. Ale tak. Malena Fabiańska na pewno została otruta, choć to nieoficjalne.

– Czyli miałam rację – powiedziała z triumfem.

– Rację to miałem ja. Musisz na siebie uważać. Ktoś próbował cię przejechać.

– Macie już tamto auto?

Darek kiwnął głową.

– Czyli znacie sprawcę?

– Właśnie nie. W aktach wypożyczalni ten samochód w tym czasie stał na ich zamkniętym, strzeżonym parkingu.

– Ktoś go na ten czas ukradł? A może tylko podmienił tablice? Jakiś układ z cieciem parkingowym? Zebrałiście DNA z kierownicy? Co pokazały kamery?

– Jesteś dziennikarką czy policjantką? Chyba jednak nie masz pojęcia o naszej robocie. To nie CSI. Zresztą, DNA z kierownicy wypożyczanego samochodu? Na kamerach z chwili wypadku widać postać w wielkim płaszczu. Twarz zakryta daszkiem czapki. Pochylona. Opuszczona osłona przeciwsłoneczna.

– W nocy? – zdziwiła się Bożena.

– Parkingowy zarzeka się, że nic się tej nocy nie działo. Sprawdzamy go. Sprawa jest w toku.

– Dasz mi znać, jak będziesz miał kopię projektu niepodpisanego testamentu?

– Jasne. Zadzwoń po rozmowie ze służącą.

Wyszła z komisariatu bardzo powoli. Zmęczona i obolała. „Moje żebra mówią mi, że powinnam odpocząć” – pomyślała. „A kiedy następnym razem zażyję jakąś pigułkę w klubie, może usłyszę, jak szepczą do mnie rzęsy. Albo przemawia prawy staw biodrowy”.

Zamówiła ubera. Z trudem powstrzymała się przed zaśnięciem w taksówce. A gdy weszła do mieszkania, zdjęła buty, rzuciła torebkę, torbę z notebookiem ustawiła na środku podłogi i po prostu padła na łóżko.

Spała jak kamień dwie godziny. Do dziewiętnastej.

Obudziła się ze zdechłym szczurem w ustach.

– Nigdy więcej – powiedziała do siebie, gdy już wypila trzy czwarte litra wody. – Żadnych cukiereczków, po których odklejenie języka od podniebienia zajmuje dwa kwadransy.

O jedzeniu myślała ze wstrętem, o pracy też. Zasiadła przed telewizorem, czego nie robiła od dawna. Nadawano tam dokładnie to, co zawsze – nic interesującego. Zadzwoiła do matki, Malwina podobno nie opuszczała mieszkania.

Bożena weszła pod prysznic. Potem sięgnęła po książkę, na którą od dawna miała ochotę. Po kilku ostatnich niemal bezsennych nocach i ostatniej balandze planowała pójść spać nie później niż o dziesiątej. Już o dziewiątej poczuła senność, więc wyłączyła światło i zamknęła oczy.

A potem wstawiała co godzinę. Coś ciepłego do picia. Podobno mleko wycisza i pomaga zasnąć. Melisa. Mięta. Rozluźniająca, choć samodzielny masaż stóp.

Nic nie pomogło.

– Jutro pójde do lekarza – obiecała sobie o piątej rano. – Dzisiaj. Odwiedzę Kamilę i to od razu. Chyba pierwszy raz w życiu stawię się gdzieś przed szóstą, nie wyrzekając na nieludzką porę. Zdobęde receptę, choć najpierw będę musiała odpowiedzieć Kamili ostatnie dziesięć lat życia. Potem spotkam się z dziewczyną od Fabiańskich. Zadzwońe do Dariusza po rozmowie. Odwiedzę aptekę. I pojedę do matki.

Ze smutkiem pomyślała o pożegnaniu z córką. Było takie... chłodne, nieserdeczne. Równocześnie odczuła zupełnie niematerialną ulgę. Przez jakiś czas problemy Malwiny będzie musiał rozwiązywać ktoś inny.

– Od teraz będę mogła zwać na niego całą odpowiedzialność – wciąż perorowała na głos. – Choć i tak Gerard będzie twierdził jak każda kolejna ekipa rządząca. *Przez osiem kolejnych lat...* Będę tęsknić... A żeby o tym nie myśleć, pojedę do pracy. O! I wybiorę się jeszcze raz do Fabiańskich. W końcu pošę Artura tam, gdzie jego miejsce. Za kratki. Może jeszcze nie dziś, ale na pewno to zrobię. A na zakończenie dnia wisienka na torcie. Wezmę dwie tabletki i wreszcie zasnę.

Rozdział 22

W poniedziałek o szóstej przy okienku rejestracji w rejonowej przychodni kłębił się tłum. Średnia wieku oscylowała około siedemdziesiątki, Bożena czuła się młoda, piękna i bardzo śpiąca. Wszyscy pozostali przejawiali ożywienie godne Strusia Pędziwiatra na sterydach.

„Człowiek całe życie się uczy” – myślała filozoficznie, dzierżąc dumnie numerkę siódmy. „Do dzisiaj było dla mnie oczywiste, że o szóstej ludzie śpią. A tymczasem śpią tylko lenie, takie jak ja”.

Słuchała korytarzowych rozmów z pewnego rodzaju fascynacją. Licytacja na choroby, wśród których banalne strzykanie w kościach było niewartą wspomnienia umiarkowaną przyjemnością. Tak orientacyjnie analizowano właśnie rozdział ósmy podręcznika do anatomopatologii.

– A pani co dolega? – padło w końcu pytanie, po którym wzrok wszystkich zebranych skupił się, z większym lub mniejszym trudem, na Bożenie. Zamyślona, nie zareagowała w pierwszej chwili, do rzeczywistości przywołała ją nagła cisza.

– Słucham?

– Jak czeka w kolejce, znaczy się, chora? Co dolega? – powtórzyła jedna z pań.

Trudno było jej odmówić logiki, Bożena jednak nie miała ochoty na spowiedź.

– A, takie tam – odpowiedziała. Dodała jednak zaraz, bo krytyczne spojrzenie obecnych wywołało w niej wyrzuty sumienia: – Łamanie w kościach mam, od trzech tygodni, nie wiadomo dlaczego. Nic nie pomaga. – Miała ochotę ubarwić wypowiedź, w tym momencie jednak nastąpiła zmiana warty.

Drzwi gabinetu się otworzyły, jak na sprężynce podskoczyła jedna z pań ze starannie ufrizonowanymi swymi lokami. Zanim poprzedni pacjent wyszedł, stała w gotowości przed gabinetem.

„Kto by pomyślał – przemknęło przez myśl Bożenie – że tak sterana chorobami staruszka wykaże tyle energii”.

Rzeczywiście, pacjentka brylowała w opowiadaniu o niezliczonych dolegliwościach, nie szczędząc przy tym drastycznych szczegółów. Wśród nich dominowało trzydniowe zatwardzenie.

Na szczęście stłoczeni w poczekalni stracili już zainteresowanie dolegliwościami Bożeny. Była młoda, co ona mogła wiedzieć o chorobach. Zajęta się zatem obserwacją. „Ta pani opowiedziałaby mi wszystko o swoich sąsiadach. Łącznie z godziną poczęcia ostatniego dziecka. Ta druga uraczyłaby mnie swoim wypiekiem, raczej pysznym. Drożdżówka zapewne, sądząc po zapachu. Ta – pomyślała o kolejnej – zna ceny we wszystkich okolicznych sklepach, wie, gdzie kupić najtańsze masło. Ta czuje się opuszczona i samotna, wyżywa się zatem na otoczeniu, serwując złośliwość zakrapianą sarkazmem. Ta tęskni za dziećmi i wnukami, które mają ją w głębokim poważaniu. Może w ogóle wyjechały z Polski? Stworzyła rodzinę zastępczą, wianuszek przyjaciółeczek, uczęszcza z nimi na jogę kręgosłupa, jeździ na autokarowe wycieczki wzdłuż wybrzeża i zalicza darmowe seanse kinowe w osiedlowym domu kultury. Fajnie wygląda, swoją drogą, z czerwonymi ustami. Też chcę nosić taką szminkę za czterdzieści lat. Trzydzieści – poprawiła się – jestem już w połowie drogi... Ależ skąd – zreflektowała się – jestem bardzo młoda i taka pozostanę do późnej starości”.

Rozpromieniona weszła do gabinetu chwilę później.

– Cześć! – powiedziała do koleżanki jeszcze z podstawówki.

Kamila uniosła brwi.

– Bożena! Świat się skończył – odpowiedziała lekarka z uśmiechem, który jednak natychmiast zgasł. Poprzedni pacjent cofnął się do gabinetu.

– Pani doktor – zapytał jeszcze cicho. – Jak długo będę brał te tabletki?

W ręce trzymał plik recept.

Lekarka patrzyła na niego z powagą.

– Długo, prawda? – kontynuował.

Lekarka westchnęła i kiwnęła głową.

– Te lekarstwa to dla pana szansa na życie.

– Czyli długo.

– Do końca życia – odpowiedziała cicho.

Mężczyzna bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.

– Jestem tylko internistą, dlaczego muszę odpowiadać na takie pytania? – Westchnęła.

– A musisz?

– Ma przepisana przez onkologa całą tablicę Mendelejewa. Ja tylko przedłużam niektóre leki. Teoretycznie niegłupi facet, ale w chorobie... Nawet nie ogarnia, że nie potrzebuje drukowanych recept. Dość o tym. W ogóle nie powinnam rozmawiać o innym pacjencie.

– Chwila słabości. – Bożena dotknęła ręki koleżanki. – Dobrze cię widzieć.

Kamila uśmiechnęła się delikatnie.

– Co cię sprowadza? Bo rozumiem, że nie przyszedł na plotki. Choć żałuję. – Ostatnie zdanie wypowiedziała lekko sarkastycznie.

– Ile to już umawiamy się na kawę? – zastanowiła się głośno Bożena.

– Od końca podstawówki?

Obydwie prychnęły rozbawione.

– Nie przesadzaj. – Bożena udała urażoną. – Widziałyśmy się... cztery lata temu.

– Sześć – sprostowała Kamila.

– To już tyle?

Lekarka pokiwała głową.

– Ale mam pełną poczekalnię pacjentów. Mów, co cię sprowadza.

– Nie śpię. Zасыpiam o drugiej, budzę się o czwartej.

– To chyba z robotą jesteś na bieżąco? Zazdroszczę.

– Słucham? – Bożena nie kryła zdumienia.

– Dwadzieścia dwie godziny aktywności oznaczają zero zaległości. Masz czas na wszystko, nawet na czytanie romansów.

Bożena się zapowietrzyła. Kamila spojrzała na nią kpiąco.

– Chyba nie wzięłaś tego na poważnie.

Bożena zrobiła minę: nie jestem pewna.

– W takim razie naprawdę dawno się nie widziałyśmy. Od jak dawna nie śpisz?

– Od tygodnia. Niby niedługo, ale...

– Próbowалаś czegoś?

– I tak, i nie. Żadnych prochów nasennych ani uspokajających, ale mam przeciwbólowe ze szpitala.

– Ze szpitala?

– Miałam drobny wypadek. Potłuczone żebra, nic wielkiego.

– Kiedy?

– W minioną środę.

– Słucham?

Bożena wywróciła oczami.

– Dobra, nic nie mówię. Musisz spać. To banał, ale sen sprzyja rekonwalescencji. Przepiszę ci prochy, powinny zadziałać. Nie zażywaj ich dłużej niż dwa tygodnie. Pomocny byłby higieniczny tryb życia. Jakaś melisa?

– Wszystkiego próbowałam. Mięta, ciepłe mleko z miodem, liczenie baranów, spokojne oddychanie, relaksacja według Jacobsona...

– Komplecik, jednym słowem – wtrąciła Kamila. – Bezsenność zawsze bierze się z czegoś. Wyślę ci kod do recepty. Na maila czy esemes?

Pożegnały się uśmiechami.

Zadowolona Bożena pojechała wprost do Mondo.

Tym razem nie czekała długo. Już za dziesięć ósma służąca z domu Fabiańskich weszła do kawiarni.

– Jestem Karolina – powiedziała, witając się z Bożeną. – I nie mam wiele czasu. O dziewiątej muszę być na Rokosowie.

– Zamówiłam kawę, a dla pani?

– Dziękuję. Nie mam czasu. Chciałabym tylko powiedzieć, że pani Malena powinna jeszcze żyć. Była wredna, ale pełna woli życia.

– Tak też ją postrzegałam. Bywałam u niej tylko czasami, kiedy Edmund miał dla niej przesyłkę, ale też uważałam, że dobrze się bawi.

– Ona czekała na moment, aż wszystkim powie o nowym testamencie. Podśmiewała się, drażniła z nimi. Opowiadała, kogo wydziedziczy. Cieszyła się ich emocjami. Ona miała cel.

– Kogo dokładnie szantażowała?

– Nie użyłabym tego słowa – powiedziała dziewczyna z zastanowieniem. – Pani Malena miała silny charakter. Potrzebowała rozrywki, a w ostatnich dniach nie była już sprawna... W każdym razie nie samodzielna. Denerwowało ją to, potrzebowała decyzyjności. Testament to było jedyne, czym mogła zwrócić na siebie uwagę. Bo marudzenie przy posiłkach czy nawet rzucanie talerzami już nie robiło wrażenia. A kto słyszał? Wszyscy. Mówiła o tym głośno i niemal każdemu. Nawet służbie groziła, że w nowym testamencie nie będzie dla nich zapisów. Nie wierzę w to. Potrafiła docenić dobrą pracę, co widać chociażby w naszych pensjach.

– Sowite wynagrodzenie to dla niektórych pewnie jedyny powód, by tam pracować – sarknęła Bożena.

– Nie. Raczej nie. Wbrew pozorom byliśmy zżyci z panią... w pewien sposób. Trudno to wytłumaczyć. Niemniej każdy znał straszaka.

– Czyli każdy mógł ją otruć.

Karolinę zatchnęło.

– Cóż, jeśli tak pani to określa... Tak. Właśnie tak. Każdy.

„I co gorsza, ktoś to zrobił” – pomyślała Bożena, zachowała jednak ten wniosek dla siebie.

– Poza tym... – Dziewczyna się zawahała.

Bożena wstrzymała oddech.

– Słyszałam rozmowę – powiedziała Karolina po chwili przerwy. – Pan Artur powiedział, że wreszcie będzie w domu spokojny. A pan Stefan... Rozmawiali w korytarzu, a pan Stefan nic nie odpowiedział. Nie zaprotestował. Zatrzymał się tylko i popatrzył na syna tak przeciągle. „Dobrze się stało”, to jeszcze dodał Artur. Potem pan Stefan mnie dostrzegł i musiałam odejść.

– Spokój? – Bożena nie powstrzymała się od komentarza.

Karolina kiwnęła głową.

– W domu niby panuje żałoba, a jednak... jest dziwnie. Nikt nie martwi się naprawdę.

– Malena Fabiańska była starszą panią. Śmierć przyjdzie na każdego – wtrąciła Bożena. – Do tego starszka była, delikatnie mówiąc, niesympatyczna. Więc wcale się nie dziwię, że się nie martwią.

– Źle się wyraziłam – skwitowała Karolina. – Nie chodzi o zmartwienie. Raczej o... Smutek byłby odpowiedni, prawda? A go tam nie ma. Muszę już lecieć. – Spojrzała na zegarek. – Do widzenia.

Bożena siedziała jeszcze chwilę, zamyślona nad pustą już filiżanką. W końcu zapłaciła i pojechała do matki.

Gerard nerwowo kręcił się po mieszkaniu.

– Mielśmy wyjechać przed ósmą – powiedział na widok Bożeny. – Czekaliśmy na ciebie.

– Miałam ważne spotkanie – powiedziała.

– Co jest ważniejsze od córki? Malwina nie chciała wyjeżdżać bez pożegnania z tobą – wyszczał.

– Jestem – powiedziała Bożena cicho.

– Mamo? – Usłyszała.

Odwróciła się i rozłożyła ramiona. „Jak w tandetnym filmie familijnym” – pomyślała, nic jej to jednak nie obchodziło. Poczła gorąco pod powiekami. Objęła swoją krnąbrną trzynastoletnią córkę i poczuła ciepło w całym ciele, a łzom po prostu pozwoliła popłynąć.

– Jedziemy – powiedział Gerard.

Bożena zerknęła jeszcze na Otylię, która nie odezwała się słowem poza zdawkowym: „Do zobaczenia”.

Takie oryginalne, piękne imię! Chichotem losu zmarnowane na złodziejkę cudzych mężów.

Chwilę później machała im, stojąc na skrawku trawnika, na którym niegdyś stał kiosk RUCH-u.

Bożena nie miała złudzeń. Spotka się z córką za kilka miesięcy albo za rok. Lub kiedy ona pojedzie na Śląsk. Na co oczywiście nie miała najmniejszej ochoty, bo to oznaczało nie tylko widzenie z Malwiną, ale także z flamą Gerarda.

– Wejdiesz na śniadanie? Kawę? – zapytała matka, pojawiając się w oknie mieszkania, ale Bożena pokręciła głową. Potrzebowała teraz samotności.

Pojechała do redakcji „Wiadomości”. Szybko załatwiła, co trzeba, potem w radiu podobnie. Dzisiaj słowa układały się same.

„Wystarczy tylko dostać receptę na dragi – pomyślała ironicznie – nawet wykupować nie ma potrzeby”.

Zadzwoiła do Dariusza.

– Mam kopię niepodpisanego testamentu – powiedział. – Dostałem mailem. Nic nowego tu nie ma.

– Będę za dwadzieścia minut – odpowiedziała.

Darek zszedł po nią praktycznie natychmiast. Czytała dokument z uwagą, nic jej nie zaskoczyło.

– Artur byłby stratny najbardziej – komentowała na bieżąco. – Ale, wbrew oczekiwaniom, Agnieszka i Władek także nie byłiby ukontentowani. Tak naprawdę beneficjentem nowego testamentu byłaby rodzinna fundacja, konik Stefana Fabiańskiego. Zapisy dla służby są nawet większe. Nie ma tylko tego. – Wskazała palcem. – Legatów dla potomków jej męża. Ale to grosze w całej masie, choć obiektywnie suma jest niebagatelna.

– Właśnie. Czyli niemal każdy z rodziny był zainteresowany tym, żeby nowy testament nie wszedł w życie – skomentował Darek.

– Ale Agnieszka i Władek nie mieli możliwości podtruwać staruchy. Wszystko wskazuje na Artura – podsumowała Bożena. – Jadę do Fabiańskich.

– Zamierzasz go aresztować? – zakpił Darek.

– Nie. Podpuścić, czegoś się dowiedzieć.

– Przypominam ci, że morderca się nie zawaha. Zabije znów, jeśli poczuje się zagrożony.

– Spokojnie. W środku dnia pojedę z oficjalną wizytą. Jak uczy doświadczenie, powinnam uważać wieczorami i w odludnych miejscach.

Policjant pokręcił głową.

– Uważaj na siebie.

Już o czternastej stała pod rezydencją Fabiańskich. Czekala kilka minut, nikt jednak do niej tym razem nie wyszedł. Po prostu otworzyły się wrota.

Wjechała na podjazd, zostawiła samochód na środku. W wejściu, oparty o framugę, stał Artur Fabiański. Przyglądał jej się z lekko ironicznym uśmiechem.

– Nie uznaje pani standardowych miejsc do parkowania, prawda? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nie szkodzi – kontynuował Fabiański. – I tak zaraz pani odjedzie. Ojciec jest zajęty, ma gości.

Sięgnęła po torebkę, kluczyki zostawiła w stacyjce. „Całe szczęście, że umyłam ostatnio stokrotkę” – pomyślała.

– Nie szkodzi. Chętnie porozmawiam z panem. Z tobą.

Zaśmiał się chrapliwie. „Czy on mnie uwodzi?” Dreszcz przeszedł Bożenie po plecach.

– W czym mogę pani pomóc? – zapytał, zamykając za nią drzwi.

Weszli do gabinetu, w którym wcześniej spotkała się z seniorem rodu, Artur zostawił jednak otwarte drzwi. Dziewczyna z tacą pojawiła się, jak poprzednio, właściwie bezszelestnie. Nie spojrzała na Bożenę.

– Poprosiłem o espresso dla pani – powiedział z uśmiechem.

– Chciałabym porozmawiać o pana babci. – Bożena postanowiła przejść do ataku.

– O naszej drobnej staruszczyce? Babuleńce rozdającej dobrotliwie kuksańce? Co chce pani wiedzieć?

– Ile było wersji testamentu? – Skrzywiła się ironicznie.

Artur Fabiański uniół w zdziwieniu brwi.

– Nie traci pani czasu. – Westchnął i popatrzył w okno. – Nie mam pojęcia, ile było wersji testamentu. Ja znam przynajmniej pięć. Zdecydowanie chciałem, żeby jedna z tych wersji nie została podpisana.

– Cóż za otwartość.

Uśmiechnął się zgryźliwie.

– Teraz to i tak już nieistotne. Zresztą w ogóle moje zdanie nie ma znaczenia. Nikt nie byłby zadowolony z tamtego testamentu. Ciotka nie. I wuj też. Ale oni się nie liczą.

– Ty się liczysz – powiedziała Bożena.

– Ja?

– Jesteś jedyną nadzieją rodu na zachowanie nazwiska.

Patrzył jej prosto w oczy. Milczał długą chwilę. Wstał, otworzył barek, nalał sobie do szklanki z rżniętego kryształu whisky na dwa palce. Uniósł butelkę z pytającym wyrazem twarzy, Bożena pokręciła głową.

– Przecież jestem gejem. Nie zamierzam się żenić ani mieć dzieci. Babka o tym doskonale wiedziała.

– Właściwie bi, czyż nie? Flirtowałeś ze mną. Zapewne z kurtuazji, stare baby nie są w twoim kręgu zainteresowań, jak sądzę.

– Bardziej lubię chłopców.

– Skąd więc zapis w testamencie? Tym niepodpisanym?

– Babunia lubiła załatwiać sprawy po swojej myśli. Próbowala mnie zmusić do ożenku, ale tak z pięć lat temu. Dziewczyny są okej, ale bardziej lubię swojego chłopaka. W końcu babka zrozumiała, że orientacja to nie choroba, nie da się wyleczyć pigułką. – W ostatnim zdaniu uniół głos. Szybko się jednak uspokoił. – Skąd te pytania?

– Lubisz pigułki? – Bożena nie przestawała prowokować.

Poruszał rytmicznie szczęką.

– Zabawa się skończyła – powiedział w końcu. – Nie wiem, skąd taki wniosek. Jeśli były jakiegokolwiek pile, dawno zaginęły w akcji. Nie wypłynęły w żadnym bagnie, nie narobiły gówna. Nikt nie umarł, kroniki policyjne milczą. I oczywiście nie ma na to żadnych świadków. Więc myślę, że miło się rozmawiało.

– Ja widziałam, ale to nie ma znaczenia, prawda?

Fabiański milczał, patrząc jej wyzywająco w oczy.

Bożena kiwnęła głową.

– Jeszcze tylko jedno. Powiedziałeś, że twój ojciec nie byłby zadowolony z nowego testamentu?

Artur zaśmiał się chrapliwie. Dopił whisky.

– Babunia chciała większość rodowego majątku zapisać na fundację, z czego miał się cieszyć?

– To przecież konik twojego ojca? Fundacja imienia zmarłej ukochanej żony?

Znów się zaśmiał.

– To pieniądze, których nie można ruszyć. A ojciec ich potrzebuje. Plastomal... Nieważne. Przez lata ojciec był zarządcą, ale ile można czekać na miejsce przy sterach? Ma siedem dych!

– Mamy chyba wszystko – powiedziała Bożena, wstając.

Fabiański nie odpowiedział. Nie odprowadził jej do drzwi, a gdy ruszyła z podjazdu, brama otworzyła się niczym za wypowiedzeniem zaklęcia.

Bożena zerknęła na zegarek. Wciąż było wcześniej, a do redakcji nie musiała już dziś wracać. Pojechała pod dom.

Weszła do apteki, w której znów przeczekwała staruszkę łaknącą rozmowy i chłopaka, który nie potrafił wydukać, że potrzebuje przerwy.

– Pani też? – Aptekarka pokręciła głową, odczytując receptę. – Wszystko ze stresu. Za szybko żyjemy. Ludzie nie mają czasu dla innych. Nie rozmawiają ze sobą, starzy nie mogą liczyć na opiekę dzieci. Wie pani, ta Małgorzata spod trójki w końcu oddała ojca do zakładu.

– Dawał rodzinie w kość, prawda? – Bożena z trudem przypominała sobie twarz Małgośki i historię, którą kiedyś opowiedziała jej dozorczyńni.

– Dawał, nie dawał, w końcu ojciec. – Farmaceutka pokręciła głową. – Chociaż ta Małgośka to zupełnie sama została z opieką nad ojcem. Tomek, ten brat, wie pani, przystojny taki, to do ojca raz w tygodniu wpadał, na pół godziny, matka już leciwa, sił nie ma, więc wszystko na tej Małgośce. Nie mam dwóch opakowań, może być jedno? Drugie sprowadzę na jutro, może być?

– Oczywiście. – Bożenie chwilę zajęło przeskoczenie z tematu na temat. – Dziękuję.

Chwyliła pudełko z lekami i dwadzieścia minut później wchodziła już do domu.

Przed zaśnięciem zadzwoniła jeszcze do Darka.

– To Stefan Fabiański – powiedziała. – Plastomal ma długi, poza tym stary nie mógł się doczekać korony. A kiedy się kapnął, że matka zamierza większość majątku przepisać na fundację, zrozumiał, że tron nigdy nie będzie jego.

– Twierdzisz teraz, że to nie Artur? – Usłyszała lekko ironiczne pytanie.

– Stary miał lepszą motywację. I równie dobre możliwości.

Darek udzielił jakiejś odpowiedzi. Nie zapamiętała jej. Już spała.

Oczywiście nie była to zasługa magicznej pigułki, a przekonania Bożeny, że tak właśnie ta tabletką powinna zadziałać.

Obudziła się w fantastycznym nastroju. Wstała, przeciągnęła się i wyszła do kuchni. Pstryknęła czajnikiem, po czym wyjrzała za okno. Zdziwiła się. Panowała tam kompletna cisza. Włączyła telewizor, radio, nie chciała wierzyć. Była czwarta rano.

Rozdział 23

O ósmej była na komisariacie.

– Artur Fabiański cię nie potrącił. To wiemy już na pewno – powiedział Dariusz zaraz po przywitaniu. – W tym czasie bawił się w klubie nocnym, zweryfikowaliśmy to na nagraniach z kilku kamer. Tak klubowych, jak i miejskich. Z fantazją godną czwartego muszkietera zatrzymał się przy rynku i namiętnie całował swojego chłopaka, ustawiony na wprost ratusza, na oświetlonym pasie płyty rynku. Może to coś jak oficjalny *coming out*. Musieliśmy go zwolnić.

– Nie musiał siedzieć za kierownicą – głośno myślała Bożena. – Mógł otruć babkę.

– Przypuszczam, że to jednak nie on.

– Stefan?

– Możliwe. – Aspirant westchnął. – Problem w tym, że nie mamy jak tego dowieść. W czym była trucizna? To musimy ustalić.

– Może rewizja w kuchni?

– Wpadłem na to, ale to nieproste. Uzyskanie zgody na ekshumację było łatwiejsze, choć abstrakcyjnie trudne.

– Jasne. To wpływowa rodzina – prychnęła Bożena.

– Poza tym sprawdziłem coś jeszcze. Władek. Mówiłaś, że potrzebuje pieniędzy. Ma karciane długi. Wezwałem go dziś na przesłuchanie.

– Będzie awantura – stwierdziła Bożena. – Naruszasz świętość zacnej rodziny.

– A skoro już dowiedziałem się tego, to sprawdziłem także Agnieszkę. I kolejne bingo. Jej drugi mąż ma kłopoty. Dom obłożony jest hipoteką, zalegają nawet z czesnym na szkołę dzieci.

– Kiepsko – stwierdziła Bożena. – Ale Władek i Agnieszka nie mieli możliwości podtruwania matki.

– Chyba że kogoś wynajęli – zauważył policjant.

Bożena przyglądała mu się chwilę.

– Nikt z rodziny nie byłby zadowolony z tego niepodpisanego testamentu.

– Czyli każdy był zainteresowany, by pozostała obecna wersja – dokończył jej myśl Darek. – Dość szatański pomysł.

– Zamordowanie kogokolwiek jest pomysłem iście diabelskim – skwitowała Bożena.

– Dowody zmowy na pewno znajdziemy – stwierdził Dariusz. – Jeśli taka istniała. Policja musi przestrzegać procedur, dlatego czasami wydaje się, że działamy opieszale. Tak jednak nie jest. Zawsze dochodzimy do prawdy. Jak widzisz, udało mi się sprawdzić informacje nawet w Kanadzie.

– Mogłabym dostać kopie obu testamentów? Tam musi się kryć odpowiedź.

Policjant się zawahał.

– Zawsze mogę poprosić mojego kolegę notariusza, ale to potrwa, a chyba nie mamy czasu, prawda? – Uśmiechnęła się złośliwie.

Dariusz kiwnął głową bez przekonania, jednak otworzył komputer i wydrukował dwa dokumenty.

– Może jednak popracuj nad tą rewizją. Czymkolwiek ją truli, musiały pozostać jakieś ślady. W kuchni, spiżarni, garażu, jakimś schowku, może piwnicy. Gdzieś ta trucizna została do żarcia dodana. Zaczęłabym od kuchni.

Chwyła dokumenty i pojechała do radia. Dorota była w studiu, Bożena spokojnie zatem usiadła przy biurku. Sprawdziła maile, chwilę popracowała. Nie mogła się jednak skupić. Wyciągnęła dokumenty od

Darka i zagłębiła się w lekturze.

– Malena Fabiańska połowę majątku planowała przepisać wnukowi – mruczała do siebie Bożena. – Wprawdzie nową wersją testamentu chciała go zmusić do spółdzenia potomstwa, ale to nie byłby dla Artura taki problem. Może i kocha swojego chłopaka, ale dziewczynami też nie pogardzi. Dla takiej kasy dałby radę. Żona, dziecko i kochanek, tak się da żyć. Nie mogło o to chodzić. Nie wierzę.

Zatem Stefan Fabiański? Ten dżentelmen? Bożena przypomniała sobie jego stalowy wzrok, stanowcze gesty. Byłby do tego zdolny?

Wróciła pamięcią do tego, co mówił Mietek. Twierdził, że Agnieszka ma dostatnie życie i nie żeruje na spadku po matce. Poradziła sobie bez rodziny, o co zresztą Malena Fabiańska miała do córki pretensje, bo lubiła, jak jej oddawano hołdy. Malena Fabiańska nie akceptowała adoptowanych dzieci, uważając, że wnuki mogą być tylko biologiczne. To też było niezłym zarzewiem rodzinnej awanturki. Agnieszka zadeklarowała, że jeśli dostanie jakiegokolwiek pieniądze, przeznaczy je na cele charytatywne. Ale na żadną kasę nie liczyła. Nie potrzebowała pieniędzy matki, dlatego Malena nie mogła jej szantażować. Synowi Fabiańskiej, Władowi, wprawdzie nie powiodło się aż tak fartownie jak siostrze, ale też na spadek nie liczył.

– Tyle Mietek – skomentowała głośno Bożena. – Ale on nie miał pełnej wiedzy – dodała.

Na studiowaniu testamentu zastał ją Edmund.

– To jest twoja praca? – powiedział wyraźnie zirytowany.

– W naszym mieście dokonano morderstwa – warknęła.

– Tak, słyszałem tę twoją teorię. Głupoty. Za robotę się weź.

– Mam materiały przygotowane na najbliższe dwa tygodnie.

– Znajdę ci jakąś wdzięczną interwencję – odpowiedział wkurzony i wyszedł.

„Co go ugryzło?” – zastanowiła się Bożena. „Zawsze był dupkiem i taki pozostanie”.

Skupiła się na testamentach. Czytała, analizowała, rozmyślała – nic. Coś jej nie dawało spokoju, nie potrafiła jednak stwierdzić co.

Wróciła Dorota, wypili kawę, zjadły bułeczki z Drzewiańskiej, pracowały. Bożenie cały czas towarzyszyło przeświadczenie, że coś przegapiła.

– Byłam przekonana, że to Artur Fabiański pomógł babuni w spokojnym przejściu na drugą stronę – powiedziała w końcu. – Miał wszystko, możliwość, a przede wszystkim motyw. No i czuł się chyba odrobinę zagrożony moim grzebaniem w sprawie. Do tego czerwony samochód... Choć tamten był z wypożyczalni. Ale i tak wszystko pasuje. Tylko że policja go wykluczyła.

– Wykluczyła, że to on próbował cię przejechać. Co do wspomagania babuni na razie nic nie wiadomo.

– Ale zabić mnie chciał ktoś, komu przeszkadzało moje grzebanie w sprawie. W tym zgadzam się z Darkiem. A skoro to nie Artur... – Bożena rozłożyła ręce. – Podejrzewają Stefana.

– Tego dżentelmena?

– Właśnie. Kompletnie mi to nie pasuje. W obydwu testamentach jakoś tam miał zostać uwzględniony, a zresztą on już wspominał o emeryturze. Plastomal jest wprawdzie zadłużony, ale to jednak kiepski motyw. Tak czy siak, dostałby sporo kasy. Może się nie mógł doczekać? Albo pokłócił się z matką? Choć nic na to nie wskazuje.

– Jak chyba w każdej sprawie, najważniejsze jest zrozumienie po co – rzuciła filozoficznie Dorota.

– Ja myślę, że wiadomo po co – powiedziała Bożena.

– Czyli wiemy kto! – ucieszyła się Dorota.

– To ja miałam być głupia, nie ty – prychnęła Bożena. – Właśnie nie wiemy! Staruchę ukatrupiono po to, by nie zdążyła podpisać nowej wersji testamentu. Ale kto to zrobił?

Dorota patrzyła na przyjaciółkę z niedowierzaniem.

– Czy ty siebie słyszysz?

– Ale że co?

– Trzeba dokładnie sprawdzić, co miało być w tym testamencie. W tym niepodpisanym.
– A co robię od samego rana? – zirytowała się Bożena.
– Daj mi. – Dorota wyciągnęła rękę. – Może ja zobaczę coś, co ty przeoczyłaś.
– Mam dość – powiedziała Bożena. Poczula, że się dusi. – Wychodzę i już dzisiaj nie wracam. To jest jakiś absurd. Morderstwo. W Koszalinie! Moim miejscu do życia.
– Jedno udane, drugie jeszcze nie – powiedziała Dorota.
– Co ty powiedziałaś?
– Ktoś próbował cię zabić, prawda?
– Ktoś, kto wiedział, gdzie jestem... – wyszeptła Bożena. – Ale skąd miałyby to wiedzieć? Nikomu się nie opowiadałam... Muszę to sobie poukładać.

Wsiadła w czerwoną stokrotkę i ruszyła powoli nad morze. O tej porze roku spacer promenadą był jak oddech wiatru. Splątane włosy, uspokajający huk i coś, co należałoby nazwać: nieobecność.

– Chodzę tutaj jak głupia – mówiła wciąż do siebie. – Wokół niemal nikogo, jakby ktoś mnie chciał zaciukać, to żadnych świadków. Sama się pcham w łapy... kogo? A może przesadzam. – Pokręciła głową i zawróciła.

Usiadła w Meduzie, niegdyś lokalnej spelunie, od prawie trzydziestu lat eleganckim, całorocznym lokalu, co w Mielnie wcale nie było oczywiste. Poprosiła o espresso i zapatrzyła się w morze, które widziała spienione, szare na horyzoncie.

Zerknęła na telefon. Trzy połączenia od Doroty.

Oddzwoniła, gdy trochę odtajała. Nadmorski wiatr wwiercił się w każdy por skóry.

– Edmund chodzi po redakcji i cię szuka. A wkurzony jest niczym marcowy sztorm na morzu.
– Jestem w Mielnie. Muszę pomyśleć. Powiedz mu, że już dzisiaj nie wrócę. Jestem w pracy, zbieram materiały, cokolwiek.

– Spoko. A z tym testamentem... Powiedz, czy ktokolwiek z was badał, kim są ci spadkobiercy po byłym mężu Fabiańskiej? Nie są wyszczególnieni, jakby...

– Jakby się ich wstydziła – uzupełniła Bożena. – Ale Mietek musi ich znać. A w nowej wersji w ogóle ich nie ma. Tego szukałam. Jesteś genialna.

– Oczywiście – odpowiedziała Dorota z prostotą. – Ja to wiem od dawna, cieszę się, że otoczenie to wreszcie dostrzegło. Muszę kończyć, znowu Edmund tu lezie.

Bożena usiadła zamyślona. Zbierała wszystkie wrażenia z ostatnich tygodni. Przebliski, zastanowienia. Sięgnęła po serwetkę, zaczęła notować w punktach, szybko przeszła na nieczytelne dla innych bazgroły. Po chwili stolik zapełnił się pomazanymi serwetkami.

– Może przyniosę pani kilka kartek?

Bożena podskoczyła. Zamyśliła się tak, że nie usłyszała podchodzącej kelnerki.

– Tak, poproszę – powiedziała, uśmiechając się blado.

Nie potrzebowała już tego papieru. W głowie wszystko miała poukładane.

Wybrała numer do Darka, nie odebrał.

– Jadę do ciebie. – Nagrała mu wiadomość. – Musimy sprawdzić jeszcze jedną rzecz. I wszystko będzie wiadomo.

Kiwnęła głową kelnerce, zostawiła na stoliku spory napiwek i skierowała się do samochodu.

Wychodząc zza winkła, dostrzegła znany sobie samochód. Odruchowo cofnęła się, a potem patrzyła, jak parkuje. Naprawdę wszystko już wiedziała.

Rozdział 24

- W pewnym sensie wszyscy są winni – powiedziała Bożena.

- System, zaniedbania rodzinne, szkoła, to chcesz powiedzieć?

- Cóż... – Bożena się zawahała.

- Czy raczej to, że siebie też obwiniasz?

Bożena wciągnęła głośno powietrze.

- Chodzi mi o to – powiedział spokojnie Darek – że jeden z twoich artykułów, ten sprzed dwóch lat, dotyczący majątku rodziny i przeznaczania pieniędzy w zapisach testamentowych, spowodował Malenę do przemyślenia sprawy. Więc jesteś winna. Wszyscy są winni. Artur Fabiański.

- Co ty mów...

- Stefan Fabiański – przerwał jej Darek.

- To niemożliwe. On...

- Agnieszka Fabiańska. Władek. Mam wymieniać dalej? Cała rodzina. Każdy. Wszyscy postanowili zapobiec przekazaniu majątku rodziny biednemu dziecku. Malena Fabiańska. A nawet i jej były mąż. Po co ją zdradzał? Nie byłoby całej awantury.

- Podli mali ludzie – skwitowała Bożena.

- I niczego nie zauważyłaś?

Bożena zazgrzytała zębami.

- Pod latarnią najciemniej. Było dla mnie kompletnie niejasne, dlaczego miałby chcieć ją otruć? To wydawało się niemożliwe.

Darek spojrział na nią ironicznie.

- Niemożliwe to jest podrapać się piętą po plecach.

- Nieprawda. Widziałam człowieka, który to potrafi – odruchowo odszczeknęła Bożena.

Wywrócił oczami.

- Jesteś nieznośna. Cieszę się, że mamy tę sprawę z głowy. Jestem zmęczony komendantem, który siedział mi codziennie na głowie. Też chyba miał dość tej rodzinki. Konieczności delikatnego traktowania, niczym porcelanowej zastawy, tych skomplikowanych, antagonistycznych relacji, powiązań z elitą Koszalina, przekonania o wyższości wynikającego z posiadanego majątku. I ciebie też mam dość.

- Tej wścibskiej baby, która ma, niestety, prawo do zadawania pytań? – z zadowoleniem przerwała mu Bożena.

- Właśnie. I tego, jak mali okazują się ludzie, właściwie wszyscy, bez wyjątku – dokończył. – Ale to akurat dotyczy nie tylko tej sprawy.

- Podsumujmy – powiedziała Bożena.

Darek kiwnął głową.

- SzeF Radia Koszalin jest synem męża Maleny Fabiańskiej. Urodził się kilka lat po ich rozwodzie, jest zatem przyrodnim, sporo młodszym bratem Stefana. Zaś Malena Fabiańska po rozstaniu uznała swojego męża za zmarłego. Oficjalnie nie dopuszczała do siebie żadnych faktów z jego życia, po prostu zamknęła ten rozdział. Dyskretnie jednak śledziła jego losy, stąd spotkanie w Mielnie. Ich dzieci, Stefan, Agnieszka i Władek, nie miały kontaktu z ojcem. Zresztą wyjechał z Koszalina na dłuższy czas, wrócił po cichu, bez rozgłosu. Miał dwoje dzieci, starszą córkę, która zginęła w wypadku samochodowym jako nastolatka, i młodszego Edmunda.

- A ten się szybko zorientował, że jego przyrodnie rodzeństwo to najbogatsza rodzina w Koszalinie. - Bożena dokończyła wypowiedź policjanta. Zamilkła na chwilę. Zrozumiała, że nieświadomie pomogła Edmundowi truc starszą panią.

- On podsyłał jej ciasteczka, prawda? - powiedziała w końcu.

- Prawdopodobnie właśnie nimi podtruwał staruszkę.

- Staruchę chyba.

- Niech będzie. - Policjant lekko się skrzywił. - Dokładne wyniki dopiero dostaniemy, ale wstępnie tak można założyć. Patomorfolog twierdzi, że trucizna była zapewne dostarczana systematycznie przez dłuższy czas, a Malena lubiła ciasteczka.

- Lubiała? Pod koniec życia tylko je chciała jadać.

- Czy ty...

Bożena nie dała policjantowi dojść do słowa. Po co miałby dochodzić do niepotrzebnie dogłębnych wniosków?

- A przez kogo zostałam potrącona? Wiecie to w końcu?

- Żadnych konkretów, ale jeden z pracowników wypożyczalni ma pewne powiązania. - Policjant zamilkł.

- To jakaś teatralna sztuczka? Budowanie napięcia? - Bożena prychnęła zirytowana.

Darek wyrócił oczami.

- Facet był dwukrotnie zatrzymany, ma powiązania ze światkiem dilerów. Niczego mu nie udowodniliśmy, na razie, ale prawdopodobnie to on siedział za kierownicą.

Bożena zbladła.

- Wygląda zatem na to, że Fabiańscy nie mieli z twoim wypadkiem nic wspólnego. Pewnie zostałaś potrącona w wyniku pomyłki.

- Jasne - wybąkała. - Podsumowując. Edmund usłyszał, że Malena Fabiańska zamierza kompletnie pominąć go w nowej wersji testamentu, i nie potrafił się z tym pogodzić.

- Ty znasz go lepiej - uzupełnił Darek. - Mnie się jednak wydaje, że bardziej niż odcięcie od pieniędzy bolał go brak uznania za członka rodziny. Wydziedziczenie oznaczało ostateczne potwierdzenie, że jest dla Fabiańskiej nikim. Nie chciał do tego dopuścić za żadną cenę.

- Nie potrafił tego zaakceptować - zgodziła się Bożena. - W końcu zrozumiałam, dlaczego Edmund jest takim małym, karłowatym człowieczkiem.

- A to przypadkiem nie stygmatyzowanie? Żarty z czyjśgo fizys są okrutne i niepoprawne politycznie. - Patrzył na Bożenę prowokująco.

- Ależ ja nie o tym - odpowiedziała uprzejmie. - Zdziwiona jestem, że w ogóle przeszło ci to przez myśl. - Spojrzała na niego z wrednym uśmiechem. - Ja mówiłam o cechach osobowości. Miałam codzienną nieprzyjemność ich doświadczać i z całą pewnością mogę stwierdzić, że to mały człowieczek. Mentalnie, dodam na wszelki wypadek, by uniknąć niepotrzebnych niedomówień. Ale rozumiem już, dlaczego ojciec Stefana Fabiańskiego wydał mi się znajomy.

- Widziałas go? Przecież on nie żyje.

- Na zdjęciach. W pokoju Fabiańskiej i bibliotece Stefana. Oczywiście jest podobieństwo Stefana czy Władka do ojca, ale ja widziałam w nim jeszcze Edmunda, tylko nie potrafiłam sobie tego uświadomić. Okropnie mnie to uwierało.

- Tak czy siak, mam tej sprawy dość.

- Jeszcze podziękowania - stwierdziła Bożena.

- Słucham?

- Gdyby nie ja, nikt by się nawet nie domyślił, że stara Fabiańska została zamordowana.

- Fakt, dziennikarskim nosem wyniuchałaś coś, na co nikt inny nie zwrócił uwagi.

– To było tylko połączenie kropki – zripostowała z dumą Bożena.

– Oczywiście, rozumiem. – Policjant spojrział jej w oczy lodowato. – Nikt nie był wystarczająco bystry, by je połączyć. I pozostaniemy przy tej wersji. – Gestem wskazał, by mu nie przerywała. – Niemniej...

– Oczekiwałamby podziękowań. Bez mnie ta zbrodnia pozostałaby nieodkryta. – Bożena jednak mu przerwała.

– Dziękuję zatem serdecznie. Niemniej wolałbym, żebyś się już więcej nie wtrącała. Żadnych telefonów w sprawach starszek mordowanych w swoich łóżkach, interwencji w sprawie kotów porzuconych nad Dzierżęcinką i innych takich.

– Czy ja kiedyś dzwoniłam w sprawie kotów? – zdziwiła się Bożena.

– Jeszcze nie. – Aspirant się uśmiechnął. – Spodziewam się jednak twojego całkowicie niepożądanego zaangażowania w sprawy społeczno-kryminalne. Po prostu się zabezpieczam.

– Nie ma to jak policyjna wdzięczność – mruknęła Bożena.

Chwyliła torebkę i skierowała do wyjścia. Darek pożegnał ją szerokim uśmiechem.

Wyjście przysłonił cień. Uniosła oczy i całą głowę. Przed nią stał funkcjonariusz policji. Coś tam miał na pagonach, nie znała się na tym. Ale oczy... Oczy zapamiętała. Turkusowoniebieskie, w kolorze letniego morza, tak by je określiła.

Wyszła jednak na ulicę przekonana, że świat jest złym miejscem. Poczuli, że potrzebuje porozmawiać z kimś dobrym. Z kimś, kogo bezwarunkowo kocha.

Wyciągnęła już telefon, kiedy poczuła, że jedna noga całkowicie nie chce jej słuchać. Nie zdołała jednak powstrzymać kolejnego kroku, straciła równowagę i legła na chodniku jak piłkarz bezskutecznie łapiący gałę. Usiadła, zgrzytnęła zębami na widok sporej dziury w rajstopach, a gdy sięgnęła po but – zakląła. Cudowna szmaragdowozielona szpilka ironicznie szczyrzyła się do niej ze szpary pomiędzy chodnikowymi płytami. Szarpnięcie wyrwało obcas z buta i na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że nie uda się uszkodzenia naprawić.

Wstała i kuśtykając, podeszła do najbliższej ławki. Pomacała staw skokowy, wyglądało na to, że but przyjął na siebie wszelkie konsekwencje upadku. Kostka zdawała się nawet nieskręcona i chyba nic nie było złamane. Poza obcasem i dumą. Dodatkowo żebra szarpnęły niemiłosiernie. Nie jest fajnie być po wypadku.

Bożena kilkakrotnie zmeła przekleństwo w ustach.

Zadzwoniła do córki.

– Cześć! – Malwina przywitała ją, mlaszcząc.

– Co u ciebie? Jesz coś dobrego? – Bożena uśmiechnęła się ciepło.

– Otylia zrobiła naleśniki z serem. Fajne.

– Jecie naleśniki na obiad?

– Nie zawsze musi być mięso, mamo.

– A ty nie byłaś na diecie bezglutenowej? – Nawet przez telefon Bożena usłyszała irytację w westchnieniach córki. Szybko się wycofała. – Jasne. Co u ciebie?

– Okej. Trochę się nudzę, ale tata obiecał, że pojedziemy w weekend do Energylandii.

– A ty nie powinnaś się choć trochę pouczyć? Od września wracasz do szkoły...

– Mamo, czy ty zawsze musisz się czepiać? – przerwała jej Malwina.

– To raczej rodzicielska troska.

– Oszczędź sobie. Wytroszczyłaś się już o mnie, więcej nie musisz.

– Ale...

– Daj spokój. Już wybrałam z ojcem szkołę. A skoro powtarzam klasę, to nie muszę się teraz uczyć.

– Jak to wybrałaś z ojcem szkołę?

- Normalnie. Pojeździliśmy po okolicy, poszukałam w necie, a raz nawet z Otylią wybrałyśmy się do tej szkoły na nielegalu. Wiesz, żeby zobaczyć, jak tam jest naprawdę. No i się zdecydowałam.
 - Czy ty chcesz powiedzieć, że beze mnie podjęliście decyzję o twojej edukacji?
 - Oj tam, ciebie tu nie ma. - Młoda nie sprawiała wrażenia przejętej.
 - Jestem ciągle twoją matką, do cholery!
 - No właśnie. Tak się z tobą rozmawia - skwitowała Malwina i się rozłączyła.
- A Bożena pomyślała, że milczenie czasami jest złotem. Choć właśnie teraz chciałyby wyc.

Podziękowania

Szanowny Czytelniku!

Po pierwsze, chciałabym napisać bardzo ważną dla mnie rzecz – fajnie, że tu jesteś. Myśl, że tak dobrze został przyjęty *Niebieski*, czyli mój pierwszy thriller, ciemniejsze oblicze mojego pisania, dodaje mi skrzydeł. I właśnie dlatego powołałam do życia Bożenę.

Po drugie, tak mi się ta postać spodobała, że postanowiłam się z nią nie rozstawać. Jeszcze przez jakiś czas, czyli przez dwa tomy. Mam wielką nadzieję, że ta charakterna i inteligentna, choć niepozabawiona wad kobieta także w Tobie wzbudziła sympatię. Przynajmniej na tyle, by sięgnąć po kolejne powieści z jej udziałem.

Po trzecie, jestem koszalinianką, o czym mówię i piszę wszędzie, gdzie chcą o tym czytać (i słuchać). Dlatego też Koszalin uczyniłam miejscem akcji perypetii naszej dziennikarki. Jednak – co podkreślam z całą stanowczością – fabuła tych powieści jest całkowicie fikcyjna. Postaci także. Nie ma pierwowzoru Bożeny, Doroty, Edmunda, Fabiańskich ani nikogo innego. Także postacie wymienione tu z funkcji są całkowicie przeze mnie zmyślane. To znaczy – istnieją oczywiście w Koszalinie, ale w żaden sposób nie zostały odwzorowane w tej opowieści. Dodam jeszcze, że łączenie pracy dziennikarza radiowego i prasowego jest rzadkie, choć hipotetycznie możliwe. Na potrzeby fabuły Bożena ma dwie prace – bo kto zabroni postaci literackiej? Niech będzie taka przepracowana, w końcu jest kobietą nie tylko pracującą, ale przede wszystkim ambitną!

Jednak samo miasto – cichy bohater tej powieści – jest prawdziwe. Jego historia, tramwaje niegdyś kursujące na Rokosowo, kościoły Świętego Wojciecha i Ducha Świętego, kamery porozmieszczane w mieście, opowieść o kanalizacji Mielna i zawaleniu się wiaduktu oraz wiele innych... Nie mieszkam w Koszalinie już od wielu lat, a jednak wciąż jest to moje miasto i dlatego o nim piszę. Z nieprzemijającą sympatią, a może nawet i miłością.

Po czwarte, tradycyjnie już muszę wyrazić teraz cały szereg podziękowań. Przede wszystkim dla Ciebie, Czytelniku. Że jesteś i czytasz moje książki. Dziękuję także moim betaczytelniczkom – Monice Szydłowskiej, Dorocie Gronkowskiej, Małgorzacie Szyndlarewicz – które zechciały nie tylko poprawić literówki w pierwszej wersji tekstu, ale także twórczo skomentować fabułę. Z całego serca dziękuję także Agnieszce Czapczyk, mojej niezastąpionej redaktorce, bez której nie wyobrażam już sobie pracy nad literackim tekstem. Wreszcie – ogromne i bardzo gorące podziękowania kieruję w stronę całego zespołu Wydawnictwa Purple Book, na czele z Igą Rembiszewską. Ale nie tylko naczelna się liczy, oczywiście □ Renata Bogiel-Mikołajczyk, Tatiana Drózdź, Beata Gontarska, Anna Kubalska, Klaudia Lis (wymieniam alfabetycznie!) – dziewczyny, jestem pod ogromnym wrażeniem waszego profesjonalizmu i bardzo, bardzo za wszystko dziękuję.

No i na koniec, bo tu zawsze zamieszczam to, co najważniejsze – dziękuję mojej rodzinie. Przede wszystkim mojemu mężowi. Kochanie, bez Ciebie nic nie miało by sensu.

Agnieszka Lis

www.agnieszkalis.pl

<https://www.facebook.com/Agnieszka.Lis.Pisarka/>

<https://www.facebook.com/groups/232591423844651/>

<https://www.instagram.com/agnieszka.lis.pisarka/>

https://pl.wikipedia.org/wiki/Agnieszka_Lis